Jak zginął Sikorski
Szokujące kulisy śledztwa w sprawie Gibraltaru

AK i Żydzi
Mocna dyskusja na temat relacji polsko-żydowskich

Horror Doliny Śmierci
Jak SS wymordowało Polaków z Bydgoszczy

NR 10(68)/2018 PAŹDZIERNIK 2018

HISTORIA

DO RZECZY
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

CENA 7,95 ZŁ
(W TYM 8% VAT)

LISOWCZYCY

Szaleni polscy jeźdźcy

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296031
9 772299 951509 10 >

PIERWSZA KSIĄŻKA O POLSKICH

STRAŻAKACH

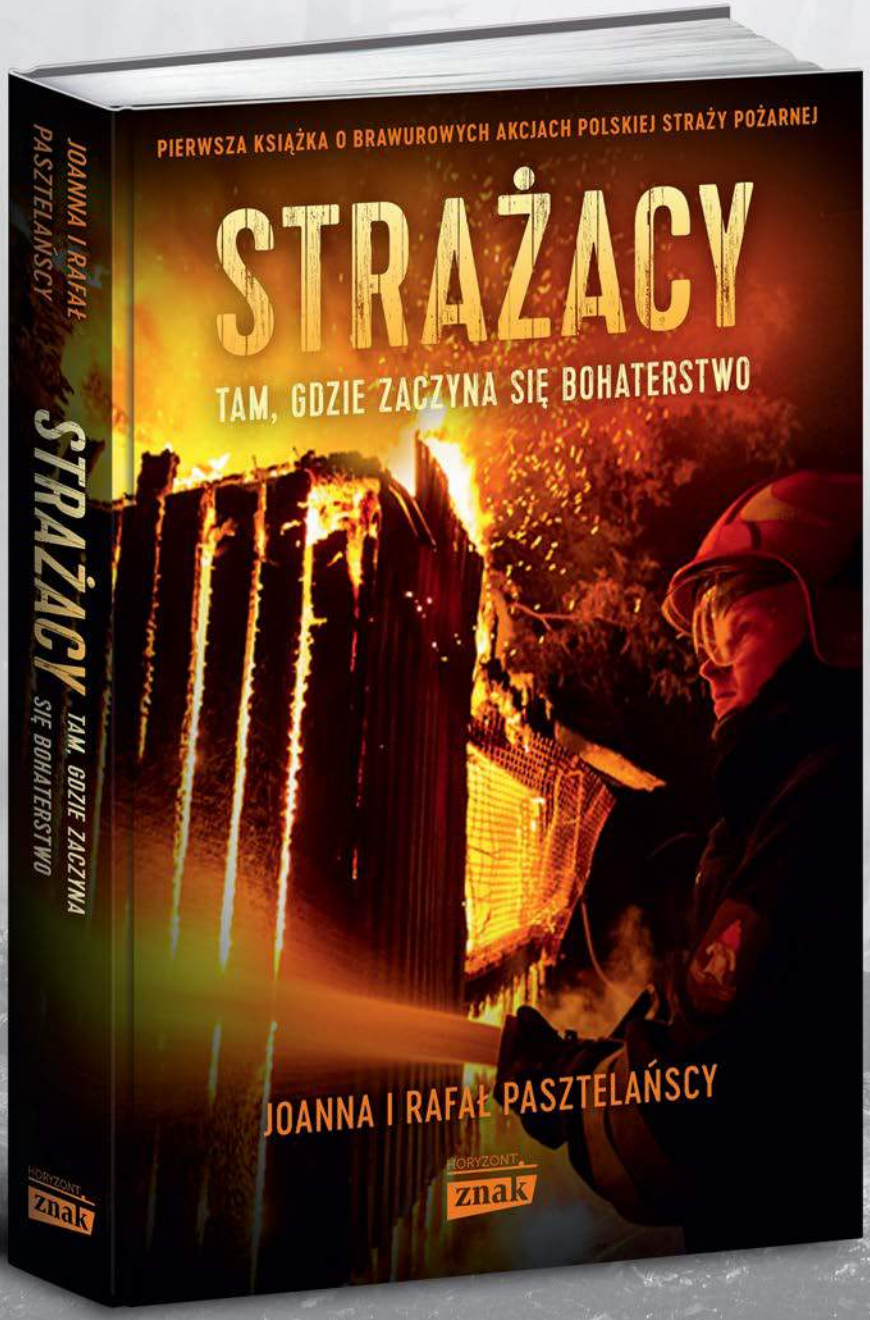

Przeczytaj o ich największych i najgłośniejszych akcjach

Książka w sprzedaży od **31 października**

eprasa.pl de5a4573f7

HISTORIA DO RZECZY

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: Marcin Bartnicki

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy: **Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Marcin Bartnicki**

Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

Dorzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem:
Zofia Magdziak (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**

WYDAWCA:
Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu spółka Orle Pióro wchodzi w skład grupy kapitałowej PMPG SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: +48 22 347 50 10
reklama@dorzeczy.pl

PUBLIC RELATIONS:
pr@point-group.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 1929 r.

Ćwiczenia kawaleryjskie w 1. Pułku Szwoleżerów

FOT. NAC

Od redaktora

Piotr Zychowicz

Gen zagończyka

Kim byli lisowczycy? Ludźmi wielkiej przygody. Kopyta ich koni tratowały ziemię niemal całej Europy. Walczyli od Renu do najdalszych rubieży carstwa moskiewskiego. Byli pod Wiedniem i byli pod Moskwą. Wszędzie dokonywali brawurowych czynów, które przechodziły do legendy.

Szalone szarże, bitwy i potyczki. Strzelaniny, nagłe ataki i pościgi. Nikt nie potrafił tak jak lisowczycy pędzić komunikiem pod osłoną nocy, aby nad ranem zwalić się znienacka na tyły przeciwnika. I rozbić go w puch.

Lisowczycy najlepiej czuli się podczas konnego ataku. Wyglądali, jakby urodzili się w siodłach. Gdy ścierali się twarzą twarz z nieprzyjacielem, w ruch szły szable, rohatyny, nadziaki, pistolety i noże. Byli nieustraszeni, nie było dla nich zadań niewykonalnych.

Lisowczycy stali się postrachem rycerzy całej XVII-wiecznej Europy, ale niestety srogo dali się również we znaki ludności cywilnej. Wojowali bowiem po tatarsku. Ich przemarszom towarzyszyły łuny pożarów, lisowczycy rabowali i gwałcili. Jak głosi legenda, jeszcze wiele lat po tych wydarzeniach niemieckie matki straszyły lisowczykami niegrzeczne dzieci.

Ech, lisowczycy... Stali się oni inspiracją nie tylko dla Henryka Sienkiewicza – postać Andrzeja Kmicica była bowiem wzorowana na żołnierzach płk. Aleksandra Lisowskiego – lecz także dla kolejnych pokoleń żołnierzy. Legenda lisowczyków stworzyła charakterystyczny dla Rzeczypospolitej Obojga Narodów typ zagończyka.

Tradycja ta przetrwała do niedawnych czasów. Wystarczy wymienić takich partyzanckich dowódców jak Stanisław Bułak-Bałachowicz, Jerzy Dąbrowski „Łupaszko" i Feliks Jaworski. Wszyscy ci oficerowie prowadzili swoich – ślepo im oddanych – ludzi na najbardziej straceńcze wyprawy. Tak jak lisowczycy siali oni przerażenie w szeregach wroga.

Chociaż z reguły w „Historii Do Rzeczy" skupiamy się na XX w., tym razem zapraszamy Czytelników na wyprawę w wiek XVII. Wyprawę do czasów naszej największej świetności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de5a4573f7

/ TEMAT NUMERU

.6 JACEK KOMUDA
Polscy jeźdźcy apokalipsy

.12 MACIEJ ROSALAK
Pierwsza odsiecz Wiednia

.16 MICHAŁ MACKIEWICZ
Uzbrojenie lisowczyka

.18 FERDYNAND A. OSSENDOWSKI
Hetman własnego wojska

.22 TOMASZ STAŃCZYK
Wielkie dzieła Józefa Brandta

/ CZASY I LUDZIE

.24 TADEUSZ A. KISIELEWSKI
Gibraltar '43 – matactwa i fakty

.28 JAKUB OSTROMĘCKI
Rzymianie kontra Żydzi

.34 SŁAWOMIR KOPER
Życie prywatne Jana Kiepury

.38 TORBJØRN FÆRØVIK
Wielki skok (w przepaść)

.42 PIOTR ZYCHOWICZ
Zamordowani przez GPU

.46 MAREK GAŁĘZOWSKI
Honor Legionów ponad życie

.50 MIKOŁAJ IWANOW
Mołojec – niedoszły polski Stalin

.54 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Walonowie w SS

.58 JOSHUA D. ZIMMERMAN
Armia Krajowa i Żydzi

.62 PIOTR SEMKA
Koniec świata w Puli

.66 MARIAN ZACHARSKI
Rakietowe sekrety PRL

.70 MACIEJ ROSALAK
Orlęta Lwowskie walczą

.74 KRZYSZTOF DROZDOWSKI
Bydgoska Dolina Śmierci

.78 KRZYSZTOF WYSZKOWSKI KONTRA HENRYK WUJEC
Dwugłos w sprawie Okrągłego Stołu

.80 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
3 maja zamiast 15 sierpnia

/ CO CZYTAĆ

.82 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Wszechświat Stanisława Lema

/ FELIETONY

.90 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Chłostanie wieszczem

.91 PIOTR SEMKA
Nuda tropików

.99 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
„Wiosna Kościoła" trwa

/ KRESY

.92 TOMASZ STAŃCZYK
Wzlot i upadek króla nafty

/ KOMIKS

.98 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI, MACIEJ JASIŃSKI
Kobieta z Katynia

eprasa.pl de5a4573f7

Oferta
dla domu

Wszędzie tam, gdzie potrzebujesz pomocy.

Jesteśmy przy Tobie.

Wybierz ofertę „Przyszłość bez awarii”
i korzystaj z pomocy fachowców!

PGE
Zapewniamy energię

JUŻ DZIŚ PODPISZ UMOWĘ

Zapraszamy do
Biur Obsługi Klienta PGE
422 222 222
serwis@gkpge.pl
ebok.gkpge.pl lub **zapewniamyenergie.pl**

eprasa.pl de5a4573f7

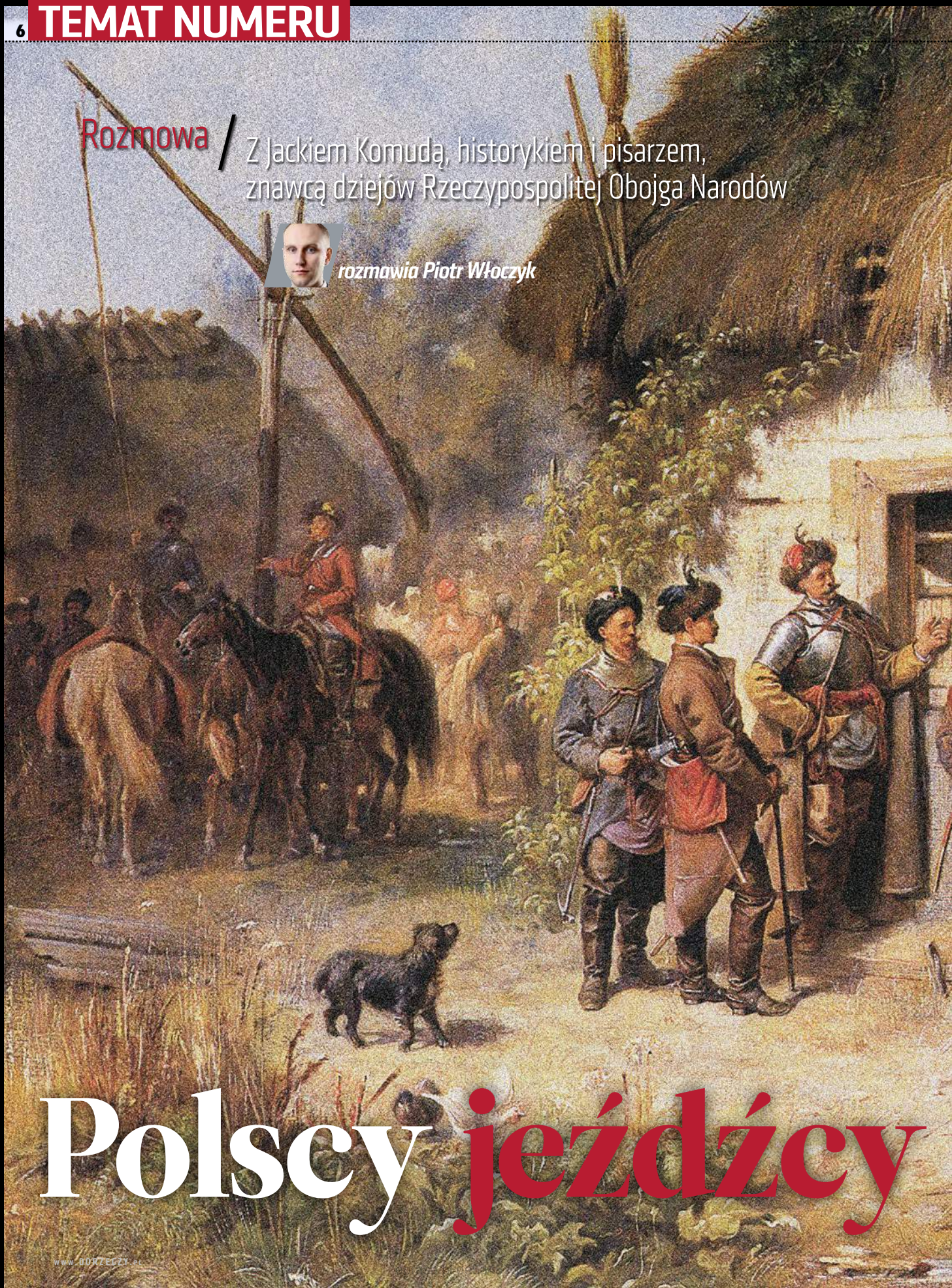

Rozmowa / Z Jackiem Komudą, historykiem i pisarzem, znawcą dziejów Rzeczypospolitej Obojga Narodów

rozmawia Piotr Włoczyk

Polscy jeźdźcy

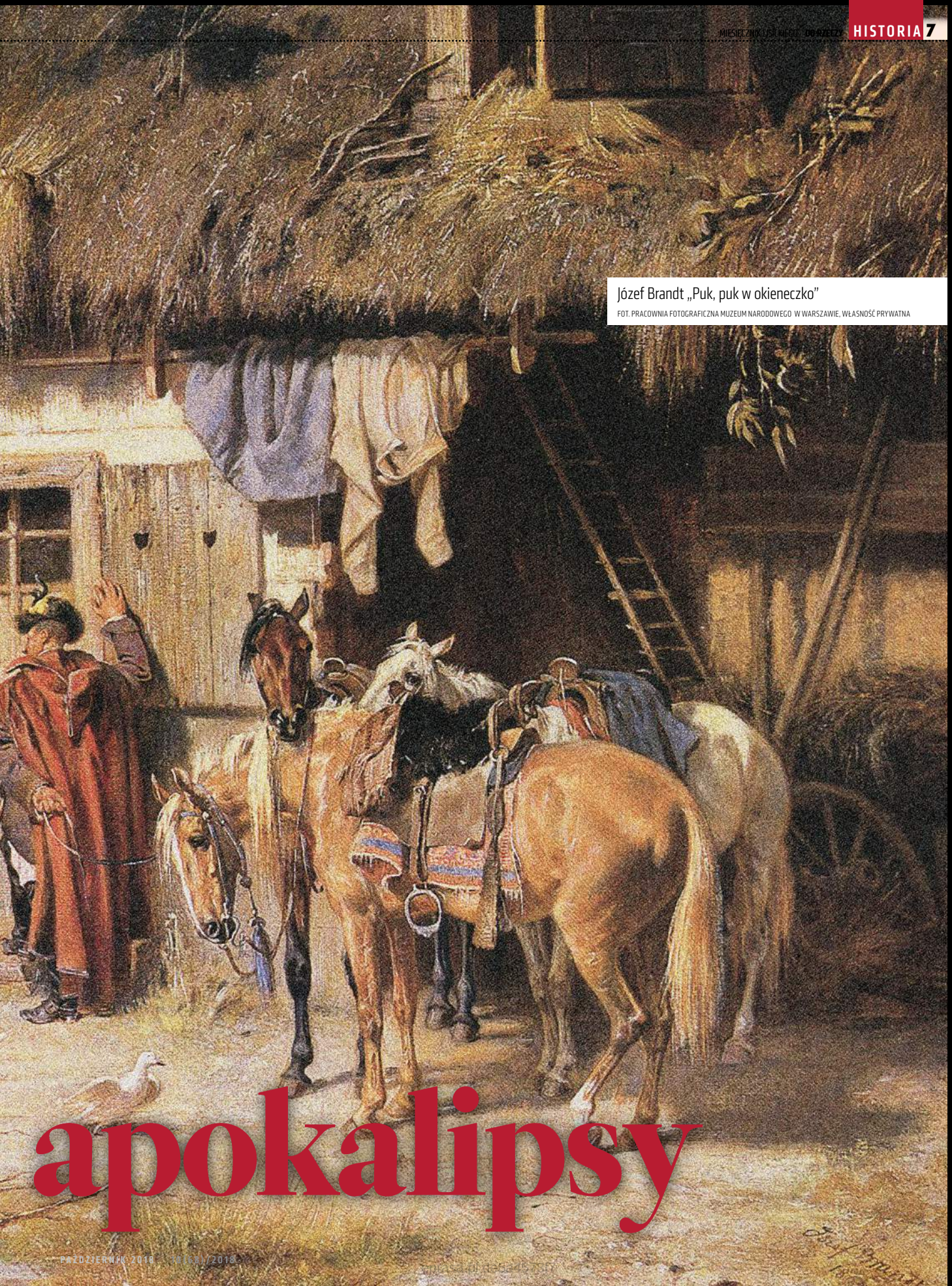

Józef Brandt „Puk, puk w okieneczko"

FOT. PRACOWNIA FOTOGRAFICZNA MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE, WŁASNOŚĆ PRYWATNA

apokalipsy

Nie znali litości w paleniu i łupieniu, ale Rzeczypospolitej oddali nieocenione zasługi

PIOTR WŁOCZYK: Ponoć rosyjskie i niemieckie matki straszyły nimi dzieci jeszcze sto lat po ich wyczynach...

JACEK KOMUDA: Niestworzone historie opowiadano o nich długo po tym, jak przestali istnieć. Widać to w dawnej poezji, która zapamiętała ich nieokiełznanie i łupiestwa – wspominane w utworach, takich jak choćby „Lisy" Wacława Potockiego i „Nędza z biedą z Polski idą". Równocześnie powstawały też panegiryki chwalące dzielność „żołnierzy lisowskich", dzieła Wojciecha Dembołęckiego, „Wojownicy sarmaccy" Szymona Starowolskiego i „Żywot kozaków lisowskich" Józefa Bartłomieja Zimorowica. Im dalej zagłębiamy się w wiek XVII, tym więcej pojawia się pozytywnych opinii pokazujących męstwo i przewagi tych jeźdźców. W latach 20. i 30. XVII w. słowo „lisowczyk" lub „lis" budziło grozę, ale w połowie stulecia o Stefanie Czarnieckim, byłym lisowczyku, pisze z szacunkiem Jan Chryzostom Pasek.

Do dziś pozostała po nich legenda, bo teren działania lisowczyków, zwanych elearami, był imponujący: od Morza Białego i Uralu aż do Renu. Od wojny z Moskwą (rok 1608) aż do wojny trzydziestoletniej.

I mnóstwo mitów...

Tak, mało kto wie, że w pierwszych oddziałach, które formował w Moskwie Aleksander Józef Lisowski, będący na usługach Dymitra Samozwańca II, było niewielu Polaków i Litwinów. W maju 1608 r. miał on pod rozkazami zaledwie jedną chorągiew kozacką liczącą ok. 180 koni i aż tysiąc Kozaków dońskich. Kilka miesięcy później dowodził 5 tys. Kozaków i zaledwie 50 petyhorcami z Litwy. Należy pamiętać, że obok Dońców byli tam zapewne Moskale, Tatarzy, być może Czerkiesi i Niemcy. Szybko zrobiło się głośno o tej formacji. Lisowski w 1608 r. dokonał ze swoimi ludźmi śmiałego rajdu, pobił pod Zarajskiem oddziały Iwana Chowańskiego i Zachara Lapunowa, zajął Kołomnę. Zaczęto go tytułować „pułkownikiem", bo do tej pory siły te znano tylko jako „Kozaków Lisowskiego".

Józef Brandt „Jeździec" FOT. MUZEUM NARODOWE W POZNANIU

Czy można jednak nazywać ich już od tego momentu „lisowczykami"?

Lisowczycy powstali formalnie dopiero w 1615 r., kiedy w czasie obrony Wielkiego Księstwa Litewskiego Jan Karol Chodkiewicz przyjął Lisowskiego – dawnego wroga – do siebie i dał mu zgodę na stworzenie pułku jazdy lekkiej. Zasady były proste: nie dostawali żołdu, walczyli jedynie za łupy. Chodkiewicz dał też Lisowskiemu prawo zaciągania wszelakich łotrów, banitów, hultajów i infamisów, a ten wydał 12 stycznia uniwersał do swawolników, grasujących na Litwie, aby skupili się pod jego rozkazami, inaczej uderzą na nich oddziały hetmana.

Dlaczego ci ludzie poszli do wojska, zamiast grasować bez jakichkolwiek ograniczeń?

Wojsko dawało możliwość ucieczki przed wyrokiem, pozwalało na rehabilitację. Czynem żołnierskim można było odpokutować winy i zmazać wyroki. Dzięki wojsku przechodziło się spod jurysdykcji sądów ziemskich i grodzkich pod jurysdykcję hetmana. Nie zapominajmy też o łupach.

Do Lisowskiego zgłosiło się z całego Wielkiego Księstwa Litewskiego ok. 400–600 hultajów. Przy czym wciąż była to kolorowa zbieranina, w której znajdował się oddział Kozaków dońskich i bojarów. Trafiła się tam nawet spora grupa Niemców „ze 100 dobrych pachołków", później dołączali nawet chłopi z Moskwy. Większość stanowili jednak Polacy, Litwini i Rusini.

Co stanowiło o ich wartości bojowej? Przecież ich niesamowita skuteczność w nękaniu wroga nie budzi żadnych wątpliwości.

Lisowczycy nie byli wojskiem do wygrywania bitew w polu. Nie brali udziału w bezpośrednich szarżach na wroga, tak jak np. husaria. Mieli siać w szeregach

eprasa.pl de5a4573f7

Józef Brandt „Lisowczycy"
FOT. PIOTR LIGIER/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE, WŁASNOŚĆ PRYWATNA

przeciwnika strach, palić, rabować, dokonywać dywersji, a wygrywać nie walnym bojem, ale podjazdami, fortelami, pozorowanymi odwrotami i, co ważne, odciągać duże siły z teatru operacyjnego. W Moskwie dobrze się ta taktyka sprawdzała. Wystarczy wspomnieć zagon, który przeprowadził Lisowski w 1615 r., bijąc wojska carskie pod Briańskiem, odnosząc porażkę pod Orłem, z której jednak otrząsnął się już po czterech dniach, paląc i łupiąc Biełow i Lichwin. Zajął też Peremyszl, pobił pod Rżewem kolejne oddziały moskiewskie i ruszył na północ – ku Morzu Lodowatemu, czyli Karskiemu. Wrócił w listopadzie pod Smoleńsk, przebywając tysiące kilometrów.

Jak wyglądały ich starcia w polu, skoro tak bardzo różnili się w taktyce od husarii?

Chorągwie lisowczyków nie atakowały w szyku, tylko luźną gromadą. Dawało to przewagę podczas wykonywania manewrów, łatwiej było wykonać w ten sposób np. pozorowany odwrót i ponowić atak. Jako jeździec-rekonstruktor potwierdzam, że łatwiej i szybciej zawrócić luźną grupę jeźdźców, niż obrócić np. o 90 stopni konny oddział jadący w szyku.

Wszystko jednak wiąże się z pewnymi ograniczeniami. Lisowczycy nie byliby w stanie przełamać np. szyku pikinierskiego. To akurat było zadanie dla husarii. Ludzie Lisowskiego sprawdzili się na moskiewskim teatrze operacyjnym, gdzie były wielkie przestrzenie – należało je szybko pokonywać. Moskale obsadzali małe gródki, które łatwo można było zdobyć – fortelem np. wywabić załogę i pobić ją w polu.

Pistolet z XVII w. FOT. ARCHIWUM

To wszystko brzmi trochę jak opis wojsk specjalnych I RP.

Dokładnie tak. Lisowczycy słynęli z forteli. Najczęściej głównymi ich elementami były podział sił i dokonanie zaskakującego przeciwnika ataku. Taki podstęp zastosował Lisowski w 1615 r. w czasie blokady Briańska. Kiedy otrzymał wiadomość o nadciąganiu odsieczy Jurija Szachowskiego, pozostawił część pułku pod miastem, a sam podszedł pod odległy o 40 km Karaczew, gdzie niespodziewanym uderzeniem rozbił oddziały kniazia. Równocześnie briańszczanie próbowali uderzyć na pozostawione odwody i ponieśli srogą klęskę.

Innym fortelem był pozorowany odwrót, który wróg brał za ucieczkę. Tak właśnie stało się pod Humenné w 1619 r., kiedy Walenty Rogawski najpierw obszedł szyki przeciwnika, a kiedy nie poszczęściło się w trakcie boju, lisowczycy udali ucieczkę, zawracając – gdy siedmiogrodzkie wojska rzuciły się na rabunek obozu – i rozbijając wroga.

Legendarne są też dystanse, które byli w stanie pokonać – nieosiągalne dla ciężkiej jazdy.

Lisowczycy poruszali się tzw. komunikiem, czyli nie mieli ze sobą wozów taborowych. Łupy i dodatkowy rynsztunek przewozili na wierzchowcach. Jeździli często tatarskim systemem „na trzy koń" – każdy jeździec miał dwa konie powodowe, na które kolejno przesiadał się w czasie marszu. Dodatkowo elearzy nie stosowali uzbrojenia obronnego, walczyli tylko w żupanach bojowych, używając szabel, koncerzy, nadziaków i czekanów. Świetnie władali szablą, a jako uzbrojenie dystansowe używali łuków lub rzadziej pistoletów. Dzisiaj łuk wydaje się archaiczny, ale w realiach XVII-wiecznej walki konnej był celniejszy i szybszy niż broń palna. Z kolei zbroje husarskie ważyły do 20 kg i mimo iż daleko im do średniowiecznych albo maksymiliańskich płyt, to jednak ograniczały jeźdźca i zmniejszały dystans, który mógł pokonać. Ja sam dwa razy przejechałem Bieszczady na własnym koniu i po „lisowsku", to znaczy tylko w żupanie i ferezji, w siodle lekkiej jazdy. Potwierdzam – to doskonały strój

eprasa.pl de5a4573f7

dla jeźdźca, chroniący nie tylko przed deszczem, lecz także owadami. Dziennie udawało mi się zrobić nawet do 57 km w trudnym górzystym terenie. Tymczasem lisowczycy na płaskim terenie byli w stanie przejechać w ciągu jednego dnia ponad 70 km.

W niektórych opracowaniach mowa jest nawet o 150 km dziennie.

Na dobrym koniu przejedzie się tyle nawet dzisiaj. Mój rekord na Mazowszu to właśnie 70 km na dzień. W XVII w. mogło to być więcej, bo konie były o wiele bardziej wytrzymałe, a ludzie przyzwyczajeni do jazdy. Poza tym ówczesne drogi były lepsze dla wierzchowców. Im twardsza bowiem trasa, tym trudniej się jedzie konno. Najgorzej po asfalcie. Konno spokojnie dojechałoby się i dziś w jeden dzień z Warszawy do Radomia (108 km), gdyby trasa E77 była miękką, lekko piaszczystą drogą.

Juliusz Kossak „Lisowczyk na białym koniu". Wzorowany na obrazie Rembrandta „Jeździec polski" albo „Lisowczyk" FOT. K. WILCZYŃSKI/MNW

Gdzie Lisowski nauczył się tego wszystkiego?

Wiadomo o nim niewiele. W 1601 r. brał udział w wyprawie do Mołdawii. Był również uczestnikiem wojny inflanckiej – najprawdopodobniej walczył pod Kokenhausen i Dorpatem. Jednak w 1604 r. zawiązał konfederację na Litwie, a kiedy wybuchł rokosz Zebrzydowskiego, dołączył do jednego z głównych przeciwników króla – Janusza Radziwiłła. Tak został banitą. Nie wiadomo tylko, kiedy dokładnie zapadł wyrok w jego sprawie.

Prowadzenia zagonów lekkiej jazdy uczył się w czasie wojen moskiewskich. Wcześniej miał zapewne styczność z Tatarami i Kozakami. Sama służba w chorągwi kozackiej Niewiarowskiego w Inflantach była świetną „akademią" podchodów i podjazdów.

Wspomniał pan, że lisowczycy powstali dzięki decyzji Chodkiewicza, ale przecież jego relacje z Lisowskim długo były – lekko rzecz ujmując – fatalne.

Początkowo wręcz się nienawidzili, ponieważ Lisowski był stronnikiem Janusza Radziwiłła, a do tego jeszcze rokoszaninem. To może by jeszcze Chodkiewicz przebolał, ale nasz bohater był poza tym założycielem konfederacji wojskowej w Inflantach w 1604 r. Chodziło o prestiż – Lisowski wyprowadził kilka chorągwi spod dowództwa Chodkiewicza. Hetman pisał zresztą we wspomnieniach, że to wina Lisowskiego, iż wojsko rozeszło się i poszło łupić włości.

A jednak hetman skorzystał w końcu chętnie z usług tak przeklinanego przez niego wcześniej rokoszanina...

Gdy Lisowski wrócił do obozu królewskiego, Moskal nacierał, a wojsko zawiązało kolejną konfederację, Chodkiewicz zobaczył ogromną szansę w stworzeniu przez niego oddziałów pustoszących zaplecze wroga. Dawne urazy poszły w niepamięć, a Lisowski ogromnie się przysłużył hetmanowi, szczególnie podczas obrony Smoleńska.

To największe osiągnięcie lisowczyków?

Wydaje się, że tak. Smoleńsk został uratowany w 1614 i na początku 1615 r. To było strategicznie ważne miasto. Po odbiciu stolicy z rąk Polaków Moskale robili wszystko, by odzyskać tę twierdzę. Żołnierze mieli olbrzymi problem, ponieważ nie mieli kim jej bronić – wojska podległe Chodkiewiczowi skonfederowały się i poszły łupić Rzeczpospolitą. Lisowski wysyłał podjazdy, które osłabiały armię przeciwnika.

Jak bardzo opłacała się służba u lisowczyków?

Żyjący ówcześnie pisarz Walerian Nekanda Trepka opisywał historie plebejuszy, którzy chcieli się wcisnąć w szeregi szlachty. Wspominał przypadki, gdy wracający z wojny trzydziestoletniej lisowczycy stawali się ofiarami zabójstw. Trepka przytoczył historie kilku karczmarzy, którzy zabili nocujących u nich elearów, przywłaszczyli sobie ich łupy i w ten sposób wkupili się w szeregi szlachty. Także wielu lisowczyków zostało szlachetnie urodzonymi dzięki zasługom bojowym i sowitym łupom przywiezionym z wojny.

Wydaje się, że okrucieństwo to w kontekście tej formacji temat rzeka...

Opowieści o ponadprzeciętnej brutalności lisowczyków to mity. Nie byli bardziej straszni niż inne chorągwie – a należy pamiętać, że w tamtych czasach grabienie, palenie i prześladowanie ludzi, którzy nie chcieli dać się złupić, było raczej normą, a nie wyjątkiem.

Wojsko zaciężne w Europie tworzyło swoisty „stan wojskowy", którego fantazja i swawola przypominały „Kmicicową kompanię". Żołnierze mieli w pogardzie inne stany, żyli według własnych zasad, które dyktowały im fantazja, odwaga i fortuna. Śmierć mogła przyjść w każdej chwili, więc nie żałowali sobie wina, jadła ani dziewek. Stąd ta swoboda obyczajowa panująca w obozach. Wojacy pogardzający innymi stanami – zwłaszcza mieszczanami i chłopami – łupili ich bezlitośnie, traktując to jak wesołą przygodę.

W Rzeszy lisowczycy wzbudzali strach nie tylko okrucieństwem, lecz także wyglądem. Niemcy i Czesi mówili, że to „polscy Kozacy". Dla czeskiego albo morawskiego łyczka wyglądali przedziwnie – odziani jak jacyś Persowie czy Tatarzy. Strach potęgowało to, że działali bezwzględnie i błyskawicznie – znikali tak samo nagle, jak się pojawiali.

Mitem jest też to, że zabijali własnych rannych. A prawdą, że dobijali towarzyszy na ich własne życzenie. Poważnie zraniony lisowczyk wiedział bowiem doskonale, co Moskale czy protestanci z nim zrobią, jeżeli dostaną go żywego w swoje ręce.

eprasa.pl de5a4573f7

Nawiasem mówiąc, nie znalazłem ani jednego przykładu, żeby w czasie wojny trzydziestoletniej uwikłani byli w masowe mordy protestantów. Po bitwie pod Białą Górą bezlitośnie łupili Czechy, wydobywając nawet trupy z grobów, ale nie brali udziału w terrorze, który rozpętał cesarz Ferdynand II. Natomiast jeżeli chodzi o ich pociąg do łupiestwa, to z pewnością nie łupili więcej niż inni żołdacy.

W tych sprawach miłosierdzia nie mieli ponoć nawet dla „swoich".

Tak, strasznie łupili wioski i miasteczka nawet w Rzeczypospolitej, a także… kościoły katolickie, choć przecież wojna trzydziestoletnia pokazała, że byli fanatycznymi katolikami.

Gorsza jednak od samych lisowczyków okazywała się ich czeladź, która szła z taborem konnym, wioząc łupy. Te same historie powtarzają się w wielu skargach z XVII w. Czeladź miała więcej czasu na łupienie i kompletny brak zahamowań – ciury były zdolne złupić kościół i torturować chłopów, aby wskazali miejsce ukrycia żywności i kosztowności.

Jednak skargi na nich były wówczas powszechne, nawet na czeladź chorągwi husarskich, która potrafiła spalić wieś do gołej ziemi. Mówiło się, że polski pacholik był „diabła wart", i było w tym powiedzeniu sporo prawdy.

Wspomniał pan, że obrona Smoleńska była największym osiągnięciem lisowczyków w wojnie z Moskwą. Jakie korzyści przyniosła ta formacja Rzeczypospolitej w czasie wojny trzydziestoletniej?

Pobicie wojsk siedmiogrodzkich pod Humenné – nazywane pierwszą odsieczą wiedeńską – bez wątpienia zabezpieczyło Rzeczpospolitą przed nadciągającym niebezpieczeństwem, zmusiło bowiem Bethlena Gábora do odejścia spod Wiednia. Upadek stolicy bardzo osłabiłby cesarstwo, więc Austria przegrałaby wojnę trzydziestoletnią. Protestanci wzrośliby w siłę, co ściągnęłoby na Rzeczpospolitą wielkie zagrożenie, bo byliśmy postrzegani jako kraj katolicki i pomagający Habsburgom.

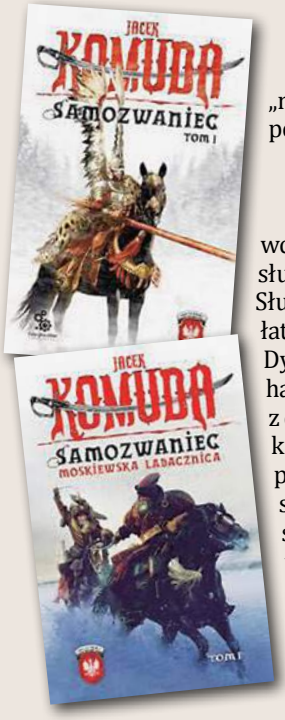

Skoro byli tak bardzo przydatni, to dlaczego ojczyzna w taki sposób im „podziękowała"?

Akurat gdy wrócili do kraju z wojny trzydziestoletniej, w 1624 r. sejm wydał konstytucję, która – choć nie mówiła wprost o lisowczykach, ale o swawolnikach wracających z obcych krajów – uderzała bezpośrednio w elearów. Nowe prawo skazywało ich na banicję, co więcej – pozwalało bezkarnie zabijać. Zostawiono im jednak furtkę: mogli się uratować, wstępując do wojsk koronnych. Lisowczycy oczywiście ochoczo z tego skorzystali. Po 1626 r. „roztopili się" w regularnej polskiej jeździe.

Nagle przestali być potrzebni?

Bardzo wielu lisowczyków wciąż było poszukiwanych jako słudzy rękodajni, najemne rębajły. Służyli szlachcie, magnatom w załatwianiu ich porachunków. Jacek Dydyński z Niewistki, główny bohater moich powieści, był jednym z elearów, chociaż nie wiadomo, kiedy wstąpił w ich szeregi. Po powrocie do Rzeczypospolitej stał się najemnikiem na usługach szlachty, który pomagał załatwiać sprawy takie jak zajazdy, zwady i zmazywać skazy na honorze.

Lisowczycy sprawiali mnóstwo kłopotów, więc w końcu stwierdzono, że trzeba zrobić z nich żołnierzy zawodowych – płacić im żołd w nadziei, że przestaną, a raczej zaczną mniej grabić. I tak właśnie się stało – weszli w skład armii koronnej jako regularne chorągwie kozackiej lekkiej jazdy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jacek Komuda jest znanym pisarzem i historykiem, autorem bestsellerowych powieści historycznych, m.in. „Samozwaniec", „Hubal", „Jaksa".

REKLAMA

eprasa.pl de5a4573f7

Maciej Rosalak

22–23 listopada 1619 r.

Pierwsza odsiecz Wiednia

Pod Humenné lisowczycy otoczyli wojska Rakoczego. Siedmiogrodzianie zostali rozgromieni

O bitwie pod Humenné w 1619 r. niemal zupełnie zapomnieliśmy. Jakoś się zawieruszyła, zepchnięta w cień dziejów przełomu drugiej i trzeciej dekady XVII w. przez tragiczną klęskę pod Cecorą w 1620 r. i chwalebną obronę Chocimia przed Turkami rok później. Zaskakuje nas to, że pod Humenné polscy lisowczycy pokonali Węgrów i że bitwa ta miała niezwykle istotne znaczenie dla przebiegu wojny trzydziestoletniej, czyli dla historii całej Europy. I, co najważniejsze, nie łączymy tych wszystkich faktów w jeden związek przyczynowo-skutkowy.

A przecież zwycięstwo pod Humenné na wschodniej Słowacji, odniesione w dniach 22–23 listopada 1619 r. przez chorągwie jazdy lisowskiej nad wojskiem siedmiogrodzkim Jerzego Rakoczego, spowodowało skutki nieodwracalne i dalekosiężne. Po pierwsze, protestancki książę siedmiogrodzki Gábor Bethlen, który stanął po stronie czeskich współwyznawców w wojnie z katolickim cesarzem i oblegał właśnie Wiedeń, musiał zwinąć oblężenie, aby chronić własne ziemie przed niespodziewaną dywersją z polskiej strony. Umożliwiło to Habsburgom zebranie sił (wraz z kolejną ekspedycją lisowczyków, a jakże!) i pokonanie czeskich buntowników oraz ich protestanckich sojuszników na Białej Górze pod Pragą w roku następnym.

Po drugie, bitwa w słowackich Karpatach zwróciła na Rzeczpospolitą „oko Saurona", że posłużę się określeniem z Tolkiena. Oto sułtan imperium osmańskiego, które do tej pory – poza łupieżczymi wyprawami i kontrwyprawami tatarskimi oraz kozackimi czy próbami sił w Mołdawii – nie miało większych zatargów z państwem polsko-litewskim, poczuł się przez nie napadnięty. I tak Rzeczpospolita, która za poprzednich królów unikała jak ognia wojny z Turcją, za Zygmunta III Wazy stała się celem wyprawy jednej z najpotężniejszych wówczas armii świata.

W sukurs cesarzowi

Wiele już krytycznych uwag – z Pawłem Jasienicą na czele – napisano o fatalnych dla Polski poczynaniach pierwszego z Wazów na naszym tronie. Wplątanie nas w konflikt ze Szwecją, zaprzepaszczenie historycznych szans, które niosły zwycięstwa nad Moskwą, a wreszcie sprowadzenie nam na kark całej potęgi tureckiej – to najważniejsze zarzuty. Co więcej, wojna z Osmanami nic nam absolutnie nie dawała ani dać nie mogła.

A właśnie wojnę oznaczało uderzenie na Bethlena. Na początku XVII w. służył on rodowi książąt siedmiogrodzkich Batorych – Zygmuntowi i jego następcy Gaborowi. Korzystając z osłabienia tego ostatniego i wsparcia Turków, obalił go i został wiernym oraz posłusznym lennikiem sułtana. Owemu kalwińskiemu księciu – podobnie jak jego muzułmań-

eprasa.pl de5a4573f7

Bitwa polskich katolików z węgierskimi protestantami

Juliusz Kossak „Pochód lisowczyków"
FOT. MUZEUM NARODOWE W KIELCACH

do odzyskania Podola z Kamieńcem, ani potwierdzać roli Rzeczypospolitej w polityce europejskiej. Mógł poprzestać na wyrazach współczucia...

Wsparcie cesarstwa, które wiele razy dawało nam poprzednio dowody niechęci i egoizmu – przy narażeniu na szwank stosunków z Portą Otomańską – nie leżało w interesie Rzeczypospolitej. Przecież nie pomszczenie jagiellońskich królów węgierskich – Władysława pod Warną i Ludwika pod Mohaczem – ale doskonałe stosunki Krakowa ze Stambułem za Sulejmana Wspaniałego (i jego Roksolany) powinni ówcześni rodacy pamiętać i pielęgnować. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę szlachta, która z reguły niechętnie dawała pieniądze na wojnę, a jeszcze bardziej niechętnie sama ruszała w pole. W tym przypadku miała jednak rację, zdecydowanie sprzeciwiając się zaatakowaniu sułtańskiego lennika. Przeciwnikiem zbrojnej interwencji polskiej był też doświadczony wódz i polityk, hetman Stanisław Żółkiewski.

Mimo wrodzonej arogancji Zygmunt III zechciał w tym przypadku uniknąć otwartego konfliktu z narodem szlacheckim, cichcem przekupił część senatorów i za ich zgodą postanowił wysłać lisowczyków w sukurs Ferdynandowi II. Po dywilińskim pokoju z Moskwą stali oni na kresach, traktowani przez tamtejszą społeczność jako dopust Boży. Królowi było tym łatwiej wysłać ich właskiemu mocodawcy – bardzo zależało na klęsce cesarza Ferdynanda II, nominalnie świeckiego przywódcy świata rzymskokatolickiego, noszącego przy tym tytuł węgierskiego króla.

Dlatego jesienią 1619 r. Gábor Bethlen ruszył na północne Węgry (czyli Słowację) i zajął Bratysławę, gdzie w jego ręce wpadły koronacyjne insygnia węgierskie. Następnie połączył swe siły z oddziałami czeskimi, morawskimi oraz śląskimi i ruszył pod Wiedeń. Oblężenie cesarskiej stolicy spowodowało błagania – tak jak kilka dziesięcioleci później u Jana Sobieskiego – habsburskiego wysłannika, węgierskiego magnata Jerzego Hommonaya, o pomoc Zygmunta III. Ten nie musiał, tak jak Jan III, ani dążyć śnie, ponieważ nie stanowili części wojsk kwarcianych, nie podlegali więc władzy hetmańskiej, lecz bezpośrednio królowi. Oczywiście manewru tego nie udało się ukryć ani przed szlachtą, ani przed sułtanem. I szlachta, i sułtan zawrzeli oburzeniem. Szlachta – bo ją oszukano, narażając na straszną wojnę. Sułtan – bo został obrażony. Tak wyrósł ponury

eprasa.pl de5a4573f7

cień Cecory i Chocimia, a w dalszej przyszłości również kolejnego najazdu szwedzkiego, tym razem „boga wojny" Gustawa Adolfa...

Klęska Rakoczego

Walenty Rogowski (Rogawski), który został dowódcą wojsk lisowskich po płk. Stanisławie Czaplińskim, wyruszył błyskawicznie ku węgierskiej granicy. Szedł komunikiem, czyli bez taborów, jak zwykle poruszali się wzorem Tatarów jego żołnierze, potrafiący dziennie przebyć nawet 150 km. Nie wiemy, ilu dokładnie lisowczyków ruszyło na Słowację. Podaje się liczby od 8 do 10 tys. Spotyka się jednak też liczbę 2 tys., ale nie wiadomo, czy jest ona zaniżona, aby tym bardziej podkreślić męstwo i skuteczność polskiej jazdy, czy wymienia się jedynie lisowczyków mających status towarzyszy.

Zapomina się przy tym, że z tzw. ciurów obozowych również w miarę potrzeby formowano chorągwie, zwane także „znakami czeladnymi". Podczas walk na Śląsku stawało np. w polu 12 chorągwi szlacheckich i aż 15 ciurowskich. 29 sierpnia 1621 r. pod Chocimiem to właśnie czeladź lisowczyków z Kozakami odparła jeden z najbardziej gwałtownych ataków tureckich. Ciurowie stanowili w wojskach lisowskich element nie mniej bitny od żołnierzy rycerskiego pochodzenia, tyle że gorzej uzbrojony i na gorszych koniach, a także – niestety – bardziej skłonny do rabunków i gwałtów.

Zwraca na to również uwagę twórca epitafium na mogile ciurów poległych pod Humenné. Towarzysze lisowscy taką oto o nich inskrypcję umieścili:

Tu leżą nie Mazurzy ani Tatarowie,
lecz jacyś niesłychani wydziercy ciurowie.
Kto pójdziesz mimo krzyż i wpodle tych kości,
przyznasz, że tacy ludzie niegodni litości,
więc im się tako stało, że wpadli do dziury,
przecie będą Węgrowie pamiętali ciury.

Zanim epitafium to powstało, stoczono bitwę zaciętą i krwawą, a także bardzo charakterystyczną dla jazdy polskiej typu kozackiego. Cofa się ona, nawet pierzcha przed przeważającymi siłami, sprawia wrażenie rozbitej, ale nieoczekiwanie znów formuje szyki, wraca z impetem, umiejętnie oskrzydla wroga i zadaje mu śmiertelny cios w momencie, gdy był już

Jerzy I Rakoczy FOT. WIKIPEDIA

przekonany o własnym triumfie. Taką jazdę można odeprzeć, rozproszyć, ale zniszczyć ją jest bardzo trudno.

Tak też wyglądały dwudniowe starcia z siedmiotysięcznym korpusem księcia Jerzego Rakoczego, który zastąpił drogę Polakom, zajmując na wzniesieniach niedaleko Humenné dogodne do obrony pozycje nad rzeką L'uboreč u zbiegu dwóch dolin. 22 listopada za radą Hommonaya, część polskich sił poszła doliną Udavy, ku jej ujściu do rzeki L'uboreč, gdzie starła się z jazdą węgierską. Po sukcesie w tym starciu zgrupowanie Walentego Rogowskiego spróbowało dostać się na tyły Węgrów, ale bez powodzenia. Następnego dnia, gdy frontalne ataki na Rakoczego nie przyniosły skutku, lisowczycy rozproszyli się, pozorując ucieczkę. Siedmiogrodzki wódz uznał, że bitwa jest wygrana. Z tą radosną wiadomością wysłał już gońców do Bethlena, a żołnierzom pozwolił na rabunek obozu lisowczyków.

Wielkie było jego zdziwienie, a potem rozpacz, gdy nagle ujrzał się otoczonym przez ich chorągwie, które wyglądały jakby odrodzone czarodziejską mocą (lisowczyków często pomawiano o sztuki czarnoksięskie), gotowe do boju, pałające chęcią odwetu. Bitwa rychło zamieniła się w rzeź. Podaje się liczbę 3 tys. zabitych Węgrów. Stracili oni kilkanaście chorągwi, a Rakoczy dwóch braci: jeden poległ, drugi dostał się do niewoli. Z resztą sił Rakoczy zdołał wycofać się do zamku w Makowicy, a tam Polacy – z uwagi na brak artylerii – nie mogli go dopaść.

Skutek klęski Madziarów był taki, że Bethlen 5 grudnia podpisał z cesarzem półroczny rozejm i skierował swe wojska przeciw lisowczykom, którzy – choć nie zdołali zająć żadnego z większych miast – rabowali i niszczyli okolice, przez które przechodzili. Gdy Rakoczy powtórnie zbliżył się do nich – tym razem na czele 15-tysięcznych wojsk – lisowczycy wrócili na terytorium Rzeczypospolitej. Nie na długo.

Polnische Kosaken

Z początkiem lutego 1620 r. część lisowczyków pod wodzą płk. Jarosza Kleczkowskiego przeszła na służbę cesarską. Kleczkowski zginął już po miesiącu pod Krems, a dowództwo objął płk Stanisław Rusinowski, który też wiódł ich do bitwy na Białej Górze 8 listopada 1620 r. Tam polscy jeźdźcy, którzy zdobyli 20 wrogich chorągwi, walnie przyczynili się do zwycięstwa sił katolickich nad wojskami protestanckimi (i – niestety – do ponad dwustuletniego ciemiężenia oraz wynarodawiana Czechów).

Anonimowy autor z epoki podkreślał rolę lisowczyków w obronie katolicyzmu, czego dowiedli właśnie w bitwie na Białej Górze:

Tu szesnaście tysięcy Czechów legło krwawie,
Kędy męstwo lisowskich zakwitnęło w sławie;
Skąd wziąwszy dzielność śmiałą, męstwem słyną wszędzie,
Dobry znak, Pan Bóg z nami, któż przeciw nam będzie?

Rabunki, rzezie i pożary towarzyszyły przemieszczaniu się lisowczyków po ziemiach środkowej Europy, aż cesarz z ulgą zapłacił im i podziękował w 1621 r. za służbę. Podczas wojny trzydziestoletniej zatrudniano ich jednak jeszcze wielokrotnie. Wielki wódz cesarski Albrecht von Wallenstein nie wyobrażał sobie powodzenia wielu kampanii bez lekkiej jazdy polskiej, zwanej zresztą zwykle kozacką. Strojnowski, Kalinowski, Noskowski, Gromadzki, Moczarski – to nazwiska kolejnych pułkowników. Zwykle dość szybko ginęli, tak jak ich podkomendni, którzy nie oszczędzali się w boju. Z kolei o straszliwych „polnische Kosaken" matki na Śląsku i Morawach, w Niemczech i Czechach ze zgrozą opowiadały dzieciom jeszcze długie lata po wojnie. Podobne wrażenie wywarli w Lotaryngii, Pikardii, a nawet we Włoszech...

Pisarz i poeta barokowy Józef Bartłomiej Zimorowic przedstawia lisowczyków jako rycerzy wypełniających misję szerzenia prawdziwej wiary w wojnach

eprasa.pl de5a4573f7

z heretykami, ze schizmatykami i z poganami.

Nie litowałeś dusze twej wylać przez rany,
bijąc po wszystkich stronach waleczne pogany. [...]
A żeby heretycy ślepi nie błądzili,
Wyście je od złej drogi za łeb odwodzili,
Wyście lutrom do nieba porobili mosty,
Obudziwszy pokutę i wskrzesiwszy posty. [...]
Słusznie się też was boją, słusznie dla was trwożą,
Słusznie was nazywają dziwną pomstą Bożą.

Pamiętajmy jednak, że ci polscy elearzy, którzy i dla swoich bywali dopustem Bożym, potrafili przy tym ofiarnie służyć ojczyźnie. Tysiąc dwieście lisowczyków dowodzonych przez Rogowskiego do końca towarzyszyło staremu hetmanowi Żółkiewskiemu w starciu z armią turecko-tatarską pod Cecorą. W 1621 r. Rusinowski wrócił ze swymi żołnierzami z Niemiec do hetmana Jana Karola Chodkiewicza pod Chocim, gdzie zginął w walce z Turkami. Pod buławą hetmana Stanisława Koniecpolskiego lisowczycy nauczyli się bić Szwedów Gustawa Adolfa na Pomorzu. Tam też w szeregach lisowskich szlifował talent zagończyka Stefan Czarniecki. Przyda mu się to ponad ćwierć wieku później podczas najazdu Karola Gustawa...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

„Lisowczyk na pikiecie", grafika Władysława Szernera

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Kamraci pana Andrzeja Kmicica

Maciej Rosalak

Jeżeli chciałbyś ujrzeć lisowczyków „jak żywych", to weź do ręki tom I „Potopu" i przeczytaj charakterystykę kamratów pana Andrzeja Kmicica. Wprawdzie w tym czasie oddziały lisowczyków formalnie już nie istniały, ale ten typ żołnierza zabijaki w Rzeczypospolitej nadal miał się dobrze. Z takich jak oni chętnie korzystał np. Stefan Czarniecki, za młodu sam walczący w lisowskich szeregach.Krótko i celnie, genialnie przedstawiał Kmicicowych kamratów Henryk Sienkiewicz: „Przed innymi szedł olbrzymi Jaromir Kokosiński, Pypką się pieczętujący, żołnierz i burda sławny, ze straszliwą blizną przez czoło i policzek, z jednym wąsem krótszym, drugim dłuższym [...] skazany na utratę czci i gardła w Smoleńskiem za porwanie panny, zabójstwo i podpalenie". Dalej widzimy pana Ranickiego, skazanego na banicję z województwa mścisławskiego za zabójstwo „dwóch szlachty posesjonatów. Jednego w pojedynku usiekł, drugiego bez boju z rusznicy ustrzelił. [...] Zawadiaka to był, w ręcznym spotkaniu niezrównany". Za nim dostrzegamy: Rekucia-Leliwę, który „fortunę w kości przegrał i przepił"; pana Uhlika, który „na czekaniku pięknie grywał", ale został „za rozpędzenie trybunału bezecnym ogłoszony i na gardło skazany"; ogromnego pana Kulwieca-Hippocentaurusa; i wreszcie Zenda, „człowieka niepewnego pochodzenia, choć się szlachcicem kurlandzkim powiadał", a jednocześnie „będąc bez fortuny, konie Kmicicowe ujeżdżał, za co lafę pobierał".

Laudańscy opiekunowie panny Oleńki uprzedzali ją: „To wszystko ludzie bezecni, przeciw którym infamie są, i protesta, i inkwizycje. Katowskie to syny! Ciężcy byli nieprzyjacielowi, ale i obywatelstwu ciężcy. Palili, rabowali, gwałty czynili! Ot, co jest! Żeby to tam kogo usiekli albo zajechali, to się i zacnym zdarza, ale ono podobnoć goła tatarskim procederem żyli...".

A Oleńce stanęły przed oczami ich twarze, „na których błazeństwo, rozpusta i zbrodnia wycisnęły pospołu swe pieczęcie". Następnie Sienkiewicz opisuje, jak jechali przez Wołmontowicze po swoją zgubę w karczmie, a „młode szlachcianki słyszały już o rozpuście w Lubiczu i o sławnych jawnogrzesznikach [...] więc przypatrywały się im jeszcze ciekawiej. Oni zaś jechali dumnie, w pięknych postawach żołnierskich, w zdobycznych aksamitnych frezjach, w kołpakach rysich i na dzielnych koniach. Znać było, że to żołnierze zawołani: miny rzęsiste i harde, prawe ręce wsparte w boku, głowy podniesione. Nie ustępowali też nikomu, jadąc szeregiem i pokrzykując od czasu do czasu: Z drogi!".

Podobnych wielu było w Rzeczypospolitej. Z takimi jak oni Kmicic trafił też – już po dobrej stronie mocy – pod komendę Czarnieckiego i puszczał z dymem Prusy elektorskie, czyli dzisiejsze Mazury i obwód kaliningradzki. ©℗

eprasa.pl de5a4573f7

Arsenał / Czym walczyli polscy jeźdźcy

Uzbrojenie lisowczyka

Michał Mackiewicz

Zagończycy płk. Lisowskiego używali broni europejskiej i orientalnej. Słynęli z szalonych szarż

RYS. MAREK SZYSZKO

Szabla

Podstawowym orężem polskich lekkich chorągwi, a do takich zaliczani są lisowczycy, była szabla. Do najpopularniejszych w XVII w. należała „węgierka", nazywana kilkaset lat później przez bronioznawców typem polsko-węgierskim. Wykształcona u naszych południowych sąsiadów pod wpływem tureckim, zagościła na dobre w Polsce u schyłku XVI w. Charakteryzowała się otwartą rękojeścią (tzn. pozbawioną kabłąka) z prostym jelcem, krótkim trzonem i migdałowatą, pochyloną nieco ku przodowi głowicą oraz szeroką głowią o niewielkiej krzywiźnie, z wyodrębnionym młotkiem i obosiecznym piórem. Była to broń wybitnie bojowa, krzywizna głowni zapewniała cięcie posuwiste, krojące, natomiast lekkość oręża i forma rękojeści umożliwiały efektywną szermierkę. Skumulowanie ciężaru na końcu głowni, co osiągnięto poprzez wspomniane wydatne pióro wyodrębnione młotkiem, zwielokrotniało siłę uderzenia. Oczywiście używano też innych typów, np. orientalnych w formie czeczug/ordynek charakteryzujących się smuklejszymi głowniami i wąskimi rękojeściami zakończonymi naparstkowatą głowicą oraz słynnych karabel z „orlimi" rękojeściami, ale najpopularniejszą bronią do schyłku XVII w. pozostaje „węgierka". Jej forma ewoluuje; znane są egzemplarze z paluchem, czyli uchwytem na kciuk umożliwiającym pewniejszy chwyt (oparcie kciuka ułatwiało m.in. wyprowadzanie krótkich cięć dłonią), czy szable z rękojeścią półzamkniętą, ale nie są to zmiany rewolucyjne.

Żupan i delia

Dopełnieniem wizerunku naszego jeźdźca był ubiór wschodniego typu, bo taki zaczął dominować wśród szlachty od czasów Batorego. Z uwagi na charakter formacji, a z początku także jej wieloetniczność, trudno mówić o jednolitości, panowała pstrokacizna. Kapelan lisowczyków Wojciech Dembołęcki pisał: „Płaszcze opięte, czapki wysokie, pludry wąskie jak rękaw, buty żółte, podkute, zbroi nie mają...". Owe opięte płaszcze to bez wątpienia żupany. Szatę tę można było nosić jako strój spodni, a także samodzielnie, jako odzież codzienną. Żupan sięgał najczęściej poza kolana, był lekko dopasowany do talii, a dołem rozkloszowany. Miał długie, zwężające się rękawy i kołnierzyk lekko podwyższony z tyłu. Żupan zapinano na małe guzy do wysokości pasa. Odpowiedni zarówno dla żołnierza, jak i cywila, był bardzo wygodny. Na żupan zarzucano delię. Było to okrycie długie, dopasowane do linii stanu, dołem rozszerzane, zapinane na guzy, z dekoracyjnymi zwisającymi rękawami i wydatnym futrzanym kołnierzem. Delię wykonywano z kosztownych tkanin, często importowanych, i podszywano atłasem, tkaniną jedwabną (kitajka), suknem lub futrzanymi błamami. Ważne były kolorystyka, żywe barwy, odmienne dla wierzchu i spodu.

eprasa.pl de5a4573f7

Bez zbroi

Co się tyczy uzbrojenia ochronnego, to przyjęto za pewnik, że lisowczycy byli go pozbawieni. Na poparcie tej tezy można przytoczyć fragment mowy Jarosza Kleczkowskiego, który prezentował naszych jeźdźców cesarzowi Ferdynandowi II pod Wiedniem w 1620 r.: „Żelaza nie mamy, tylko u koni pod nogami, u siebie przy boku, ale częściej w ręku". Oczywiście lekkość formacji miała niebagatelne zalety – szybkość manewru chorągwi pozbawionych taboru bywała kluczem do sukcesu. Należy jednak pamiętać, że lisowczycy byli formacją ochotniczą, nieregularną i kwestie wyposażenia traktowali indywidualnie. Szymon Starowolski, charakteryzując lekkie chorągwie Rzeczypospolitej, pisał: „Różne były ich rodzaje, jedni bez broni palnej, drudzy bez łuków, inni też rzadsi, żelazem pokryci. Konie ich rącze i silne, ale nie kosztowne, i cały skład i uzbrojenie zupełnie dowolne". Wypisz wymaluj lisowczycy... Nie można wykluczyć, że w niektórych kampaniach żołnierze sięgali po kolczugi, misiurki lub posługiwali się orientalnymi tarczami – kałkanami.

Bandolet

Bronią powszechnie używaną przez lisowczyków były pistolety i karabinki/bandolety. Popularność tej broni w formacjach jezdnych, nie tylko na zachodzie Europy, lecz także w Rzeczypospolitej, datuje się od I połowy XVI w. i związana jest ona z zastosowaniem zamka kołowego. W porównaniu z kłopotliwą w obsłudze bronią lontową, której używano zasadniczo tylko w piechocie, ta z zamkiem lontowym okazała się radykalnie wygodniejsza. Umożliwiała natychmiastowy strzał bez potrzeby skomplikowanych manipulacji przy mechanizmie. Najważniejszym elementem nowego zamka było koło ze żłobkowaną krawędzią, umocowane na osi i nakręcane specjalnym kluczem podobnie jak zegarowy mechanizm. W szczękach ruchomego kurka, utrzymywanego we właściwej pozycji za pomocą sprężyny, tkwił piryt. Po nakręceniu mechanizmu należało przesunąć kurek tak, aby piryt dotknął krawędzi koła. Naciśnięcie spustu wprawiało koło w gwałtowny obrót, a trący piryt powodował powstanie iskry; ta, padając na panewkę, wywoływała zapłon. Ogień przedostawał się poprzez otwór zapałowy do komory prochowej w dnie lufy. Po załadowaniu i nakręceniu koła broń gotowa była do użycia w każdej chwili. W trakcie strzału nie dochodziło do przemieszczenia się kurka, a więc szarpnięcia, co mogłoby negatywnie wpływać na celność. Ta precyzyjna konstrukcja miała także wady: była droższa, niż prymitywny zamek lontowy, znacznie podatniejsza na zanieczyszczenia i mechaniczne uszkodzenia oraz trudna do naprawy w warunkach polowych. Dlatego też zadomowiła się głównie w jeździe. Pistolety przewożono w olstrach przy siodle, natomiast karabinki/bandolety miały stalową antabę z boku łoża, o którą zaczepiano pas nośny.

Siodło

Rząd koński także trącił Orientem. Siodła były lekkie, małe, „dziw, że z nich nie spadną" (Dembołęcki), w typie kulbaki, a więc o wysokim przednim łęku i niskim tylnym; ogłowie i strzemiona bywały bogato dekorowane.

Koń

Koń był bez wątpienia najważniejszą i najdroższą częścią „wyposażenia" jeźdźca. Najlepsze konie spotykało się w husarii, ale także w lekkich znakach, zwłaszcza u lotnych lisowczyków, jakość wierzchowców musiała być wyjątkowa. Ponieważ historycy i hipolodzy są godni, że w dawnej Rzeczypospolitej nie wyhodowano oryginalnej polskiej rasy, można sądzić, iż nasi zagończycy „zażywali" koni w typie wschodnim, najbardziej wśród szlachty cenionych. Słynęły one z wytrzymałości i szybkości, a te cechy, z uwagi na taktykę walki, były najbardziej w polskiej jeździe pożądane.

Łuk

W skład uzbrojenia zaczepnego wchodziły też azjatyckie łuki o budowie kompozytowej, które z uwagi na znaczną szybkostrzelność i niezłą siłę rażenia nieopancerzonego przeciwnika stosowano w jeździe polskiej i litewskiej przez cały XVII w.

Rohatyna

Trudno powiedzieć, czy była stałym elementem wyposażenia. Zapewne, tak jak w przypadku długiej broni palnej, sięgano po nią w zależności od charakteru przeciwnika, z którym miano się potykać. Rohatyną, protoplastką ułańskiej lancy, operowano z jednej ręki i w starciach z wrogiem pozbawionym broni drzewcowej była to broń śmiertelnie skuteczna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de5a4573f7

1575–1616 / Aleksander Lisowski

Hetman własnego wojska

Józef Brandt „Lisowczycy. Strzelanie z łuku" FOT. MUZEUM NARODOWE W POZNANIU

Znakomity portret Aleksandra Lisowskiego zawarł w „Lisowczykach" Antoni Ferdynand Ossendowski. Przedstawiamy fragmenty tej książki

Jestem Jarosz Hieronim Kleczkowski, pułkownik czarnej chorągwi naszego hetmana, pana Aleksandra Józefa Lisowskiego. Przybywam do grodu waszego z orędziem jego, danym in fundamento listu przypowiedniego Jego Królewskiej Mości, miłościwie nam panującego króla Zygmunta III oraz rozkazu wielkiego hetmana litewskiego Jana Karola Chodkiewicza!

To mówiąc, pan Kleczkowski czapę z powrotem na mocną okrągłą głowę wcisnął i wyjąwszy z zanadrza pismo, głosem tubalnym, który aż hen! ponad stolicę litewską popłynął, ją czytać:

„Na twarde i niebezpieczne posługi woła nas Król i Ojczyzna, ale też dozwoliły zakazanych innym pułkom wolności i zysków. W orężu i odwadze cały nasz żołd, cała nagroda. Pewniejsze one będą niż zawodne z publicznego skarbu zapłaty. Niepospolitej ja od was żądam odwagi! Jeżeli jeden wśród was jest, który by na wymierzone przed sobą działo nie rzucił się, jeden nie uderzył na pięciu, gdy ja rozkażę, nie wskoczył pierwszy na mury lub w bystre i głębokie nurty, niech do szeregów moich nie dąży! Orężem waszym będą szabla i rusznica, łuk z sajdakiem, rohatyna, koń lekki i wytrwały; ani wozów, ani taborów, ani ciurów nie ścierpię! Wszystko nosić będziecie ze sobą. Nie wymagam ja po was gładkich w szyku obrotów, ino natrzeć zuchwale, kiedy potrzeba rozsypać się, zmylić ucieczkę, znów się odwrócić i nieprzyjaciela obskoczyć, to – dzieło nasze! Dam odpoczynek, gdy czas po temu, lecz w potrzebie, w pracach waszych znać nie będzie- cie ni dnia, ni nocy. Przebiegać najodleglejsze szlaki nieprzyjacielskie, krainy palić, wsie burzyć i miasta, pędzić przed sobą trzody bydła i jeńców tysiące, nie przepuszczać nikomu – to odtąd stać się ma jedynem zatrudnieniem waszym!".

Tłum milczał, ważąc w myślach słowa orędzia.

eprasa.pl de5a4573f7

Pan Kleczkowski uśmiechnął się pod wąsem i dorzucił jeszcze głośniej, chociaż w słowach jego zabrzmiały już gniew i drwiny:

A pomnijcie k'temu, że wprawdzie na zbrojnego nieprzyjaciela nie dość jesteśmy opatrzeni, zwłaszcza w żelazo, którego na wojnie, w największym niepokoju, dla ustawicznego używania nie mamy, tylko u koni pod kopytami, u siebie zaś przy boku, a częściej w garści!

Znowu milczał tysięczny tłum.

Ho! Ho! – zagrzmiał pan Jarosz i śmiał się długo i urągliwie. – Ho! Ho! A to ci Litwa odważna! Czy nie macie tu kogo z Białej Rusi, z Inflant? Może tam są junacy, a nie tchórze, mieszczuchy pasibrzuchy, na wiedźmę dziobatą! Pfy! Pfy! Panowie szlachta!

Splunął pułkownik i ku bachmatowi oczy swe obrócił, jak gdyby odjechać zamierzał.

My z Inflant jesteśmy i z Białej Rusi – padły jednocześnie dwa głosy. – Ksawery Lis z Rzeżycy i Jan Haraburda z Lucyna!

No i cóż gadać będziecie? – rzucił pytanie pan Kleczkowski.

My do wojenki z dziada pradziada ochotni jesteśmy, ino… – mruknął sędziwy pan Ksawery.

Ino co? Wszystko jasne jak słońce! – krzyknął pułkownik.

Zdrada, wasza dostojność!

Co tam masz? – spytał pan Chodkiewicz.

Pan pułkownik Aleksander Lisowski o posłuch prosi, wasza dostojność – odpowiedział pachołek.

A słowo stało się ciałem! – zakrzyknął hetman. – Właśnie o nim myślałem. Dawaj go tu, a żywo!

Po chwili drzwi się otworzyły i na progu stanęła wyniosła postać rycerska i oddała pokłon wojskowy.

Rad jestem widzieć waćpana, mości pułkowniku! – rzekł cicho hetman i oczy wbił w stojącego nieruchomo wojownika.

Oglądał go tak bacznie, jak gdyby po raz pierwszy widział. Wyczuł to w mig rycerz i stał wyprostowany, milczący.

Pan Chodkiewicz swój wzrok przenikliwy zatrzymał na chudej, marsowej, ogorzałej twarzy pułkownika, na jego stalowych zimnych oczach, na ustach zaciętych, na krótko przystrzyżonych wąsach i gładko ogolonej głowie.

Czarna, przydługa czamara, mocno zaciągnięta skórzanym pasem z wiszącą na nim krzywą, ciężką szablą, oblegała szeroką pierś i wąskie biodra rycerza.

Pan Lisowski stał długo, bez najmniejszego ruchu, ścisnąwszy w ręku okrągłą czapę futrzaną z uszami. Stał tak twardo i niewzruszenie, że nawet ostrogi na długich, za kolana sięgających butach, nie zadzwoniły ani razu. Czekał i, jak w tęczę, patrzył w oblicze hetmana.

Siadaj waść! – rozkazał wreszcie pan Chodkiewicz i dłonią wskazał na zydel. – Miałem cię na myśli, gdyś sam przyszedł. Omen w tym widzę i nunc bono animo sum! [jestem dobrej myśli – przyp. red.]. Z czym przychodzisz waść?

Głuchym, lecz pewnym, nawykłym do rozkazów głosem odrzekł pan Aleksander Lisowski:

Z doniesieniem stawiłem się do waszej dostojności, panie hetmanie, iż posiłki zaciężne do mnie przybyły. Więcej się już nie spodziewam, chyba gdzieś w pochodzie zgarnę z luźnych watah i rozsypanych wszędzie kup swawolnych.

Dużo tego jest? – spytał pan Chodkiewicz.

Rogowski przywiódł z Łęczycy i sieradzkiej ziemi tysiąc i pięciuset ludzi, Kleczkowski z Litwy, Białej Rusi i Inflant dwa tysiące, osobno przybyło pięciuset jeźdźców pod znakiem Lisów i dwustu pod komendą Haraburdy Walentego, bratanka kasztelana mińskiego.

Toż to siła wojska masz! – zawołał hetman.

Z tymi, co już miałem pod Smoleńskiem, pięć tysięcy szabel, wasza dostojność – odpowiedział pułkownik.

Nagle wstał i wyprostował się.

Podobny był w tej chwili do ogromnego, czarnego orła, groźnego i drapieżnego.

Hetman ze zdziwieniem podniósł oczy na pana Lisowskiego.

Wasza dostojność! – zaczął mówić pułkownik, a głos stawał mu się coraz bardziej głuchy, aż przeszedł w chrapliwy szept. – Wasza dostojność! Straciliśmy dwadzieścia miesięcy pod Smoleńskiem bez pożytku, bo Moskale za ten czas na siłach się poprawili... Czyż i teraz siedzieć po dawnemu będziemy? Słyszałem, że król do Wilna z dworem całym ciągnąć zamierza, a Moskwy na myśli nie ma. Tymczasem Gąsiewski spali się tam i na nic pójdą wspaniałe trudy wielkiego hetmana koronnego. Zdrada, wasza dostojność, zdrada!

Uspokój się waść i siadaj! Pomnij, o jakiej osobie i przed kim mówisz! Wola królewska nam żołnierzom posłuch nakazuje! – rzekł pan Chodkiewicz.

Czas nagli, wasza dostojność, aby słowo prawdy wyrzec przed tym, który tę prawdę zrozumie! – szepnął pułkownik.

Hetman nagle za głowę się porwał i zaczął kiwać w fotelu, mówiąc:

W dzień i w nocy głowię się i troskam o to, wie rzaj mi waść! Ino cóż mogę zrobić! Nie masz tu wielkiego hetmana Żółkiewskiego, a Potoccy, Sieniawscy i Radziwiłłowie większy u króla posłuch mają i od moskiewskich spraw go do innych rzeczy odciągają. Król zwleka, wykręca się, jak może, gładkimi słowy zwodzi i koi troski... Cóż ja zrobić mogę?

Rozkaż, wasza dostojność, a ja króla jegomościa i wszystkich owych panów dziś jeszcze porwę i bezpiecznie do Moskwy doprowadzę, królewicza Władysława na tronie kremlińskim osadzę i całą Ruś spędzę do jego nóg, aby mu „czołobitne" składała w hołdzie pokornym, rabim!

Wyrzekłszy te słowa, pułkownik oczy stalowe wbił w zdumione oblicze hetmana.

Pan Chodkiewicz zaniemówił na chwilę.

Do czorta! – wyszeptał wreszcie. – To byłby pomysł nie lada... Przygoda, jakich nie bywało w historii. Beze mnie ożeniono mnie! Cha, cha, cha!

Hetman śmiał się, lecz w śmiechu tym nie było wesołości.

Za późno, waść, przychodzisz z tym! – szepnął niemal z rozpaczą. – Król chce albo sam zająć tron carów, albo nie wie, czego chce...

Spotkanie z królem

Drzwi komnaty uchyliły się i wszedł porucznik husarski Wojciech Niedźwiedzki, straż w obozie królewskim sprawujący.

Wyprostował się i rzekł:

Goniec z pismem od pana hetmana litewskiego ze Smoleńska o posłuch pilny, niezwłoczny prosi miłościwego pana!

Wprowadź! – rzekł król rozbawiony i wesół bez miary.

Porucznik odchylił kotarę i przed obliczem majestatu stanął Lisowski.

Okryty błotem od stóp do czapy, z czarną niemal, zimnym wiatrem

eprasa.pl de5a4573f7

owianą twarzą, stał pułkownik i wpatrywał się w króla stalowe, jarzące się oczy.

Wspaniała, potężna i dumna postawa gońca uderzyła obecnych. Ci bowiem znali się na ludziach rycerskich i na fantazji kawalerskiej. Wszyscy oni słyszeli nie jeden raz o przewagach ambitnego pół watażki, pół pułkownika, jak nazywano w wojsku koronnym pana Aleksandra, jednak nigdy nie oglądali go na oczy własne, więc i nie wiedzieli, kto był ów rycerz wyniosły, chudy, barczysty, niby z rzemieni mocnych a grubych spleciony. Drapieżna głowa, wysoko podniesiona, i oczy pełne odwagi, zuchwałości i przenikliwości dzikiego zwierza uderzyły króla i otaczających go panów.

Tylko Lisowski!

Nawet ci, którzy niechętnym okiem na króla Zygmunta spoglądali, dobra dla Rzeczpospolitej od niego nie przewidując, z szacunkiem teraz mówili, że król do obcej i nieczystej sprawy nierad rękę przykładał, ustępując przeciw własnej woli naleganiom hetmana koronnego i Zamojskiego.

Zbyt młodzi jeszcze byli Marcinek i Olko Lisowie, aby w takie zawiłe sprawy głębiej wejrzeć. Palili się do czynów wojennych, do wiernej służby ojczyźnie, o inne racje nie dbali i o tym, co im głowy nie suszyło, nie myśleli.

Nie do Żółkiewskiego tedy ani do Koniecpolskiego, Lubomirskiego lub Chodkiewicza poszli, tylko do pułkownika Lisowskiego.

I nie dziw! Przesławny zagończyk, hetman lekkiej jazdy własnego tworzywa był w owe czasy wojenne, niespokojne, uosobieniem fantazji rycerskiej i odwagi porywającej.

Toteż garnęło się do niego wszystko, co było młode, w siły swoje ufne, a do przygód i bohaterskich czynów ochocze.

Kresowa szlachta, nawet starsza już wiekiem, też podziwiała Lisowskiego przez ambicję i dumę, że to z ich szeregów taki junak przesławny wyszedł i zabłysnął.

U hetmana

Król Zygmunt tak długo zwlekał z posłaniem świeżego wojska koronnego pod Moskwę i z przybyciem królewicza do stolicy, że hetman Chodkiewicz dłużej utrzymać Kremla w rękach polskich nie mógł. Może zresztą przetrzymałby jeszcze czas jakiś, lecz niesnaski i niekarność zgubę przyśpieszyły. [...] Zrozumiał wreszcie Chodkiewicz, że unikając klęski i hańby ostatecznej, zmuszony jest ku Smoleńskowi się cofnąć i wojska polskie z matni wyprowadzić.

Był to najstraszniejszy dzień w życiu bohaterskiego hetmana. Wtedy to przywołał do siebie Aleksandra Lisowskiego i za ręce go porwawszy, zapytał:

Pomnisz, waść, nasze narady w Smoleńsku?

Pomnę! – odpowiedział wojownik ponuro, bo już wiedział, co rzeknie doń hetman.

Przyszedł czas, abyś porażkę naszą sławą, grzmiącą na świat cały, okrył! – szepnął Chodkiewicz.

Uczynię tak… – szeptem odpowiedział groźny pułkownik.

Ojczyzna wdzięczna ci będzie, rycerzu!

Wdzięczności nie czekam, bo o nią u nas trudno! Nie potrzebuję jej… obym tylko serce miał ukojone myślą, że dla Rzeczpospolitej znój mego życia oddaję…

Ja cię bronić będę! – zawołał hetman. – Tam, na dworze królewskim i na sejmie nie pojmą wielkości twego szaleństwa, za zbrodnię i hultajstwo poczytywać je będą, ale przecież ty nas obronisz w odwrocie!

Postrach Rusi

Jezuita podbiegł do Lisowskiego i trzymany przez niego list królowi podał.

Zygmunt jednak nie śpieszył się z jego odczytaniem. Wpatrywał się w niezwykłą postać gońca.

Pocztowy czy pachołek hetmański? – rzucił nareszcie pytanie.

Pan Lisowski dłoń na jelcu szabli położył i pochylając głowę, rzekł dobitnie:

Hetman własnego wojska lekkiej jazdy, pułkownik Aleksander Józef Lisowski, wasza królewska mość! Znieruchomiał, tylko głowę orlą jeszcze wyżej podniósł i wzrokiem ponurym palił i badał zebranych panów. Wszyscy się podnieśli i z podziwem patrzyli na rycerza, którego imię stało się postrachem Rusi, jak była długa i szeroka; rozumieli wojenni panowie a i sam król, że około Lisowskiego już się zrodziła baśń krwawa i wspaniała, że był to człowiek stojący poza dziejami królów, hetmanów, marszałków, ba, nawet poza historią Rzeczypospolitej owych czasów. Rozumieli, że Lisowski sam tworzył swoją historię, porywającą legendę, płynął własnym prądem, osobnym łożyskiem, od ojczyzny niczego nie żądając, natomiast rozsławiając szeroko miecz polski i nowe, skuteczne sposoby wojny w życie wprowadzając.

Jako mór i pożoga

Pułkownik czekał, aż hetman przemówi pierwszy.

Nienawidzą ciebie bojarowie... – rzekł pan Chodkiewicz. – Powiadają, że jako mór i pożoga jesteś! Prosili, aby ciebie nie posyłać na Ruś... Co powiesz?

Pułkownik obojętnie wzruszył ramionami.

Wiem o tym, wasza dostojność! Nie masz grodu, gdzie by na mnie nie czyhano. Do nikogo strzałą zatrutą nie mierzą, ino do mnie! Tajnych zbójów zdradliwych do mego obozu nieraz posyłano. Już niejednemu z nich rzemienie z grzbietu zrywać kazałem...

Źle to, iż ciebie nienawidzą okrutnie! – mruknął hetman.

Pan Lisowski śmiać się począł cicho.

Dobre to, nie złe! Moskale, gdy mieli dobrotliwych carów, burzyli się i wojny domowe wszczynali. Iwan Groźny na pale buntowników wbijał i po więziennych lochach głodem morzył, za wielkiego przeto poczytują go cara. Na Rusi jeno okrutną ręką do posłuchu dojść można, wasza dostojność! Nie virtutes i misericordia [cnoty i miłosierdzie – przyp. red.], lecz siła i postrach rządzić owym krajem winny. Najokrutniejszych, najkrwawszych tam wielkimi nazywać zwyczajni są.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tytuł wyboru fragmentów i śródtytuły pochodzą od redakcji.

ANTONI FERDYNAND OSSENDOWSKI
„LISOWCZYCY"
ZYSK I S-KA

eprasa.pl de5a4573f7

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2018

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

VI EDYCJA

NIEZWYKŁEJ NAGRODY

Tytuł STRAŻNIK PAMIĘCI przyznawany jest corocznie w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Zgłoszenia można dokonać do 30.09.2018 r. drogą mailową: straznikpamieci@dorzeczy.pl lub pocztą: Redakcja "Do Rzeczy", Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, z dop. Strażnik Pamięci

PATRONAT HONOROWY: SEJM

niepodległa

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

WSPÓŁORGANIZATOR

PARTNER STRATEGICZNY: ORLEN

SPONSOR: PGNiG

PARTNERZY: PKP INTERCITY, PZL-ŚWIDNIK a LEONARDO HELICOPTERS company, TOTALIZATOR SPORTOWY, Poczta Polska

eprasa.pl/... A573f7

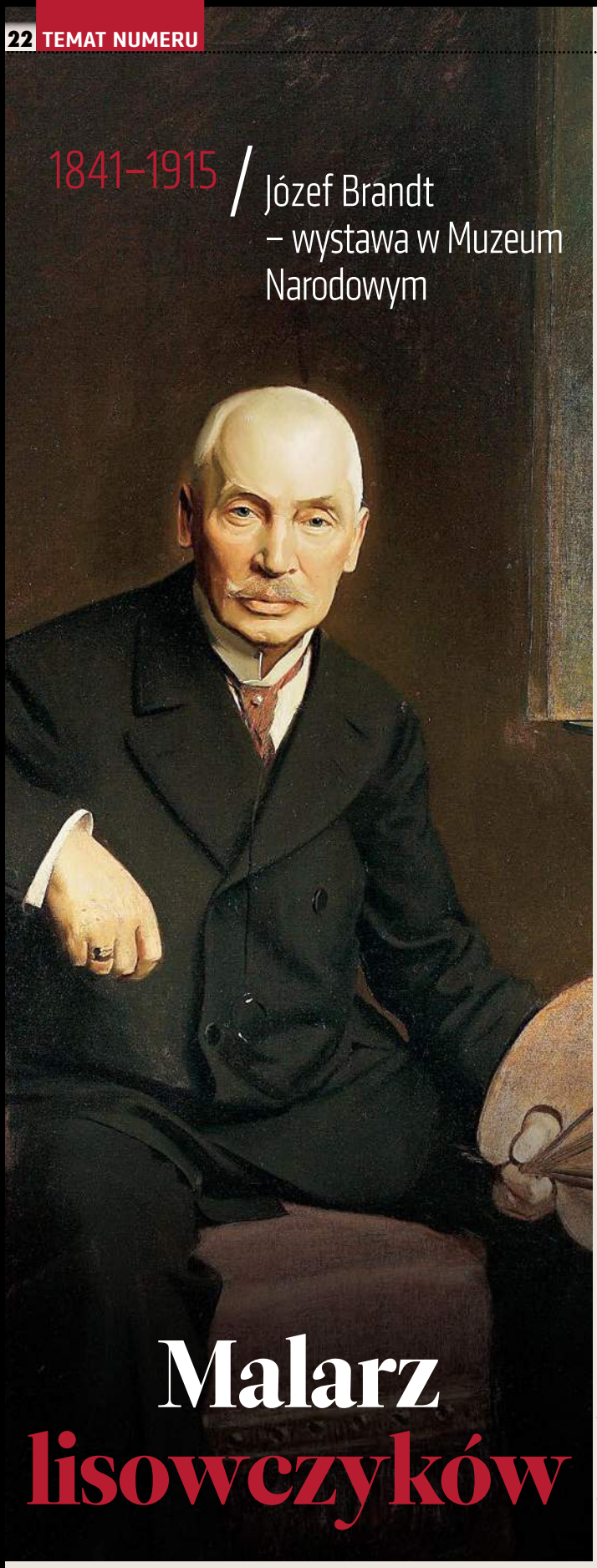

1841–1915 / Józef Brandt – wystawa w Muzeum Narodowym

Malarz lisowczyków

BOLESŁAW SZAŃKOWSKI „PORTRET JÓZEFA BRANDTA". FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Tomasz Stańczyk

Malarstwo Józefa Brandta krzepiło serca, przypominając chwałę oręża polskiego

Dziękując Józefowi Brandtowi za podarowany przez artystę obraz, Henryk Sienkiewicz pisał w liście do niego:

„Otwarcie wyznaję, że Waszemu mistrzostwu i Waszemu niezrównanemu poczuciu rycerskiego i stepowego życia zawdzięczam niejedno natchnienie, niejeden pomysł i wprost niejedną scenę w mojej Trylogii".

Zanim Sienkiewicz, młodszy o kilka lat od Brandta, urodzonego w 1841 r., zaczął publikować powieści „ku pokrzepieniu serc", Brandt znacznie wcześniej z tą samą intencją zaczął malować obrazy sławiące czyny polskiego rycerstwa – szlachty w XVII w.

Chwałę Polaków przedstawiał artysta pochodzący zarówno od strony ojca, jak i matki z rodziny niemieckiej, jednak już spolonizowanej. A o ile Sienkiewicz wywodził się ze starej szlachty, o tyle szlachectwo Brandtów było całkiem świeżej daty. Nadał je cesarz Aleksander I.

Brandt miał zostać inżynierem. W tym celu pojechał w 1860 r. do Paryża. Studiów jednak nie zaczął albo szybko je porzucił na rzecz malarstwa. Być może decydująca stała się znajomość ze starszym o kilkanaście lat Juliuszem Kossakiem. Brandt i Kossak pojechali na Ukrainę i Podole. Ewa Micke-Broniarek, znawczyni twórczości Brandta i kuratorka tegorocznej wielkiej wystawy w Muzeum Narodowym w Warszawie prezentującej twórczość tego artysty, pisała, że podróż ta wywarła decydujący wpływ na jego malarstwo:

„Jak wielu innych malarzy i poetów Brandta urzekła uroda tej rozległej, spalonej słońcem ziemi, gdzie wśród pradawnych kurhanów, na owianych legendą pobojowiskach, wciąż żywa była pamięć mężnych rycerzy stojących na straży granic, opierających się buntom kozackim i najazdom ordy tatarskiej".

Ukraiński stepowy pejzaż, stoczone tam bitwy oraz Kozacy staną się jednym z głównych tematów malarstwa Brandta.

W 1862 r. Brandt zaprezentował na wystawie pierwsze obrazy olejne, a wśród nich „Powrót Tatarów z bitwy pod Tychinem" oraz „Stefan Czarniecki na Tarancie". Na przełomie lat 1862 i 1863 rozpoczął studia na monachijskiej akademii sztuk pięknych. Zarazem jednak uczył się prywatnie u malarza batalisty Franza Adama.

Hans-Peter Bühler w książce „Józef Brandt, Alfred Wierusz-Kowalski i inni. Polska szkoła monachijska" stwierdzał, że Brandt nie zamierzał naśladować wyważonych kompozycji Adama ani chłodnego braku zaangażowania. Obrazy batalistyczne Brandta pełne są ruchu i emocji.

„Pochód lisowczyków", powstały w 1863 r., Ewa Micke-Broniarek uważa za pracę już całkowicie oryginalną i wyznaczającą kierunek malarstwa Brandta. Lisowczyków malował kilkakrot-

eprasa.pl de5a4573f7

nie. W 1869 r. otrzymał na międzynarodowej wystawie w Monachium złoty medal za obraz „Stanisław Strojnowski przedstawia arcyksięciu Leopoldowi chorągwie lisowczyków i konie zabrane palatynowi Renu". Namalował też obraz przestawiający obóz lisowczyków oraz „Lisowczyka (Buńczucznego)". W katalogu wystawy Brandta z 1926 r. w Zachęcie Stefan Popowski pisał:

„Oczajdusze Lisowczyki, zbieranina rycerska różnych strojów, jaskrawo barwna, malownicza, na różnych koniach i różnej broni, jest najprawowitszym dzieckiem twórczym Brandta".

Międzynarodowe uznanie zyskał Józef Brandt obrazem „Chodkiewicz pod Chocimiem", wystawionym w 1867 r. w Paryżu i entuzjastycznie przyjętym w kraju. O emocjach towarzyszących malowaniu tego wielkiego płótna Brandt pisał: „Tak mnie ta kompozycja opanowała, że nic mnie nie zajmuje, idąc na ulicy nic nie widzę, tylko rycerzy i konie, słyszę huk i krzyk".

W 1869 r. powstał „Powrót spod Wiednia – Tabor" zakupiony do zbiorów Franciszka Józefa I. Brandt namalował też bitwę pod Wiedniem, ukazując rozległe pole bitwy, a na pierwszym planie atak husarii w pobliżu tureckich namiotów.

Jednym z najznakomitszych obrazów Brandta jest „Czarniecki pod Koldyngą", pełen nastoju obraz pokazujący morski desant polskich oddziałów. Tytuł wzbudza wątpliwości, ponieważ w rzeczywistości ataku na Koldyngę nie poprzedzał taki desant. Zwycięstwo hetmana Stanisława Koniecpolskiego nad Tatarami przedstawiał inny okazały obraz: „Odbicie jasyru pod Martynowem".

Brandt mieszkał przez większość życia w Monachium. Jego obrazy, nagradzane złotymi medalami w Wiedniu, Berlinie i Monachium, były chętnie kupowane do zbiorów panujących w Austrii i krajach niemieckich. A mimo to, zajmując się malarstwem batalistycznym, wybierał wyłącznie tematy polskie. Podkreślając swoje pochodzenie, wiele płócien podpisywał: „Józef Brandt z Warszawy".

Po ślubie Brandt spędzał lato w odziedziczonym przez żonę majątku w Orońsku. Tam zastała go wojna. Niemieccy żołnierze ograbili pałacyk, zarekwirowali konie, które hodował malarz. Rodzina Brandtów została zmuszona do opuszczenia Orońska. Józef Brandt zmarł w Radomiu w 1915 r. Zgodnie z jego ostatnią wolą wyposażenie monachijskiego atelier, w którym znajdowała się kolekcja broni, zbroi, strojów, zostało podarowane narodowi polskiemu. Trafiło do Muzeum Narodowego w Warszawie. Wystawa w MNW gromadzi ok. 300 dzieł malarza. Trzytomowy katalog wystawy podsumowuje jego twórczość, która – jak pisała Ewa Micke-Broniarek – sławiła „dumną przeszłość i barwną egzotykę wschodnich rubieży Rzeczypospolitej, kształtując wizję polskiego rycerstwa jako symbolu tego, co najlepsze i najszlachetniejsze w narodzie".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Józef Brandt (1841–1915)" do końca września prezentowana jest w Muzeum Narodowym w Warszawie, a od 28 października będzie można ją oglądać w Muzeum Narodowym w Poznaniu.

Muzeum Narodowe w Warszawie

REKLAMA

REBIS

Zapraszamy do salonów empik i na empik.com

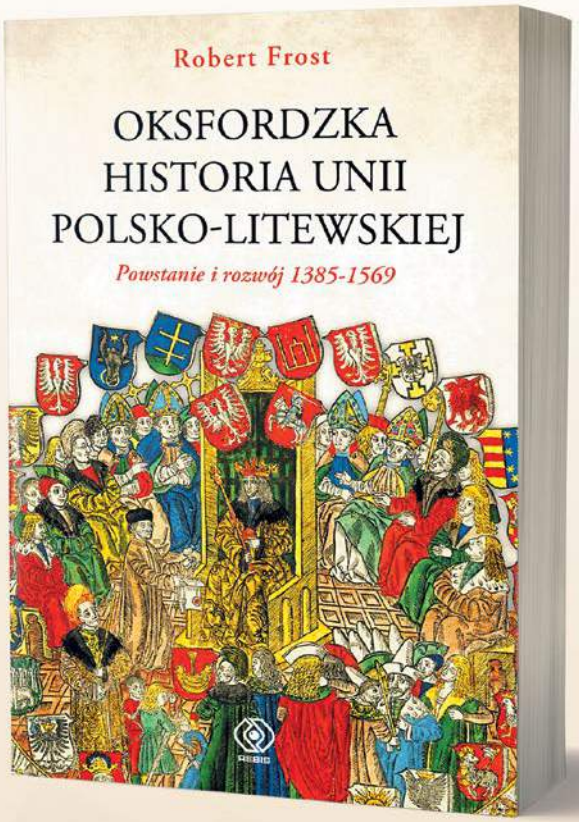

Historia jednego z najdłużej trwających związków politycznych w historii Europy.

Nie da się zrozumieć współczesnej historii Polski, Litwy, Ukrainy i Białorusi bez zrozumienia dziedzictwa unii polsko-litewskiej.

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

FB/DWREBIS www.rebis.com.pl

eprasa.pl de5a4573f7

FOT. CAF/PAP

4 czerwca 1943 r. / Katastrofa czy wypadek?

Gibraltar '43 – matactwa i fakty

Tadeusz A. Kisielewski

Brytyjczycy wreszcie ujawnili ściśle tajne akta z 1943 r. Niestety, nie ma wśród nich dokumentów, które podawałyby prawdę o śmierci gen. Władysława Sikorskiego

Wśród odtajnionyh dokumentów nie ma więc tych, które podawałyby prawdziwy przebieg katastrofy (jej przyczynę) i zawierały wykaz osób zaangażowanych w jej przeprowadzenie oraz inspiratorów ich działań. Być może dowiemy się tego dopiero w 2043 r., a może nigdy... Wybitny pilot myśliwski Stanisław Skalski opowiadał wielu znajomym, że gdy zapytał Churchilla, czy zostaną ujawnione prawdziwe dokumenty o okolicznościach śmierci gen. Sikorskiego, odpowiedź premiera brzmiała: „Nie wcześniej niż za sto lat". Warto zauważyć, że tym razem także Churchill dał wyraźnie do zrozumienia (być może niezamierzenie), że to nie szeroko rozpropagowana wersja wypadku jest tym, czego Polacy się nie dowiedzą...

Niemniej nadarza się dobra okazja, by przypomnieć udowodnione już fakty związane z katastrofą gibraltarską.

Matką większości błędów interpretacyjnych popełnionych przez różnego rodzaju autorów wydaje się niezrozumienie terminu „katastrofa". Wszyscy zwolennicy oficjalnej wersji oraz – paradoksalnie – niektórzy jej oponenci utożsamiają go z wyrażeniem „wypadek". Tymczasem jest to neutralny termin prawny. Katastrofa lotnicza może być wynikiem przypadku, błędu, pogody, awarii, sabotażu, zamachu.

Niepoprawne i nieuprawnione rozumienie terminu „katastrofa" pociągnęło za sobą błędną interpretację wyników sekcji zwłok polskich ofiar gibraltarskiej tragedii (tylko do nich ograniczało się polskie śledztwo, zarówno oficjalne, jak i prywatne). Czyżby wielu uważało, że medycy sądowi są powołani do określenia przyczyny katastrofy? Powinno być oczywiste, że kompetencje zawodowe upoważniają ich jedynie do określenia bezpośredniej przyczyny zgonu ofiar. I z tego zadania wywiązali się znakomicie, eliminując takie przyczyny jak uduszenie,

eprasa.pl de5a4573f7

zastrzelenie, cios jakimś narzędziem, otrucie. Te hipotezy zostały obalone i badaczowi nie pozostaje nic innego, jak tylko usunąć je z kręgu swoich rozważań, co zresztą sam publicznie uczyniłem.

Tymczasem wielu wdaje się w ryzykowną dla laika polemikę z biegłymi patologami, którzy ustalili, że w chwili zgonu ofiary były przytomne i reagowały na rozwój wydarzeń.

Niektórzy szydzili też z wykonania badania DNA gen. Sikorskiego, uważając, że jest zbędne. Jednak dobrze się stało, że ustalono, iż poddane sekcji szczątki rzeczywiście należą do Sikorskiego, ponieważ obala to hipotezę, jakoby w latach 1943–1993 żonglowano szczątkami „dwóch Sikorskich".

Całkowicie niezrozumiały jest podnoszony czasem zarzut, że biegli nie dokonali analizy okrzemek. Tymczasem podali oni do wiadomości publicznej, że w szczątkach generała zachował się tylko szkielet, a wiadomo, iż okrzemki można znaleźć i zbadać jedynie w płucach.

Wyniki autopsji

W tym miejscu należy przypomnieć ustalenia autopsji szczątków gen. Sikorskiego. O tym, że ofiara była w momencie wodowania żywa i przytomna (czyli mogła reagować na zagrożenie), a więc że nie potraktowano jej uprzednio kulą, trucizną, tępym czy ostrym narzędziem ani jej nie uduszono, świadczy aż pięć rodzajów obrażeń:

1. złamania wyrostków poprzecznych trzonów kręgów lędźwiowych od I do V po prawej stronie, charakterystyczne dla świadomego napięcia mięśni (nagły skurcz mięśnia czworobocznego lędźwiowego i lędźwiowego większego);

2. złamanie trzonu prawej kości łokciowej o charakterze klinowatym, ze współistniejącym zwichnięciem w stawie ramienno-promieniowym, powstałe zapewne w wyniku tego, że ofiara zasłoniła się przed uderzeniem w momencie wodowania;

3. duże spiralne złamanie trzonu prawej kości udowej z wytworzeniem odłamu pośredniego, pochodzące od siły działającej wielokierunkowo (czyli – mówiąc potocznie – odnosi się do ciała miotanego na wszystkie strony), zatem nie ma mowy, by powstało ono na skutek zrzucenia martwego ciała z dużej wysokości (jest to możliwe wyłącznie przy upadku na wyprostowaną kończynę, czyli ofiara musi być wtedy żywa);

4. złamanie prawej kości skokowej, czyli kostki, charakterystyczne dla towarzyszącego temu świadomego napięcia mięśni;

5. złamanie prawej kości piętowej w obrębie podpórki kości skokowej, charakterystyczne dla świadomego napięcia mięśni (komentarz jak w punkcie trzecim).

Mapa Gibraltaru FOT. ARCHIWUM

Powyższe ustalenia w żadnej mierze nie są sprzeczne z ekspertyzą prof. Jerzego Maryniaka, który stwierdził, że samolot był w pełni sprawny, a pilot przeprowadził kontrolowane wodowanie. Stwierdzone obrażenia są właśnie takie, jakich można się było spodziewać u ofiary, która nie była przypięta pasami bezpieczeństwa. Zresztą gdyby nawet pasażerowie z nich korzystali, to przy prędkości ok. 240 km/godz. szanse ich przeżycia były niewielkie (zwróćmy uwagę, że jedynym wyrwanym z mocowań fotelem pasażerskim był ten, w którym siedział przypięty pasami ppłk Victor Cazalet).

Samolot istotnie zbliżył się stopniowo do powierzchni wody, lecz zetknięcie się z nią spowodowało gwałtowny spadek prędkości, skutkiem czego pasażerowie zostali wyrzuceni do przodu. Piloci przeżyli, gdyż byli zapięci pasami/szelkami i przygotowani na rozwój wypadków.

2 marca 2011 r. odbyła się konferencja, podczas której ogłoszono wyniki autopsji trzech innych oficerów, którzy zginęli w Gibraltarze.

Charakter obrażeń kośćca u gen. Klimeckiego i płk. Mareckiego był w zasadzie taki sam jak u gen. Sikorskiego, to znaczy stwierdzono tak wielką liczbę tak poważnych złamań, że biegli nie mieli wątpliwości, iż obie ofiary zginęły na skutek masywnych obrażeń wielonarządowych, charakterystycznych dla katastrof komunikacyjnych. Różnice między obrażeniami naczelnego wodza i dwóch oficerów jego sztabu wynikały z zajmowania innych miejsc w samolocie i innych pozycji ciała.

U gen. Klimeckiego stwierdzono złamania żebra, trzonu kości łokciowej, obrotnika drugiego kręgu lędźwiowego, miednicy i prawej kości udowej. U płk. Mareckiego – złamania żeber, łopatki, mostka i kości czaszki w obrębie otworu wielkiego.

W konkluzji stwierdzono, że złamania kości u Sikorskiego, Klimeckiego i Mareckiego wskazują, iż doznali ich za życia, przy czym biegli nie przesądzają, co spowodowało katastrofę, co jest oczywiste w świetle ich zawodowych kompetencji.

Charakter obrażeń, jakie odniósł por. mar. Józef Ponikiewski, różnił się zasadniczo od obrażeń obu generałów i pułkownika. „Stwierdzone u niego obrażenia kośćca były najmniejsze spośród przebadanych uczestników katastrofy".

Ponikiewski miał złamaną kość piszczelową w połowie trzonu, obojczyk oraz dwa żebra po lewej i dwa po prawej. Nie były to zatem ciężkie, zagrażające życiu urazy, lecz biegli stwierdzili, że nie potrafią podać bezpośredniej przyczyny zgonu ofiary. Badanie „nie wykazało uszkodzeń kości, które musiałoby się wiązać ze śmiertelnymi uszkodzeniami

eprasa.pl de5a4573f7

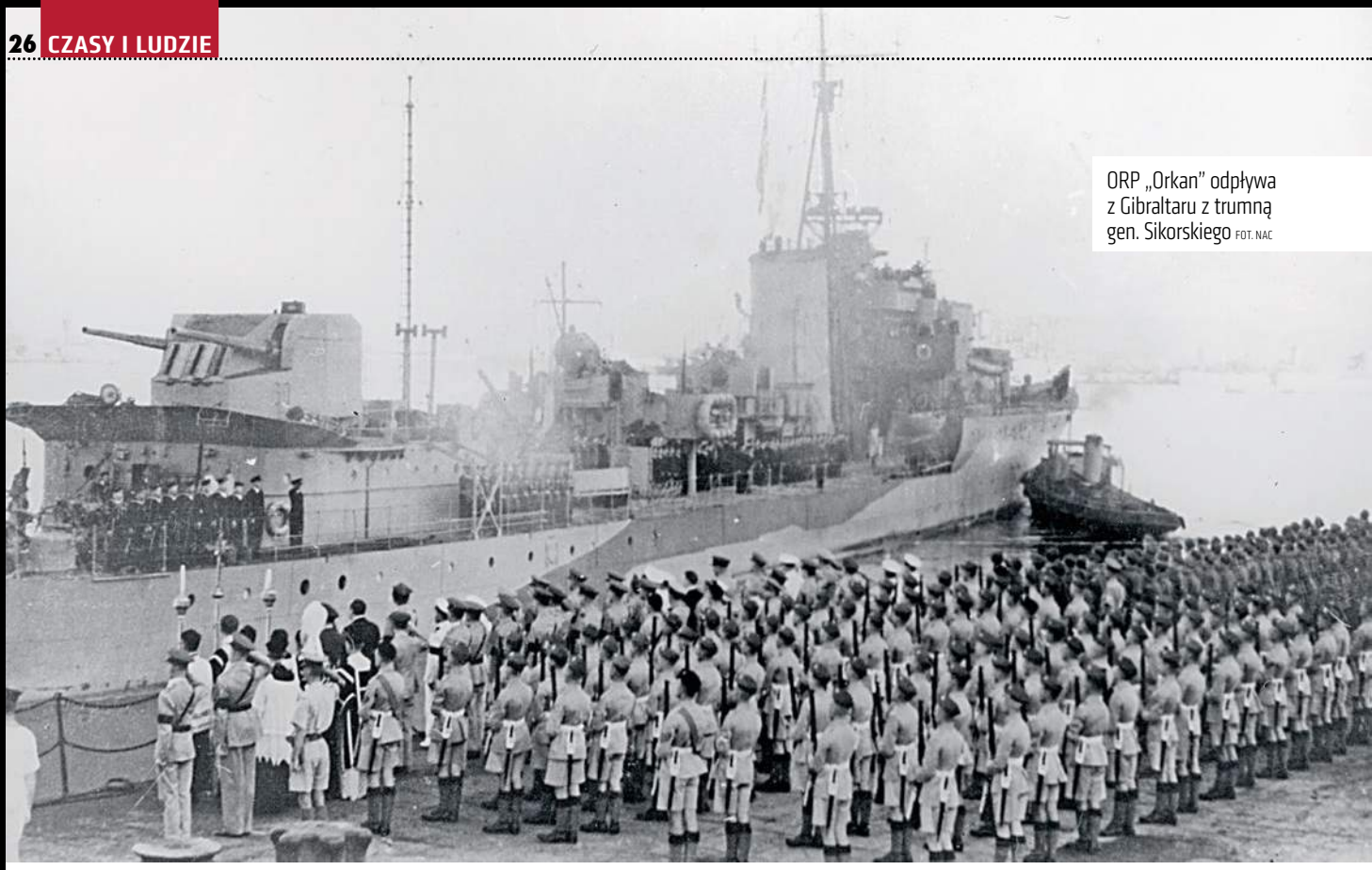

ORP „Orkan" odpływa z Gibraltaru z trumną gen. Sikorskiego FOT. NAC

narządów wewnętrznych". Ponikiewski mógł utonąć, ale bez badań organów wewnętrznych, które się nie zachowały, i bez wyników sekcji zwłok, której nie przeprowadzono tuż po katastrofie, nie da się tej tezy ani potwierdzić, ani wykluczyć. „Jest całkiem możliwe, że w przypadku osoby młodej nawet niewielkie obrażenia kośćca przy urazach o znacznej energii są powiązane z rozległymi urazami organów wewnętrznych", kości takiej osoby mogą bowiem łatwiej znieść silne uderzenie niż osoby starszej, lecz odporność organów wewnętrznych jest podobna niezależnie od wieku.

Zagadka Ponikiewskiego

Po oficjalnej części konferencji zadałem biegłym kilka pytań. Dowiedziałem się, że teoretycznie rzecz biorąc, Ponikiewski mógł pływać, pod warunkiem że żebra (lub żebro) nie przebiły płuca. Tego oczywiście nie można ustalić, skoro nie zachowały się tkanki miękkie. Na pytanie, czy obraz złamanych żeber pozwolił na ustalenie zmiany ich położenia względem płuc, odpowiedź była negatywna. Wreszcie zapytałem, czy – zakładając, że płuca były nienaruszone – stres powypadkowy był na tyle duży, iż mógł bardzo ograniczyć odczuwanie bólu złamanych kości (żeber, obojczyka i nogi), umożliwiając pływanie. Usłyszałem, że to niewykluczone, gdyż jest to znana i dość częsta reakcja obronna organizmu w stanie szoku.

Co do tego, że obrażenia Ponikiewskiego różniły się od obrażeń obu generałów i pułkownika, byliśmy zgodni – najprawdopodobniej powodem tych różnic było to, że Ponikiewski zajmował miejsce w innej części przedziału pasażerskiego niż trzy pozostałe przebadane ofiary, a – może w związku z tym – także przyjął inną pozycję podczas krótkiego lotu maszyny.

Kilka miesięcy po tej konferencji i dyskusji natknąłem się na opis przypadku osoby, która przepłynęła znaczny dystans, nie zdając sobie sprawy, że złamane żebro przebiło jej płuco. A 2 lutego 2018 r. w „The Wall Street Journal" przypomniano przypadek słoweńskiej biegaczki narciarskiej Petry Majdič, która – nieświadoma, że ma złamane cztery żebra, z których jedno przebiło płuco – pokonując przeszywający ból, w ciągu kilku godzin przebiegła cztery biegi, w ostatnim zdobywając brązowy medal olimpijski. Dopiero wtedy zgłosiła się do szpitala, w którym spędziła prawie tydzień.

Do tak uporczywego drążenia kwestii, czy Ponikiewski zdolny był pływać, skłonił mnie dokument, którego reprodukcję tu zamieszczam.

Uzupełnijmy tę notatkę. „Hiszpański szpital" – w grę mógł wchodzić wyłącznie szpital w La Línea de la Concepción. Ta niewielka wtedy miejscowość, a dokładniej rzecz biorąc – plaża Santa Barbara, jest oddalona od miejsca wodowania AL 523 niewiele dalej niż 637 m (w takiej odległości od brzegu Gibraltaru samolot osiadł na wodzie). Dla Ponikiewskiego, doskonałego pływaka, nie był to dystans, którego pokonanie przekraczałoby jego umiejętności i siły, a kwestię odczuwania pourazowego bólu można – w świetle wyjaśnień biegłych i przytoczonych tu przykładów – pominąć.

Świadectwo Hiszpana o „nielicznych zadraśnięciach" może być zgodne z prawdą, ponieważ biegli nie potrafili określić, czy złamania kości ofiary były otwarte. „Zadraśnięcia" mogły powstać, dopiero gdy Ponikiewski wydostawał się z samolotu.

Obiektywnie trzeba przyznać, że śmierć Ponikiewskiego w La Línea mogła nastąpić np. na skutek krwotoku wewnętrznego, spowodowanego przebiciem opłucnej lub płuca przez złamane żebro. Dodatkowym czynnikiem mógł też być

eprasa.pl de5a4573f7

wysiłek po przepłynięciu znacznego dystansu; być może dopiero wtedy doszło do przebicia opłucnej lub płuca.

Interpretację tę podważa jednak to, że ze szpitalnej książki przyjęć ktoś wyrwał stronę z zapisami z dnia katastrofy. Ewidentnie postarano się ukryć, że Ponikiewski ocalał. Nie uczyniono by tego, gdyby zmarł śmiercią naturalną, jeśli to określenie jest tu na miejscu, czyli na skutek obrażeń odniesionych podczas wodowania. Najwidoczniej go zamordowano, żeby przeszkodzić mu w złożeniu zeznań. Z całą pewnością nie zrobili tego Hiszpanie ani niemieccy agenci z La Línea. Po prostu nie odnieśliby z tego żadnych korzyści – w interesie Niemców było bowiem ujawnienie, że doszło do zamachu.

Uporczywie krąży nieprawdziwa pogłoska, podtrzymana nawet przez prof. Normana Daviesa, że w dniu zamachu na Sikorskiego w Gibraltarze był Kim Philby. Jednak po raz ostatni przed 4 lipca był tam 16 kwietnia. Natomiast 4 lipca był w La Línea de la Concepción… Informację, że Philby był wówczas w Hiszpanii, podał (bez skonkretyzowania miejsca) w 1981 r. dyrektor MI5 sir Howard Smith w liście do sekretarza gabinetu sir Roberta Armstronga. Najwyraźniej Philby chciał nadzorować akcję z bliska, a jednocześnie uniknąć choćby pozorów swego w nią zaangażowania. Z tego względu Gibraltar był wykluczony, a La Línea bardzo wygodna. Los też zrządził, że jego obecność w tym miasteczku zapobiegła natychmiastowemu ujawnieniu morderczego spisku. Gwoli ścisłości zaznaczam, że trzy ostatnie zdania nie opisują udowodnionego faktu, lecz stanowią logiczne wyjaśnienie przebiegu wydarzeń.

Notatka Romana Glury z relacji Zofii Naglerowej-Portalskiej nie jest jedynym śladem przeżycia przez por. Ponikiewskiego wodowania. 7 lipca 1943 r. o godz. 16.50 gen. Józef Ujejski wysłał z Gibraltaru do Londynu depeszę, w której m.in. napisał, że „Ponikiewski pozostaje oszołomiony (dazed) i prawdopodobnie całkiem wróci do zdrowia”… Ta depesza (i wiele innych ciekawych dokumentów) została opublikowana w Polsce już w 1986 r.

Według Brytyjczyków ciało Ponikiewskiego wydobyto z morza 6 lipca, i może to być informacja prawdziwa. Ujejski oczywiście nie mógł widzieć Ponikiewskiego po swoim przybyciu do Gibraltaru, zatem pozostanie tajemnicą, kto mu powiedział, że porucznik nie zginął, oraz dlaczego dobę po wydobyciu jego ciała Ujejski jeszcze o tym nie wiedział.

Grób Gralewskiego

We wrześniu 2011 r. mogło się wydawać, że jesteśmy już o krok od samodzielnego wyjaśnienia przez Polaków tajemnicy gibraltarskiej. Po dwuletnich staraniach IPN (OKŚZpNP w Katowicach) otrzymał bowiem zgodę Londynu na przeprowadzenie ekshumacji ostatniej – spośród dostępnych, bo ciał Zofii Leśniowskiej i Adama Kułakowskiego nie odnaleziono – polskiej ofiary katastrofy, czyli pochowanego w Gibraltarze kpr. Jana Gralewskiego, kuriera AK z Warszawy.

Napis na opatrzonym polskim godłem narodowym nagrobku na gibraltarskim cmentarzu głosi: „Płk. J.K.H. Gralewski 4th July 1943 Polish Forces”. Zdumienie budzi „awansowanie” kaprala na pułkownika. Istnieje relacja płk. Michała Protasewicza, szefa Oddziału VI sztabu Naczelnego Wodza, że kurier został znaleziony na pasie startowym z kulą w głowie. Protasewicz napisał też, że „Gralewski został zabity”. Bagaż kuriera był w samolocie, jednak jego osobiste papiery nie noszą śladu przebywania w wodzie. Tymczasem według oficjalnej wersji ciało Gralewskiego zostało wyłowione 8 lipca.

Gibraltar. Upamiętnienie tragicznego lotu gen. Sikorskiego FOT. ARCHIWUM

Alicja Iwańska, wdowa, w fabularyzowanej autobiografii i biografii męża „Niezdemobilizowani” dała wyraz swojej wiedzy, że zginął on od strzału, a podczas pobytu w Gibraltarze nie odwiedziła grobu opatrzonego przytoczoną tu inskrypcją.

Gdyby doszło do ekshumacji pochowanych tam szczątków, to otrzymalibyśmy pierwszy materialny dowód na to, że oficjalna brytyjska wersja wypadku jest nieprawdziwa. Pewność ta wynika z tego, że jeśli okaże się, iż nie jest to ciało kpr. Gralewskiego, to kompromitacja brytyjskiej wersji wydarzeń będzie natychmiastowa i absolutna. Jeśli jednak okaże się, że to jego szczątki, to i w tym przypadku dla reputacji Brytyjczyków rezultat będzie druzgocący, ponieważ przede wszystkim brak będzie charakterystycznych dla katastrofy komunikacyjnej licznych złamań kości, zwłaszcza tułowia, sugerujących obrażenia wielonarządowe, które byłyby bezpośrednią przyczyną śmierci osoby obecnej w samolocie. To, czy w czaszce złożonego tam człowieka zostanie odkryty ślad po kuli, nie ma dużego znaczenia, bo nawet jeżeli takiego śladu nie ma, to byłby to problem wyłącznie śp. płk. Protasewicza…

Formalności związane z ekshumacją zostały już załatwione (m.in. wniesiono opłatę o równowartości 15 tys. zł), a dzięki znakomitej kwerendzie archiwalnej i badaniom terenowym śp. p. Marii Potockiej z Towarzystwa Miłośników Historii mamy dostęp do pełnego porównawczego profilu DNA Gralewskiego, które w każdej chwili może być pobrane ze szczątków wszystkich jego najbliższych krewnych. Do wniosku o ekshumację przyłączył się też p. Jan Iwański, wykonując wolę wdowy po kpr. Gralewskim, swojej bliskiej krewnej.

Brytyjczycy stali więc na straconej pozycji i zdawali sobie z tego sprawę. Nie mieli jednak podstaw, by dłużej zwlekać z wydaniem zgody na ekshumację polskiego (?) obywatela. Załatwili więc sprawę polskimi rękami. Śledztwo zostało natychmiast przeniesione z Katowic do Warszawy, a tam podjęto decyzję o rezygnacji z przeprowadzenia ekshumacji.

„We Shall Overcome Some Day” – niech żywi nie tracą nadziei…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de5a4573f7

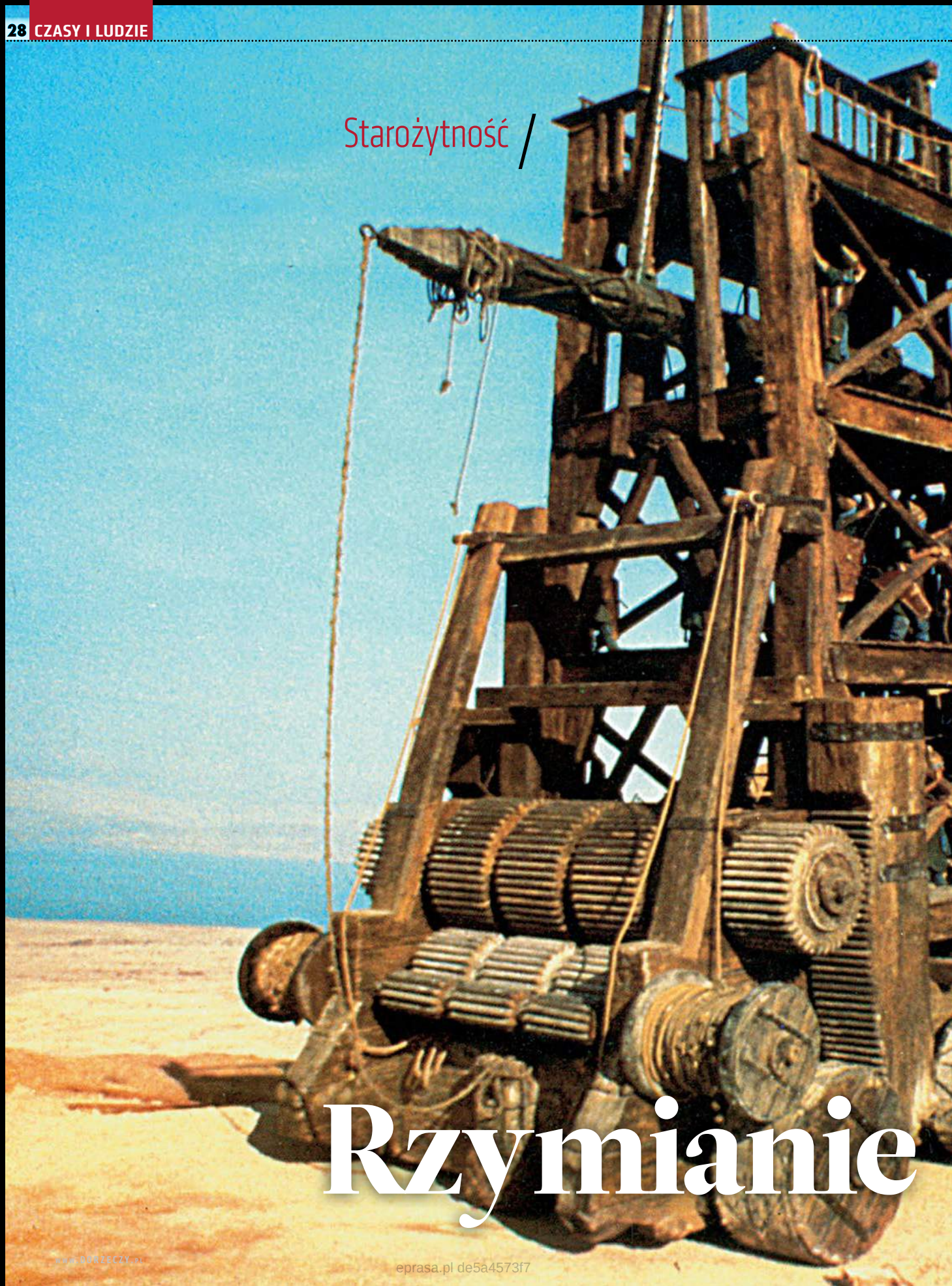

Starożytność /

Rzymianie

eprasa.pl de5a4573f7

Hollywood i bitwa o Masadę

kontra Żydzi

O rzymskiej machinie oblężniczej pisał historyk Józef Flawiusz. Kadr z serialu „Masada"

FOT. ALAMY/BE&W

eprasa.pl de5a4573f7

Jakub Ostromęcki

Filmowa Masada broniła się prawie pół roku. W rzeczywistości oblężenie nie trwało dłużej niż dwa miesiące

Chociaż od zekranizowanych wydarzeń upłynęło tysiące lat, filmy rozgrywające się w starożytności budzą zażarte spory polityczne. Tak było z „300" i z „Aleksandrem" wywołującymi histerię w Iranie i ze „Spartakusem", którego scenariusz napisany został przez radykalnego komunistę. Współczesne odniesienia, fobie i sentymenty pojawiły się również w przypadku czteroodcinkowego miniserialu „Masada" (Boris Sagal, 1981).

Nie ma co się dziwić. Na samym początku filmu widzimy izraelskich pancerniaków przygotowujących się do złożenia przysięgi na szczycie słynnej góry, a narrator wsadza kij w mrowisko: „Spuścizna Masady uczyniła z izraelskiego żołnierza jednego z bardziej śmiałych i zaciekłych obrońców wolności na świecie!". Wizja ta spodobała się oczywiście w Izraelu, gdzie każdy zna od dziecka frazę: „Masada drugi raz nie upadnie!". W Stanach Zjednoczonych wywołała jednak mieszane reakcje. „The New York Times" przestrzegał przed promocją sekciarskiego męczennictwa i fanatyzmu, przywołując niedawną przecież krwawą masakrę w Jonestown w Gujanie. Niepocieszeni byli również Brytyjczycy, gdy odkryli, że w filmie „dobrzy Żydzi" mówią z akcentem amerykańskim, w roli „złych Rzymian" obsadzono zaś głównie wyspiarzy.

Prolog filmu kończy się, gdy jeden z żołnierzy oczyma wyobraźni widzi sceny rozgrywające się tu prawie tysiąc lat wcześniej. Tak przenosimy się w czasy antyrzymskiego powstania w Judei z lat 66–73, którego ostatnim aktem było oblężenie twierdzy Masada i samobójstwo jej kilkuset obrońców, mających i tak w perspektywie śmierć, niewolę oraz pohańbienie własnych żon oraz dzieci.

Serial, oparty na powieści Ernesta Ganna, dodaje do wydarzeń historycznych liczne wątki fikcyjne, potrzebne tutaj z racji dość bezosobowego przekazu źródłowego autorstwa Józefa Flawiusza. Filmowe dzieje wojny żydowskiej opisane są z perspektywy dwóch przywódców – legata Flawiusza Silwy i lidera żydowskiej frakcji sykariuszy Eleazara ben Jaira. Rzymianin zmęczony służbą i niekończącymi się masakrami chce zakończyć wojnę w najmniej uciążliwy dla siebie, Rzymu i Żydów sposób. Wierzy przy tym w zbawczą (również dla Żydów) moc pax Romana.

Idealistą jest też Eleazar. Nie chce słyszeć o podporządkowaniu się imperium, o podatkach ani kulcie cesarza. Gromadzi więc ocalałych ze spalonej Jerozolimy sykariuszy, zelotów i organizuje partyzantkę. Silwa, podstępnie schwytawszy Eleazara, próbuje z nim negocjować. Z czasem obaj zaprzysięgli wrogowie zaczynają nabierać do siebie szacunku. Dochodzą do porozumienia: koniec oporu wobec Rzymian w zamian za zwiększenie autonomii Judei i wstrzymanie podatków na rok. Kompromis nie zostaje jednak wcielony w życie. Podczas pobytu Silwy w Rzymie jego trybuni zawiązują spisek i kierowani żądzą zysku zaczynają brutalnie rugować Żydów z ziemi, oddając ją na własność legionistom kończącym służbę i w ten sposób oszczędzając na odprawach. Wojna rozpala się na nowo, co

eprasa.pl de5a4573f7

Masada. Obok: Peter O'Toole jako Lucjusz Flawiusz Silwa

FOT. GETTY IMAGES

przywodzi zarówno Silwę, jak i Eleazara do Masady. Rozpoczyna się trwające wiele miesięcy oblężenie. Legat myśli, że sama demonstracja potęgi, techniki i zdolności organizacyjnych Rzymian spowoduje kapitulację, i zamierza potraktować obrońców wyrozumiale. W zajętej twierdzy odkrywa jednak tylko martwe ciała.

Żyd i Rzymianin

Silwa i Ben Jair są postaciami historycznymi. O ich usposobieniu i charakterze nie wiemy jednak nic poza tym, że byli charyzmatycznymi przywódcami lubianymi przez swoich podkomendnych. Rzymskiego legata poznajemy jedynie w świetle skutków wydawanych przez niego rozkazów, przytoczonych przez Flawiusza. Chociaż Silwa z pewnością znał rzymską cnotę zwaną clementia, która kazała czasem oszczędzić pokonanych, to niepodobna by zdobył się na wspaniałomyślne potraktowanie obrońców skalistej twierdzy po tym, jak jego legioniści całymi tygodniami tkwili pod nią w upale na bezwodnym pustkowiu i skoro jeszcze kilka miesięcy wcześniej wyrzynali dużo mniej bojowo usposobionych mieszkańców Joppy (Jafa) czy Tarichei (Migdal), nie bacząc na wiek ani płeć. Silwa był typowym przedstawicielem rzymskiej elity, a więc mógł niemal z pamięci cytować Ksenofonta, Polibiusza i Liwiusza. A mówili oni wyraźnie: zwycięzca ma prawo zrobić z pokonanymi mieszkańcami miasta, co chce: wyrżnąć, gwałcić, sprzedać w niewolę.

Eleazar ben Jair jest równie skąpo opisany w źródłach. Sagal zrobił z niego szydzącego z rabinów racjonalistę. Dopiero miesiące spędzone na szczycie Masady na powrót robią z niego religijnego Żyda. Gdyby Ben Jair rzeczywiście dał się poznać jako agnostyk, uznano by go za wariata i nigdy nie zostałby przywódcą ani zelotów, ani sykariuszy.

Jego filmowa mowa, już po „nawróceniu", w której proponuje masowe samobójstwo, jest jednak bardzo podobna do tej, którą przytoczył Józef Flawiusz. Był to zresztą moment pełen ponurej ironii: Rzymianie apelowali do obrońców, aby się poddali z uwagi na dobro swoich żon i dzieci, Ben Jair nawoływał zaś do zbiorowego samobójstwa dokładnie z tych samych pobudek.

Spiski i soldateska

Trzeba przyznać Gannowi i Sagalowi, że starali się uchwycić dzieje żydowskiej rebelii z wielu perspektyw. Jedna ze scen jest szczególnie pouczająca i przypomina realia wielu wojen partyzanckich XX w. Żydzi Ben Jaira atakują z zasadzki rzymski garnizon. W zemście dowodzący nim centurion każe spalić dobytek mieszkańców, podejrzewając ich o konszachty z napastnikami. Żydowscy wieśniacy zaczynają wówczas przeklinać oddział swoich rodaków, a jeden z nich wypiera się nawet swojego syna będącego członkiem grupy Ben Jaira. Scena ta jest jednocześnie próbą zmycia plam z pomnika żydowskiego przywódcy. Flawiusz opisał bowiem ową napaść zupełnie inaczej. W Engaddi, podczas Paschy, sykariusze napadli na swoich rodaków, zabijając ich aż 700 i zabierając ich dobytek do Masady. Takich rajdów było więcej i w przeciwieństwie do tego, co pokazuje film, ich celem byli nie tylko legioniści, lecz także Żydzi ugodowcy lub tacy, których sykariusze za ugodowców uważali.

Dramatyczne negocjacje Eleazara i Silwy, kompromis między nimi, jego zniweczenie przez chciwych trybunów to produkt wyobraźni Ganna i Sagala. W historii Rzymu zdarzało się oczywiście, że odchodzącym ze służby legionistom nadawano ziemię. W prowincjach naddunajskich czy w Brytanii był to nawet proces masowy. Na Bliskim Wschodzie jednak, z wyjątkiem Bejrutu, bardzo rzadki. Nieprawdopodobne też, aby weteranom nadawano ziemie w tak wrogim środowisku jak Judea.

Sagal podporządkował chronologię wymogom fabuły. Niszczycielskie rajdy sykariuszy rozpoczęły się, gdy Jerozolima nie została jeszcze zdobyta, a wodzem naczelnym armii rzymskiej w Judei był przyszły cesarz Wespazjan. Od upadku miasta (rok 70) do początku oblężenia Masady minęły trzy lata i wojskami rzymskimi w Judei dowodzili kolejno: Tytus, Lucyliusz Bassus i dopiero potem, w 72 r., Silwa. W filmie jednak

eprasa.pl de5a4573f7

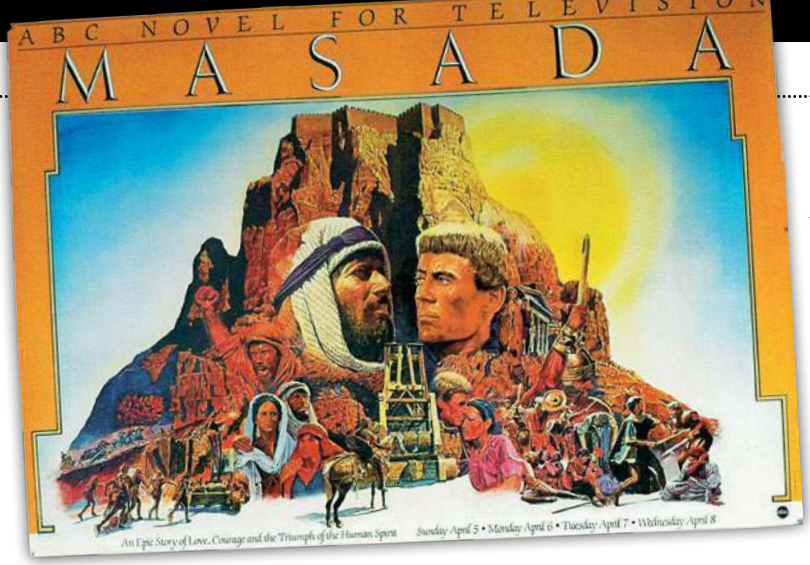

partyzantka Eleazara zaczyna działać po zdobyciu miasta, gdy Wespazjan jest już cesarzem, a po stronie rzymskiej jedynym dowódcą jest Silwa.

Równie dużo fikcji znalazło się w wątku dotyczącym intryg wśród rzymskich senatorów i trybunów wojskowych. Źródła milczą na temat próby pozbawienia Silwy dowództwa przez fikcyjnego Pomponiusza Falco. Silwa nie odbył również podróży do Rzymu w czasie toczącej się kampanii w Judei ani nie mógł spotkać się wówczas z cesarzem. Sam jednak mechanizm intryg czy relacji na linii Wespazjan – senatorowie jest zgodny z wiedzą historyków. Wespazjan tolerował (oczywiście do czasu) to, że dany senator ma inne zdanie. Miał też zdrowe poczucie humoru, co na tle kreatur i degeneratów panujących przed nim było pozytywną odmianą. Sagal uczciwie pokazał owe cechy charakteru.

Wojna po rzymsku i po żydowsku

„Trzeba było całej potęgi Rzymu, aby je stłumić" – głosi na początku filmu narrator o powstaniu w Judei. Jest to zdecydowanie zbyt daleko idące schlebianie żydowskiej sztuce wojennej. Na przełomie lat 60. i 70. dla imperium dużo groźniejszy był bunt legionów w Galii i Germanii, nie mówiąc już o zaangażowaniu sił w walkę o władzę między pretendentami do tronu w „roku czterech cesarzy". Do zdobycia Jerozolimy potrzebne były cztery legiony. Masadę osaczył jeden.

Epickie oblężenie twierdzy jest oczywiście najważniejszym elementem opowieści. W rzeczywistości nie było jednak tak niezwykłe. Badacz dziejów starożytnego Izraela Kenneth Atkinson wskazuje na brak solidnych fos lub rowów wokół obozów oraz bardzo małą liczbę odkopanych przez archeologów sprzętów kuchennych, narzędzi i lokalnej produkcji naczyń do przechowywania jedzenia. Oznacza to według niego, że Rzymianie nie zamierzali się zadomawiać pod Masadą. Geolog Dan Gil dokładnie przestudiował istniejące do dziś pozostałości gigantycznej rzymskiej rampy-pochylni. Stwierdził, że 2,4 tys. ludzi pracujących w ośmiogodzinnych zmianach po 800 ludzi każda zbudowałoby ową konstrukcję raptem w 16 dni. Biorąc pod uwagę trudny teren, brak wody i konieczność wybudowania obozów, oblężenie trwałoby według Atkinsona góra dwa miesiące. W filmie natomiast Silwa ma kłopoty z wyrobieniem się w sześć miesięcy przed nastaniem morderczych majowych upałów.

Finał filmowego starcia jest dla odmiany żywym cytatem z Józefa Flawiusza. Konstrukcja wieży oblężniczej, wciągnięcie jej na rampę, zburzenie taranem muru i żydowska zapobiegliwość, która kazała zbudować drugi, wewnętrzny, absorbujący uderzenia rzymskiej machiny – wszystko to jest zgodne z prawdą. Tak samo jak ryzykowny, z powodu zmiennych wiatrów, manewr z podpaleniem odsłoniętej drewnianej palisady.

Sagal sporo uwagi poświęcił zwykłym Rzymianom. Narrator mówi o „legionistach zmęczonych długą i wyczerpującą służbą z dala od domu". Tęsknota owa mogła być bardziej charakterystyczna dla żołnierzy okresu republiki, którzy byli ni mniej, ni więcej, tylko rolnikami zbrojącymi się na własny koszt, regularnie uczącymi się wojaczki i nazbyt często odrywanymi na całe lata od swoich rodzinnych gospodarstw. Żołnierz armii okresu cesarstwa był już inny. Służył za pieniądze wypłacane ze skarbu państwa i jako italski lump często nie miał do czego wracać. Żołnierza owego Sagal ubrał w lorica segmentata, która była wówczas bardzo często spotykana w armii imperialnej. Pancerze owe na potrzeby filmu wykonano ze skóry lub z jej zamiennika. Armia rzymska owego okresu była jednak na tyle bogata, że mogła sobie pozwolić na odzianie wszystkich żołnierzy w metal. Legionista rzymski był też znakomitym budowlańcem, który w kopaniu umocnień i ciosaniu belek na machiny rywalizował ze swoimi kolegami tak samo ochoczo jak w zabijaniu wrogów – Sagal pokazał ową umiejętność w kilku scenach. Starcia Rzymian z Żydami nie odbiegają od przyjętego w kinematografii sposobu polegającego na kręceniu scen indywidualnych pojedynków zamiast walki w mniej lub bardziej luźnym szyku. Mało wiarygodnie wygląda też rąbanie gladiusami. Miecze te niezbyt się do tego nadawały – ich prawdziwym przeznaczeniem było zadawanie pchnięć skutkujących strasznymi ranami.

Sagal nie przepadał za kapłanami. Być może ze względu na swoje pochodzenie z tych żydowskich kpi nieco mniej, ukazując ich zrazu jako jałowe gaduły, które wymigują się od pracy na rzecz wspólnoty. Czcigodni ojcowie dopiero w momencie największego zagrożenia, i to po zwięzłej żołnierskiej reprymendzie, stają na wysokości zadania. Dużo mocniej szyderstwa ze strony reżysera sypią się na kapłanów strony przeciwnej. Najważniejszy z nich przedstawiony jest jako obłudny kabotyn podrygujący w przyciasnej todze. Sagal pomylił przy tym ubiór dwóch różnych rzymskich dostojników. Biała czapka przylegająca do głowy, w którą ubrany był ów kapłan, charakteryzowała flamenów, którzy sprawowali kult bogów. W filmie jednak mąż ten zajmuje się wróżeniem z koziej wątroby, która to czynność zarezerwowana była dla haruspików. Wróżbici owi nosili wieńce, nie zaś białe czapki.

W jednej ze scen filmu Żydzi z oburzeniem oglądają rzymską monetę. Na jej rancie znajduje się napis: „Judea zdobyta". W środku rewersu siedzi uległa Żydówka, a nad nią w dominującej pozie stoi centurion. Takie monety rzeczywiście wybito za Wespazjana, ale historyczni Żydzi byliby na widok tej monety dużo bardziej wściekli niż ci filmowi. Centurion ów dzierży bowiem oficerską tyczkę w bardzo wymowny i wręcz anatomiczny sposób. Rzymianie w pewnych kwestiach byli dużo mniej pruderyjni od XX-wiecznych Amerykanów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de5a4573f7

100% polski produkt

JUŻ NIEBAWEM RUSZA

III EDYCJA KONKURSU

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

PATRONAT HONOROWY

MINISTERSTWO PRZEDSIĘBIORCZOŚCI I TECHNOLOGII

MINISTERSTWO INWESTYCJI I ROZWOJU

Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

FUNDACJA FIRMY RODZINNE

PARTNERZY

ORLEN

PHN

GRUPA CEDROB

Poczta Polska

arp

LANDESKRONE

LUBOMIRSKICH

PARTNER MERYTORYCZNY

pwc

eprasa.pl de5a4573f7

Zofia Batycka FOT. NAC

Marta Eggerth FOT. NAC

1902–1966 / Wbrew deklaracjom nie ożenił się z Polką

Życie prywatne Jana Kiepury

Sławomir Koper

Znakomity tenor uwielbiał kobiety, pieniądze, sławę i muzykę. Właśnie w tej kolejności, co potwierdza całe jego barwne życie

Upodobanie do płci pięknej odziedziczył po ojcu. Piekarz Franciszek Kiepura pod względem wierności małżeńskiej przypominał bowiem marynarza. Tak jak na rasowego wilka morskiego w każdym porcie czekała dziewczyna, tak na ojca śpiewaka w każdym młynie czekała urodziwa młynareczka… Z tego powodu życie domowe obfitowało w różne zawirowania, a dopiero międzynarodowy sukces syna spowodował ostateczne pogodzenie się jego rodziców.

Brunetki, blondynki…

Tenor nigdy nie narzekał na brak powodzenia u kobiet. Zamożny, przystojny, obdarzony nieprawdopodobnym głosem, sprawiał wrażenie człowieka bardzo pewnego siebie. Powodzeniu u kobiet nie zaszkodziło to, że był dość niski (zawsze używał butów z podwyższonym obcasem) i wcześnie zaczął łysieć. Przyzwyczajony do damskich hołdów, pisał ironicznie do przyjaciela, że „wszystkie panny z otwartymi rękoma i… rozwartymi nóżkami" czekają na niego. Miał dziesiątki okazji i chętnie z nich korzystał. Inna sprawa, że uwielbienie pań czasami było niebezpieczne. W Budapeszcie w trakcie koncertu jedna z wielbicielek dostała się na scenę i ugryzła go w łydkę.

Kiepura przyznawał, że lubi towarzystwo kobiet, „bez względu jakiego rodzaju", co oznaczało, że nie był raczej wybredny. Znajomym tłumaczył, że przy swoim trybie życia nie ma możliwości stabilizacji uczuciowej, a ożenić się może wyłącznie z Polką.

Latem 1928 r. poznał 20-letnią lwowiankę – Zofię Batycką. Piękna córka galicyjskiego adwokata spodobała się Kiepurze, a sympatię do siebie poczuli również rodzice obojga. Pojawiły się plany matrymonialne, a Janek, podróżując po świecie, niemal codziennie telefonował do dziewczyny.

Po kilku miesiącach idylla się skończyła. Kiepura zaprosił Zofię do Krakowa, ona przyjechała wraz z rodzicami. Doktor Batycki był oburzony, że jego córkę sprowadzono do roli kobiety, która „ugania się za mężczyzną". Coś zepsuło się również w kontaktach między młodymi, do dziewczyny dochodziły informacje o stylu życia, jaki prowadzi jej wybranek.

„Zrozum – pisał dr Batycki do Kiepury seniora – że dziewczynie, którą chro-

eprasa.pl de5a4573f7

niłem przez 20 lat przed tzw. światem i świadomością złego, mówi się dzisiaj o Żydówkach wiedeńskich, o muzykantkach berlińskich i rudych Amerykankach i takie obrzydliwości wstrząsają jej istotą, poznaje życie od razu od najohydniejszej strony. I jaki to może mieć wpływ na jej duszę? Kto mi zaręczy, czy ona otrzaskawszy się z takimi rzeczami, sama się zbrudzi? Dotąd jest kryształem, którego nikt nie ważył się poniżyć ani nawet ubliżyć dwuznacznym słowem, a tu teraz okazuje się jej taką nagą prawdę życiową!".

„Naga prawda życiowa" wcale Zofii nie zraziła i dalej oczekiwała na deklarację ze strony Kiepury. A śpiewak zaczął jej unikać. Nie doszło do skutku spotkanie we Włoszech, Batyccy i Kiepura rozminęli się, a potem tenor odmówił przyjazdu do Wenecji.

„[…] Janek nie zna kobiet z towarzystwa – ubolewał dr Batycki – i nie wie o tym, że kobiety się szanuje, te zaś damy, które same włażą w jego sypialnię, są ulicznicami bez względu na pochodzenie. […] Mojem zdaniem Jasiek powinien ożenić się z osobą bardzo bogatą i ze sfer artystycznych albo przynajmniej liberalnych pojęć i przekonań pod względem miłości i traktowania w życiu codziennym, żeby jej nic nie dziwiło. A przede wszystkim równoczesny stosunek z kilkoma kobietami czy z całego, czy tylko półświatka, bo on ma w życiu tylko jeden cel: własną karierę. Wszystko zaś inne odgrywa podrzędną rolę.

Zośka zaś powinna mieć męża zwykłego zjadacza chleba, ale delikatnego i kulturalnego, a poza domem miłości nieszukającego".

Zofia Batycka w 1930 r. wygrała konkurs Miss Polonia, a jej urzędowanie zakończyło się skandalem. Po roku odmówiła zwrotu korony dla najpiękniejszej, wobec czego następny konkurs się nie odbył. Podpisała angaż w USA i wraz z koroną wyjechała za ocean. Kariery w Hollywood jednak nie zrobiła, wyszła za mąż za holenderskiego dyplomatę i niemal całe życie spędziła w Kalifornii. Pozostały po niej filmy nakręcone w Polsce, już po zakończeniu związku z Kiepurą. To była naprawdę piękna kobieta…

Kiepura rzeczywiście czasami nie potrafił zachować się wobec „kobiet z towarzystwa". Potwierdza to ciekawa relacja córki Adama Didura, Mary, ukazująca tenora w akcji, niezwracającego uwagi na stan cywilny kobiet ani na ich rzeczywiste odczucia. Warto ją przytoczyć w dłuższym fragmencie:

„[…] tym razem Janek był jakoś we mnie dziwnie wpatrzony. Co prawda słynna była ta jego słabość do kobiet, i to, że żadnej nie przepuści – ale cóż ja? Nigdy nie zrobiłam nawet najmniejszej aluzji do flirtu […].

Nagle on zaproponował, abyśmy sobie razem coś zaśpiewali. Męża poznał z siedzącymi na sali brydżystami i zostawił przy kartach. Mnie zaś powiedział, że musimy pojechać na górę po nuty do jego gabinetu. Pojechaliśmy windą, wchodzimy do pokoju, a to nie żaden gabinet, tylko sypialnie, jak w hotelach. Poszłam do otwartego okna, ciekawa tutejszych widoków i słyszę, że Janek zamyka drzwi na klucz. Odwracam się, a on stoi przede mną z wyciągniętymi rękami i płonącymi oczami! – No nareszcie! Tak bardzo cię pragnę… przecież masz krew kreolską [była córką Polaka i Meksykanki – przyp. S.K.], będziesz moją…

W pierwszej chwili zgłupiałam. Ale widzę, że tu nie ma żartów. Więc mówię mu:

– Jak się tylko zbliżysz, zacznę krzyczeć i wyskoczę przez okno! – i byłam gotowa to zrobić. Widocznie ostudziłam jego zapał, bo pewnie bał się skandalu w swojej »Patrii«. Był wściekły, ale otworzył drzwi. Potem zawsze odnosił się do mnie z wielkim szacunkiem.

Ojciec mój też opowiadał, że w czasach, gdy jeździł z Kiepurą […], też musiał pilnować Janka, by się nagle gdzieś nie zawieruszył przed występem. Ciągle dzwoniły telefony, a ojciec domyślając się celu tych rozmów, czasami musiał przed koncertem trzymać Kiepurę za frak, żeby ten »nie zapomniał się«, bo taki był kochliwy".

Jan Kiepura FOT. NAC

Marta Eggerth

Kiepura prowadził życie radosnego playboya do czasu, aż trafił na właściwą kobietę. Marta Eggerth była węgierską Żydówką, początkującą aktorką. Otrzymała angaż do niemieckiej wersji jednego z filmów z Kiepurą – „Dla Ciebie śpiewam".

„Byłam zakochana w Kiepurze – wspominała Marta – zanim go poznałam. Zobaczyłam go po raz pierwszy, kiedy przyjechał do Budapesztu. Śpiewał wówczas partię Kalafa w »Turandot« Pucciniego. Śpiewał wspaniale i odniósł ogromny sukces. Nie pamiętam, który był to rok, ale Jan już wtedy cieszył się ogromną sławą. Poznałam go jednak dopiero w 1934 roku w Berlinie, podczas realizacji filmu »Dla Ciebie śpiewam«. […]

Zdjęcia rozpoczęliśmy po Nowym Roku. Słynny tenor w wolnych chwilach stale był otoczony tłumem wielbicielek, z którymi rozmawiał w różnych językach. Po niemiecku, angielsku, po polsku, włosku i francusku. Mnie, niestety, zupełnie nie dostrzegał. Powiedział nawet, że skoro przyszedł z Opery Wiedeńskiej i La Scali, nie będzie śpiewał w duecie z tą małą Martą Eggerth. Z tą »małą!«. Byłam wściekła na niego, tym bardziej że wyraźnie faworyzował Danielle Darrieux [aktorkę grającą we francuskiej wersji filmu – przyp. S.K.]. A moja matka na to: »Jesteś po prostu w nim zakochana«. Oczywiście, że byłam zakochana i zazdrosna […]".

Kiepura zachowywał się jak wytrawny uwodziciel. Któregoś wieczoru, odprowadzając Martę do domu, wykupił od stojącej na ulicy kwiaciarki wszystkie kwiaty i podarował je dziewczynie. A potem cynicznie stwierdził, że zrobił to tylko dlatego, iż „żal mu było tej starej kobiety, która do późnej nocy nie sprzedała towaru". Tłumaczył zakochanej w nim Marcie, że nie może się z nią ożenić, ponieważ nie jest Polką, farbuje włosy i jest aktorką. Dziewczyna miała jednak gotową odpowiedź. Stwierdziła, że przy nim może stać się Polką, a włosy

eprasa.pl de5a4573f7

Pensjonat Patria w Krynicy FOT. WIKIPEDIA

przestanie farbować. Na pewno jednak nie zamierzała porzucić zawodu.

Pobrali się w Katowicach 31 października 1936 r. Uroczystość zakłóciło roztargnienie pana młodego – zapomniał obrączek. Kiedy coraz bardziej zdenerwowany przeszukiwał kieszenie garnituru, Marta odłożyła bukiet i z uśmiechem na twarzy wyjęła obrączki z torebki…

Finanse gwiazdora

Kiepura zawsze uważał, że dostarcza towar najwyższej jakości, wobec tego powinien być odpowiednio wynagradzany. A jego dochody rosły w astronomicznym tempie. Za pierwszą audycję dla Polskiego Radia otrzymał 25 zł (w 1925 r.), a cztery lata później zainkasował już 27 tys. zł!

„Żądał przyniesienia mu tej sumy w gotówce – wspominał Roman Rudniewski – do apartamentu w hotelu, grożąc, że w przeciwnym wypadku nie wystąpi. Całą sumę, w odcinkach różnej wartości, starannie przeliczył".

Za koncerty i udział w przedstawieniach operowych pobierał bajeczne honoraria. W 1929 r. płacono mu 1,8 tys. dol. za jeden występ, a dwa lata później kontrakt z Civic Opera House w Chicago opiewał na kwotę 2 tys. dol. za wieczór. Kiepura wiedział jednak, że kariera śpiewaka operowego nie trwa wiecznie. Średnią aktywność dla tenorów oceniano na 18–20 lat, a Kiepura miał jeszcze problemy z chronicznym nieżytem dróg oddechowych. I chociaż wyjątkowo dbał o siebie (nie pił, nie palił, unikał ról forsownych dla głosu), to zawsze istniała groźba infekcji czy wypadku.

Zarzucano mu zachłanność, ale Kiepura po prostu obawiał się biedy. Wykłócał się z menedżerami i agentami o najkorzystniejsze stawki, nieraz grożąc zerwaniem kontraktu. Wydawał wiele, szczególnie na luksusowe samochody, ale wiedział, jak inwestować. Adam Didur zauważył kiedyś nawet, że „o sprawach ekonomii Janek potrafi mówić bez zmęczenia".

Remedium na obawy Kiepury okazał się film. Nagranie kilku czy kilkunastu piosenek było zdecydowanie mniejszym obciążeniem dla organizmu, niż sezon operowy. A dochody w branży filmowej znacznie przewyższały kontrakty sceniczne.

Kiepura trafił na właściwy czas. Rewolucja dźwiękowa zakończyła karierę wielu gwiazd kina niemego, pojawiło się zapotrzebowanie na nowych wykonawców. Kiepura był przystojny i popularny. Nic dziwnego, że rychło zagościł w przemyśle filmowym.

„Muszę Wam donieść bardzo ważną nowinę – pisał do rodziców – podpisałem kontrakt z Tonfilmem (śpiewający film) i otrzymałem zadatek 4.000 dolarów. Zdjęcia zacznę 25 marca w Neapolu, a potem w Londynie. Honorarium, jak pisałem, 45.000, z tego 35.000 gwarantowanych, a ostatnie 10 tysięcy dolarów jako minimum przy sprzedaży do Ameryki: ta suma może dojść do 20 tysięcy dolarów, bo mam 20 procent, czyli razem byłoby 55.000 dolarów – jest to pół miliona złotych w dwa miesiące.

Jestem podwójnie szczęśliwy z tego kontraktu, bo ciągle myślę o filmie, i po drugie, bo mniej będę śpiewał, dając odpoczynek głosowi. Jest nieprawdą, że praca w filmie jest cięższa od oper i koncertowania. To może mówić tylko ten, który, tak jak ja, nie pracował […]. Cieszcie się moim szczęściem, bo ten film to i wielka, i cudna przyszłość, to były moje marzenia".

Po latach filmy z Kiepurą wzbudzają mieszane uczucia. To obrazy o wątpliwej jakości, słabiutkiej fabule, nastawione na zaprezentowanie kilkunastu piosenek. Taki był jednak zawsze los wokalistów na planie filmowym, wystarczy przypomnieć sobie filmy z Elvisem Presleyem. Natomiast niektóre piosenki filmowe Kiepury („Ninon" czy „Brunetki, blondynki") stały się światowymi przebojami.

Większy problem stanowi współpraca Kiepury z niemiecką wytwórnią UFA po dojściu hitlerowców do władzy. Tenor spotykał się z Göringiem i Goebbelsem, a ten ostatni patronował filmowej karierze śpiewaka w Niemczech. Warto jednak pamiętać, że w 1936 r. w Berlinie odbyła się letnia olimpiada i nikt jej raczej nie bojkotował z powodów politycznych.

Po wybuchu II wojny światowej nazwisko tenora umieszczono w nazistowskim spisie „Żydostwo w muzyce" (semickiego pochodzenia były jego matka i żona), zawierający spis wykonawców i kompozytorów objętych zakazem występów na terenie III Rzeszy.

Swój patriotyzm Kiepura udowodnił, zgłaszając się na ochotnika do armii polskiej we Francji. Zaskoczony gen. Sosnkowski po kilku tygodniach odesłał Kiepurę do cywila, mówiąc, że ma 100 tys. żołnierzy, a Kiepura jest tylko jeden. I tenor robił to, co potrafił najlepiej – występował na rzecz ofiar wojny, na rzecz sprawy polskiej, śpiewał dla żołnierzy.

Patria

W 1927 r. Kiepura pomyślał o poważnej inwestycji na terenie kraju. W modnej Krynicy zakupił parcelę, gdzie zaplanował wybudowanie luksusowego pensjonatu. Nadzór nad inwestycją i prowadzenie placówki powierzył rodzicom, co było doskonałym rozwiązaniem. Od razu umilkły kłótnie państwa Kiepurów, oboje wzięli się do pracy. Projekt pensjonatu przygotował młody architekt – Bohdan Pniewski.

Pniewski również cenił się wysoko. Gdy podał wysokość honorarium, zszokowany tenor zauważył, że za połowę tej sumy sam zrobiłby projekt. Pniewski zachował kamienny spokój i odparł, że za połowę tej sumy to on może co najwyżej zaśpiewać.

Argumentacja trafiła do przekonania Kiepurze, a Pniewski uczciwie zapracował na swoje wynagrodzenie. Zaprojektował Patrię – najbardziej luksusowy pensjonat w kraju. Budynek miał windy, centralne ogrzewanie, luksusową restaurację, był całkowicie zradiofonizowany. O resztę zadbał sam właściciel, ściągając najlepszych fachowców (kucharzy nawet z „Daru Pomorza"). Jednym z gości Patrii była następczyni tronu holenderskiego

eprasa.pl de5a4573f7

Julianna, która z mężem przyjechała do Krynicy leczyć się z bezpłodności. Kuracja okazała się skuteczna: księżniczka urodziła czworo dzieci...

Władze PRL znacjonalizowały Patrię, przekształcając pensjonat w sanatorium. Franciszek Kiepura pozostał do końca życia w Krynicy, tam też zmarł w 1951 r. Matka tenora, ze względu na żydowskie pochodzenie ukrywała się przed hitlerowcami. Zmarła w 1943 r.

Ostatnie lata

Kiepura nie odmówił sobie złośliwości wobec władz PRL. Po swoim pierwszym powojennym przyjeździe do kraju w 1958 r., zapytany o wysokość honorariów, odparł, że jego lokaj w Nowym Jorku zarabia więcej. Skrytykował również warszawski Pałac Kultury, ironizując, że w USA jest taki sam, tylko większy.

Kiedy wydawało się, że jego kariera sceniczna powoli kończy się, wraz z Martą wystawili na Broadwayu „Wesołą wdówkę" Lehara. Pomysł wydawał się karkołomny, operetka nigdy nie cieszyła się powodzeniem w USA, wyparta przez musical. Kiepura miał jednak rację, gdyż przedstawienie zagrano ponad 800 razy, osiągając niespotykany sukces komercyjny.

Kolejny pomysł okazał się również sukcesem, chociaż jego wartość artystyczna była mocno dyskusyjna. Kompozytor Bronisław Kaper przygotował dla Kiepury musical „Polonez" oparty na muzyce Chopina.

„Libretto osnuto – opisywał przedstawienie Jerzy Waldorff – na dramatycznych dziejach Tadeusza Kościuszki, którego grał Kiepura. Rzecz zaczynała się od pożegnania z Waszyngtonem, przed wyjazdem Naczelnika z USA do powstania, do Polski. W II akcie przy wielkim entuzjazmie widowni Kościuszko na melodię »Poloneza A-dur« składał przysięgę na Rynku Krakowskim. Trzeci akt oddano baletowi, który w przejmujących ewolucjach ukazywał klęskę pod Maciejowicami. Pobojowisko, matki i siostry opłakiwały poległych (najsmutniejsze »Nokturny« Fryderyka!), na widowni płacz i siąkanie nosami. Wreszcie IV akt przenosił działania do twierdzy Pietropowałowskiej, z której car Paweł I uwalniał więzionego Kościuszkę, aby mógł jechać w świat szeroki i dalej walczyć o Polskę. Krytyka »Poloneza« schlastała, i ja bym pewnie zrąbał, gdybym wtedy pisywał w Nowym Jorku. Ale publiczności bardzo się spektakl podobał i szedł przez rok kompletami, a potem był jeszcze objazd prowincji. Jedyne, nad czym unosili się recenzenci, to głos Kiepury, niezmiennie świeży i soczysty, porównywany z okazji »Poloneza« do dźwięku skrzypiec Heifetza".

Kiepura nadal kręcił filmy (we Francji i Włoszech), grywał z Martą w „Księżniczce czardasza". Powodzenie utrzymał niemal do końca życia. Jeszcze rok przed śmiercią z sukcesem występował w operetkach na scenach europejskich.

Zmarł w Stanach Zjednoczonych 15 sierpnia 1966 r. na atak serca. 4 września 1966 r., w asyście 200 tys. warszawiaków, trumna ze zwłokami Kiepury spoczęła w Alei Zasłużonych na Powązkach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Prestige MJM 10 lat · 15 BMF Classic · wprost · DO RZECZY · GAZETA BANKOWA · Multikino · GOLD · STRÖER · VIXON · empik · pap · PRESS SERVICE · cgm.pl · WP

eprasa.pl de5a4573f7

Wywiad / Z Torbjørnem Færøvikiem, autorem książki „Mao. Cesarstwo cierpienia"

rozmawia Piotr Włoczyk

Wielki skok w przepaść

Utopijne pomysły na unowocześnienie Chin doprowadziły do klęski głodu o biblijnych rozmiarach. Chory eksperyment Mao mógł kosztować życie nawet 45 mln ludzi

PIOTR WŁOCZYK: Co znaczy po chińsku „yi ze er shi"?

TORBJØRN FÆRØVIK: W wolnym tłumaczeniu znaczy to „zamiana dzieci dla jedzenia". Był to bodaj najpotworniejszy efekt wielkiego głodu w Chinach. Do tej tragedii na biblijną skalę doprowadziła bezpośrednio polityka Mao Zedonga. W najbardziej dotkniętych głodem regionach Chin niektórzy doprowadzeni do granicy ludzie uciekali się do aktów kanibalizmu. Rodzice oddawali swoje zmarłe dzieci sąsiadom, a w zamian zabierali trupy ich potomstwa. W ten sposób nie musieli jeść własnych dzieci. Nie było to zjawisko występujące powszechnie, ale dochodziło do tego na tyle często, że zwróciło to uwagę władz – relacje o wymianach dzieci pojawiały się w raportach rządowych.

Czy ta praktyka pojawiła się w Chinach dopiero w czasach komunizmu?

Nie. Do takich przypadków dochodziło już w czasie poprzednich klęsk głodu.

eprasa.pl de5a4573f7

Prymitywne piece hutnicze, które kazał budować Mao
FOT. GETTY IMAGES

Jednak takiej katastrofy jak w latach 1958–1961 nie było wcześniej w historii Chin. W czasie poprzednich wielkich klęsk umierało nawet po kilka milionów ludzi, ale w okresie wielkiego skoku liczbę ofiar szacuje się na dziesiątki milionów. Holenderski historyk Frank Dikötter, autor świetnie udokumentowanej książki „Wielki głód. Tragiczne skutki polityki Mao 1958–1962", szacuje tę liczbę na 45 mln. Najniższe, poważnie brane przez badaczy pod uwagę szacunki mówią o minimum 20 mln ofiar głodu.

45 mln to niemal liczba zabitych w II wojnie światowej. Dolna granica tych szacunków – 20 mln – pokrywałaby się z kolei z liczbą ofiar śmiertelnych I wojny światowej...

Skala tego kataklizmu jest faktycznie przytłaczająca. Do poprzednich klęsk głodu dochodziło w Chinach głównie przez złą pogodę – z powodu zbyt małych lub zbyt dużych opadów. Natomiast głód z lat 1958–1961 był bezpośrednim rezultatem całej serii politycznych posunięć Mao i jego towarzyszy.

Wikipedia – główne źródło wiedzy w dzisiejszym świecie – jako jedną z przyczyn tej tragedii wymienia jednak złą pogodę.

Sęk w tym, że w chińskich gazetach z tamtego okresu nie ma wzmianek o jakiejś szczególnie niekorzystnej pogodzie. Więcej, w latach 1958–1961 pogoda była generalnie całkiem dobra dla rolnictwa. Warunki atmosferyczne pogorszyły się dramatycznie dopiero wtedy, gdy wielki skok okazał się katastrofą na niespotykaną skalę. Chińskie władze nie mogły oczywiście winić za to Mao, więc jako głównego winowajcę wskazano pogodę.

Głód dotknął w mniejszym lub większym stopniu właściwie całe Chiny, ale w części kraju doszło do prawdziwego horroru. Szczególnie dotkniętą prowincją była Hunan, w której urodził się Mao. Dochodziły stamtąd do Pekinu niezwykle alarmujące raporty na temat sytuacji panującej m.in. w rodzinnej wiosce przewodniczącego.

Czy Mao zrobił cokolwiek, by pomóc swoim ziomkom?

Pojechał tam i odwiedził swoją wioskę, ale to wszystko był teatr. Lokalni przywódcy partyjni wiedzieli o wizycie z wyprzedzeniem, więc przygotowali się na przyjazd. Na miejscu urządzili wielki festyn i zwieźli mnóstwo jedzenia. Mao nie zobaczył dramatu swoich byłych sąsiadów.

Tak jak na Ukrainie w latach 1932–1933 wielki głód w Chinach za czasów Mao okazał się katastrofą sprowokowaną. Dlaczego po raz kolejny w dziejach komunizmu doszło do podobnej tragedii?

Dzisiaj w Chinach mamy do czynienia z „myślą Xi Jinpinga". Jest ona uznawana przez partię za bezbłędną, więc nie można z nią dyskutować. W jeszcze większym stopniu „bezbłędna" była „myśl Mao". Kiedy w 1949 r. komuniści zawładnęli Chinami, pozycja Mao była absolutnie niepodważalna. Połączenie starego kultu cesarza z wiarą w nieomylność komunistycznego wodza oznaczało pełne poddanie się woli przewodniczącego. Kiedy ma się do czynienia z „bezbłędnym" przywódcą, trudno jest przeciwdziałać nawet najbardziej oderwanym od rzeczywistości pomysłom, które przyjdą mu do głowy. Na domiar złego Mao kompletnie nie rozumiał, jak funkcjonuje gospodarka. Po latach sam się zresztą do tego – przynajmniej do pewnego stopnia – przyznał.

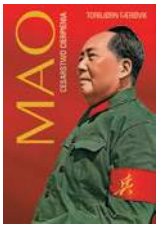

TORBJØRN FÆRØVIK
„MAO. CESARSTWO CIERPIENIA"
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Zaczęło się od wielkiego marzenia przewodniczącego: industrializacji przeprowadzonej w tempie, o jakim nie słyszała ludzkość.

W tle była rywalizacja z ZSRS. Chruszczow ogłosił właśnie, że Związek Sowiecki prześcignie Stany Zjednoczone w ciągu 15 lat. Mao w związku z tym zadeklarował, że Chiny najpierw prześcigną Wielką Brytanię, a w ciągu kilku dekad zostawią w tyle USA.

Mao czuł respekt przed Stalinem i nigdy nie zdobyłby się na podważenie jego roli w obozie komunistycznym. Śmierć Stalina otworzyła przed nim nowe perspektywy. „Cokolwiek robicie w Związku Sowieckim, my możemy robić to lepiej i szybciej" – myślał Mao.

W ten sposób zaczęła się kampania wielkiego skoku, która miała doprowadzić komunistyczne Chiny do świetności.

Przewodniczący zażyczył sobie, by Chińczycy zaczęli czynić cuda. Stąd wymaganie od nich pracy najpierw po 10, a potem po 12, 14, 16 godzin... To była mobilizacja na gigantyczną skalę. Ludzie z wycieńczenia chorowali, byli zamęczani na śmierć. To z kolei powodowało, że zaczynało brakować pracowników do zbiorów. I tak wszystko powoli zaczynało się walić.

Oczywiście to nie była pierwsza taka kampania w historii.

Dużo widać tu podobieństw do ruchu stachanowskiego, ale w Chinach zostało to doprowadzone do granic absurdu.

eprasa.pl de5a4573f7

Plakaty nawołujące do walki ze szkodnikami w rolnictwie

FOT. ARCHIWUM

W teorii Mao wszystkie technologiczne zapóźnienia można było nadrobić siłą woli oraz pracą rąk setek milionów ludzi.

Czy Mao od początku nie widział, do czego to wszystko zmierza?

Przewodniczący dosyć długo był „chroniony" przed prawdą. Jego współpracownicy kładli mu na biurko kłamliwe raporty pełne zmanipulowanych danych. Mao chciał rezultatów, więc oni dawali mu je na papierze. Początkowo mógł więc myśleć, że jego recepty na rozwój gospodarczy działają.

Czytając fragment pańskiej książki poświęcony temu problemowi, miałem wrażenie, że była to największa w dziejach świata kampania fałszerstwa.

Niewykluczone, że tak właśnie było. Ludzie kłamali od samego dołu aż do góry. Partyjniacy niższego szczebla chcieli zrobić wrażenie swoją skutecznością na swoich szefach. Ci z kolei chcieli wkraść się w łaski swoich przełożonych z Pekinu. A tamci chcieli pokazać Mao, że wszystko zmierza w jak najlepszym kierunku. To była gigantyczna drabina kłamstwa. Również w dzisiejszych Chinach widać wielki problem ze zbieraniem wiarygodnych statystyk, choć oczywiście jego skala jest obecnie nieporównywalna.

Chyba najlepiej widać to statystyczne szaleństwo na przykładzie produkcji stali. W 1958 r. Mao rozkazał, by do końca roku wyprodukowano 12 mln ton. Rok później miało to być 30 mln, w 1960 – 60 mln, a w 1962 r. już 100 mln ton. W ciągu następnych kilku lat Mao twierdził, że Chiny będą produkowały 700 mln ton stali rocznie, czyli więcej niż reszta świata razem wzięta.

Stal była dla niego bardzo ważna, tak samo jak dla Stalina. To był klucz do industrializacji. Mao niewiele rozumiał z gospodarki, ale wiedział, że to podstawa. Stąd rozkaz, by postawić miliony małych przydomowych dymarek, w których chłopi mieli produkować gigantyczne ilości stali. Żeby sprostać normom, chłopi przetapiali w tych piecach własne garnki, woki, sztućce, a nawet gwoździe wyciągnięte ze swoich domów. Efektem była stal tak tragicznej jakości, że większość nadawała się tylko do wyrzucenia.

Czyli m.in. w ten sposób odciągano chłopów od pracy na polach, co powodowało jeszcze większe problemy z produkcją żywności.

Od 1957 r. Mao zaczął organizować komuny wiejskie. W tych molochach żyło nawet po 25 tys. ludzi. Chłopom zabrano ziemię, uprawa czegokolwiek na własny użytek była wówczas traktowana jako burżuazyjny eksces. Nie można było niczego sadzić nawet we własnym przydomowym ogródku. Wszystko zależało od kierownictwa komuny, które zazwyczaj fatalnie zarządzało produkcją żywności. Chłopi nie mieli bodźców, by pracować na wspólnym, roboty organizowali dyletanci, a jakby tego było mało, jeszcze odciągano wieśniaków od pól, by budowali kanały, które – fatalnie wybudowane – nie nadawały się do niczego. Poza tym trzeba było oczywiście wytapiać „stal". Żeby prześcignąć resztę świata, Mao skierował miliony chłopów do rozwoju przemysłu. Przez to jeszcze bardziej brakowało ludzi do pracy na polach.

Produkcji żywności na pewno nie pomagało też to, że Mao cały czas wysyłał ziarno za granicę. W końcu trzeba było czymś płacić za sowiecką „pomoc" gospodarczą.

Tak, nawet w apogeum głodu mnóstwo ziarna szło na eksport. W czasie, gdy miliony Chińczyków umierały z braku żywności, Mao wysyłał chińskie jedzenie jako pomoc dla krajów rozwijających się – chciał dobrze wyglądać w oczach zagranicznych przywódców. Chciał pokazać, że chiński socjalizm jest najlepszy.

W międzyczasie doszło w Chinach do „kampanii walki z czterema plagami". Mao wziął na cel szczury, wróble, komary i muchy. Miliony Chińczyków spędzały mnóstwo czasu na wyszukiwaniu i zabijaniu tych zwierząt. Czy da się racjonalnie wytłumaczyć, o co chodziło przewodniczącemu?

To wszystko miało w teorii poprawić poziom higieny i zabezpieczyć ziarno przed szkodnikami. W każdym kraju na świecie wróble podbierają ziarno, ale jeżeli normalny gospodarz zauważy, że jest to problem, to po prostu lepiej je zabezpieczy przed „kradzieżą". Tymczasem Mao postanowił rozwiązać problem u źródła, w myśl zasady, że jeżeli tylko pojawi się odpowiednio silna wola, to człowiek może wszystko...

Co zakończyło szaleństwo wielkiego skoku?

Ta kampania zakończyła się właściwie sama – nie sposób było już po prostu kolejny rok w ten sposób zarządzać państwem. W 1960 r. Chiny były kompletnie zrujnowane. Nagle do Pekinu zaczęło spływać tyle fatalnie brzmiących raportów, że Mao w końcu zorientował się w powadze sytuacji. Cała machina gospodarcza po prostu się zacięła i stanęła w miejscu.

eprasa.pl de5a4573f7

W związku z tą ewidentną klęską Mao na przełomie lat 1960 i 1961 wycofał się do drugiego szeregu najważniejszych partyjnych towarzyszy. Zrozumiał, że jego polityka ekonomiczna poniosła klęskę. Prawdziwą władzę przejęli wówczas Liu Shaoqi oraz Deng Xiaoping, którzy zaczęli prowadzić bardziej racjonalną politykę gospodarczą. Mao przyznał nawet do pewnego stopnia, że cała ta katastrofa mogła być jego winą… Zaczął się dla niego okres lizania ran.

Nie przestał jednak myśleć o powrocie na szczyt.

W niedługim czasie Mao zaczął walczyć o powrót do władzy. Był to właśnie główny powód rewolucji kulturalnej, którą rozpoczął w 1966 r. Dzięki niej chciał się pozbyć przeciwników politycznych. Rozpoczął się kolejny szaleńczy okres.

Czy Chińczycy zdają sobie sprawę, do czego doprowadził człowiek, którego wielki portret do dziś wisi nad główną bramą do Zakazanego Miasta?

Niestety, nie. Chińczycy nie mają pojęcia o milionach ofiar wielkiego skoku. Historia, jako nauka, jest w Chinach w tragicznym stanie. Historię dyktuje partia. W książkach po prostu przeskakuje się ten okres, tak samo jak rewolucję kulturalną. Generalnie młodzi Chińczycy nie mają prawa usłyszeć prawdy o wielkim skoku, o milionach ofiar głodu. Bardzo się dziwią, gdy mówię im o tym. Wszyscy dobrze wiemy, czym grozi nieznajomość historii...

W dzisiejszych Chinach jest jednak miejsce, które idzie w poprzek komunistycznej propagandzie. We wspomnianej już prowincji Henan, w jednej ze wsi na środku pola stoi niewielki pomnik zbudowany przez pewnego chłopa ku pamięci ofiar głodu.

Dzisiaj to możliwe, bo na szczeblu lokalnym zdarzają się pewne odchylenia od głównej linii partyjnej i miejscowe władze mogą na to – z różnych względów – przymykać oko. Jednak już na poziomie państwowym nie ma szans na upamiętnienie milionów ofiar wielkiego skoku. Zaszkodziłoby to bowiem partii, stawiając w złym świetle Mao. Władze ChRL muszą bronić „pięknej" historii partii, bo jeżeli przeszłość przestanie być wspaniała, to dlaczego partia miałaby dalej rządzić krajem?

W latach 80. chińska partia komunistyczna oficjalnie uznała, że Mao należy oceniać w 70 proc. pozytywnie, a w 30 proc. negatywnie. Czy te wytyczne wciąż obowiązują?

Tak. We wspomnianym dokumencie napisano, że po drodze były „pewne problemy", ale generalnie Mao dobrze przysłużył się Chinom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Torbjørn Færøvik jest norweskim historykiem, pisarzem i dziennikarzem. Specjalizuje się w tematyce dalekowschodniej. Był wieloletnim korespondentem norweskiej agencji informacyjnej NTB, telewizji NRK i dziennika „Arbeiderbladet". W Polsce ukazała się właśnie jego książka „Mao. Cesarstwo cierpienia".

REKLAMA

eprasa.pl de5a4573f7

Piotr Zychowicz

Tajne służby

Zamordowani

Sowieccy agenci zgładzili trzech najważniejszych ukraińskich przywódców: Symona Petlurę, Jewhena Konowalca i Stepana Banderę

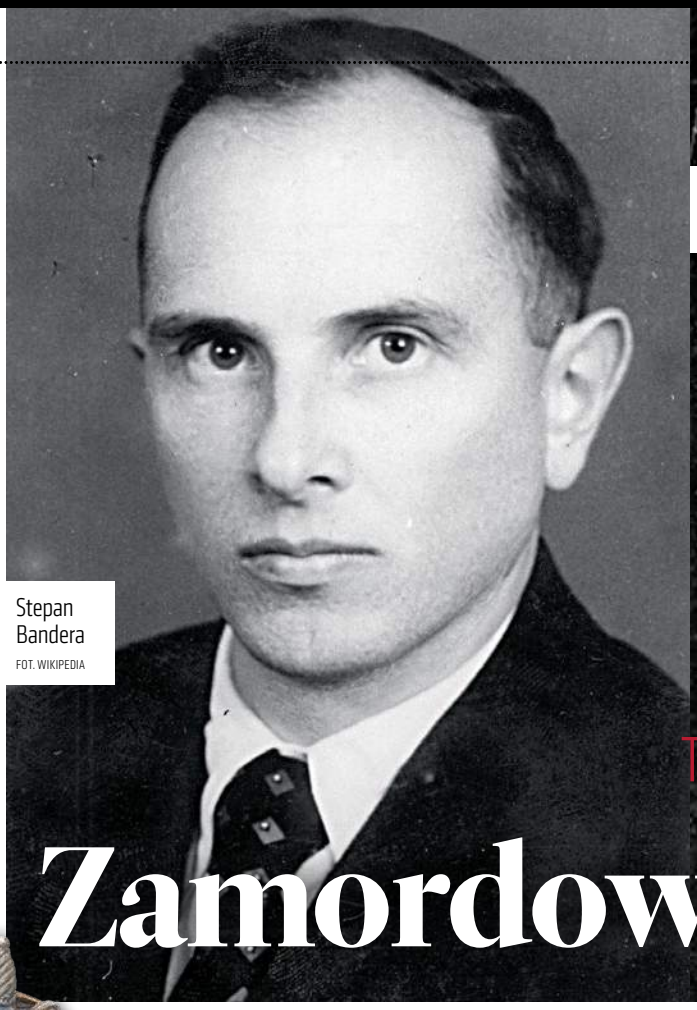

Symon Petlura
FOT. ARCHIWUM

Stepan Bandera
FOT. WIKIPEDIA

Jak dziwnie układają się ludzkie losy! Jeszcze sześć lat temu nosił szumny tytuł naczelnego atamana i przewodniczącego Dyrektoriatu Ukraińskiej Republiki Ludowej. Nosił piękny mundur galowy z orderami i tryzubem wyszytym złotą nicią na ramieniu.

Pod jego władzą znajdowały się olbrzymie terytoria, jego rozkazów słuchały tysiące żołnierzy. Dysponował milionowymi środkami, jego portrety wisiały w urzędach. A nazwisko nie schodziło z pierwszych stron gazet. Był w końcu przywódcą jednego z największych państw Europy – Ukrainy.

Teraz Symon Petlura, biedny emigrant polityczny, w znoszonym garniturze wycierał paryskie bruki. Jego ojczyzna była pod okupacją, a on sam u wielkich tego świata wzbudzał tylko wzruszenie ramion. Emigracyjny rząd, którym kierował we Francji, uznawano za operetkowy. Jego sojuszniczka Polska zdradziła go i przepędziła ze swojego terytorium.

O atamanie zapomnieli wszyscy. Wszyscy oprócz bolszewików…

25 maja 1926 r. Petlura szedł rue Racine w paryskiej Dzielnicy Łacińskiej. Zatrzymał się w miejscu, gdzie ulica dochodzi do bulwaru Saint-Michel, aby obejrzeć witrynę księgarni Giberta. Policja ustaliła później, że była godz. 14.12, gdy do Petlury podszedł smagły mężczyzna z niewielkim czarnym wąsem.

– Czy to monsieur Symon Petlura?

Zapytany na potwierdzenie uniósł laskę.

Nieznajomy wyjął wówczas rewolwer, wymierzył w Petlurę i nacisnął spust. Pięciokrotnie. Wszystkie kule sięgnęły celu. Petlura, cały we krwi, upadł na chodnik. Wówczas zamachowiec dobił leżącego dwoma strzałami. Próbował strzelić jeszcze raz, ale wówczas rozległ się suchy szczęk iglicy. W komorze nabojowej była tylko łuska.

Wokół trupa i stojącego nad nim mordercy zaczął się zbierać tłumek przechodniów. Wśród nich znalazł się policjant.

– Skończył pan już? – spytał.

Zamachowiec spojrzał na niego błędnymi oczami i odpowiedział:

– Tak. Może mnie pan aresztować. Zabiłem wielkiego zbrodniarza.

Cel: Petlura

Zamachowiec, który zgładził Symona Petlurę, nazywał się Szolem Szwarcbard. Był to 40-letni Żyd pochodzący spod Odessy. W wolnych chwilach zajmował się poezją i działalnością anarchistyczną, a na życie zarabiał, naprawiając zegarki. Na posterunku policji zeznał, że do morderstwa popchnęła go zemsta. Czternastu członków jego rodziny zostało bowiem zgładzonych w fali pogromów, które przetoczyły się przez Ukrainę podczas wojny domowej. Szwarcbard uważał, że Petlura ponosi za to odpowiedzialność.

Zamachowiec zapewnił, że działał sam. Gdy się dowiedział, że Petlura przebywa w Paryżu, postanowił go zamordować. Ponieważ nie wiedział, jak wygląda ofiara, udał się do biblioteki, gdzie z „Encyklopedii" Larousse'a wyrwał zdjęcie przedstawiające Petlurę rozmawiającego z Józefem Piłsudskim. A następnie przemierzał paryskie ulice z tą fotografią i rewolwerem w kieszeni. Dopóki nie spotkał Petlury.

Policjanci nie uwierzyli mu – aglomeracja paryska liczyła wówczas blisko 6 mln ludzi i prawdopodobieństwo, że Szwarcbard przypadkowo natknął się na Petlurę na ulicy, było bliskie zera.

Proces zabójcy zamienił się jednak w wielką hucpę. Lewicowe francuskie

eprasa.pl de5a4573f7

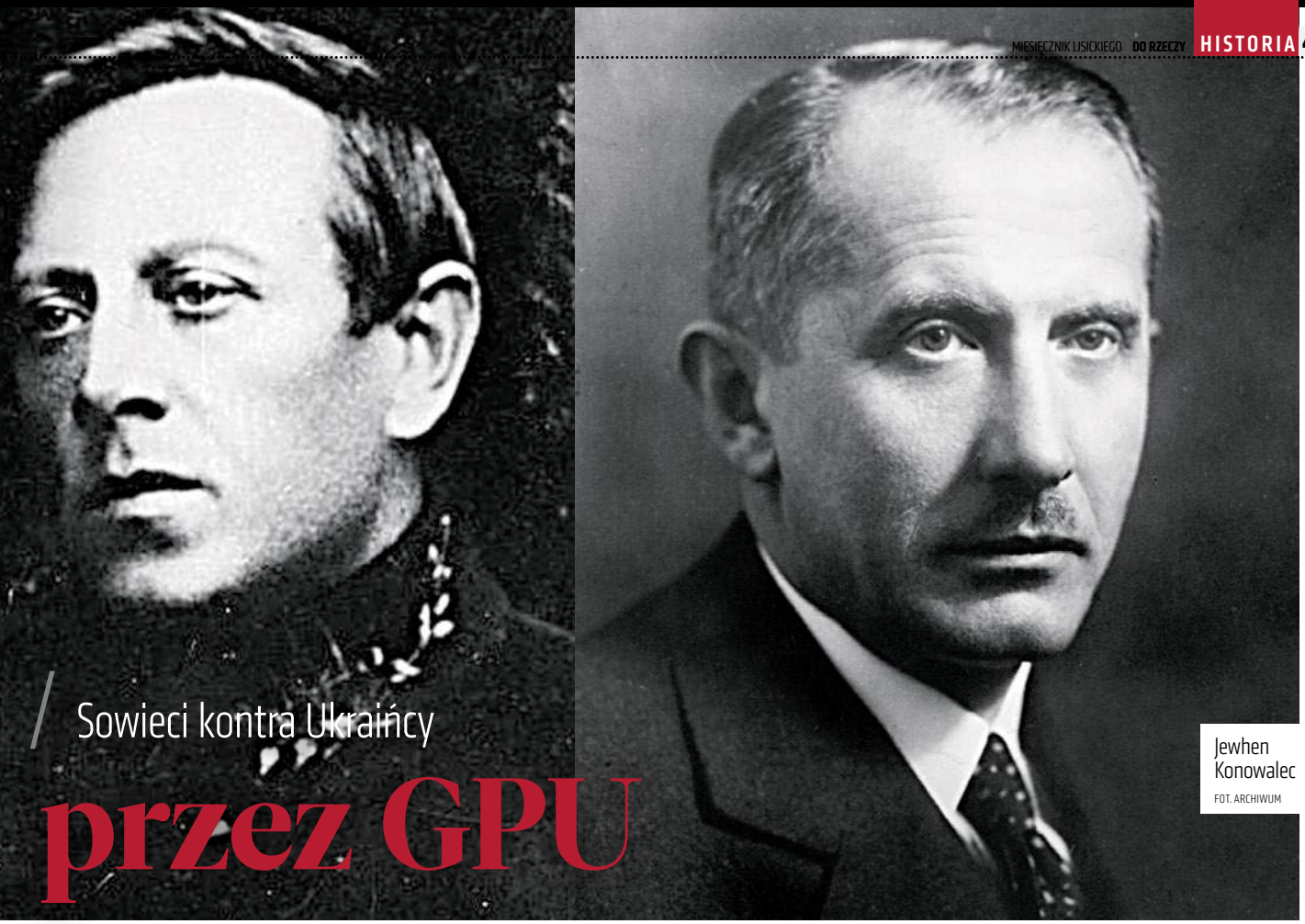

Jewhen Konowalec

FOT. ARCHIWUM

Sowieci kontra Ukraińcy

przez GPU

gazety – na czele z komunistyczną „L'Humanité" – histerycznie domagały się uniewinnienia „dzielnego żydowskiego bojownika". Petlurę przedstawiano zaś jako czarnego reakcjonistę, żydożercę, dzikiego wschodniego Europejczyka, który zasługiwał na śmierć. Podobne stanowisko zajęły środowiska żydowskie, które stanęły za Szwarcbardem murem. Jego skazanie – dowodzili ich przedstawiciele – byłoby aktem antysemityzmu.

Co ciekawe, Henri Torres, obrońca Szwarcbarda, był aktywnym komunistą, który w innych sprawach reprezentował przed francuskimi sądami sowiecki konsulat. Szwarcbard został przez niego wykreowany na bohatera. To, że wersja wydarzeń oskarżonego nie trzymała się kupy, że na sali sądowej mataczył i kłamał, nie miało żadnego znaczenia. Paryski sąd po trwającym zaledwie osiem dni procesie uniewinnił Szwarcbarda. Morderca wyszedł na wolność fetowany przez swoich zwolenników.

W rzeczywistości Szwarcbard był egzekutorem GPU. „Zlecenie" na Petlurę otrzymał od funkcjonariusza tajnych sowieckich służb Michaiła Wołodina, który specjalnie w tym celu przyjechał z Moskwy. To Wołodnin zorganizował całą operację: wytropił Petlurę i przekazał broń Szwarcbardowi.

Szwarcbard był zaś rewolucjonistą, który jeszcze za caratu kilkakrotnie siedział w więzieniu. W czasie wojny domowej walczył przeciwko białym w szeregach słynącej z okrucieństw i masowych mordów Czerwonej Gwardii. Potem został wysłany na Zachód, gdzie prowadził działalność wywrotową. Miał kłopoty z prawem, w Austrii dwukrotnie odsiadywał wyrok za włamania.

W Paryżu zapisał się do prosowieckiej Unii Obywateli Ukraińskich. Francuskie służby, które przez cały czas miały go na oku, ustaliły, że regularnie spotykał się z pracownikami bolszewickiego konsulatu. Również służby niemieckie ostrzegły Francuzów, że Szwarcbard jest agentem GPU.

Mimo to Szwarcbard do dziś uznawany jest przez wielu Żydów za herosa. Przysługuje mu tytuł „nokema", czyli żydowskiego mściciela. Napisano o nim kilka hagiograficznych książek i sztukę teatralną. W izraelskich miastach można pospacerować bulwarami jego imienia. Na grobie zbrodniarza – zgodnie z żydowskim obyczajem okazywania szacunku zmarłym – układane są kamyki.

Cel: Tiutiunnyk

Bolszewicy doskonale pamiętali wydarzenia z lat 1919–1920, gdy omal nie stracili Ukrainy. Pamiętali o masowych antykomunistycznych buntach ukraińskiego chłopstwa i wyprawie kijowskiej Józefa Piłsudskiego. Myśl, że wydarzenia te mogłyby się powtórzyć, spędzała władcom Kremla sen z powiek.

Dlatego postanowili dmuchać na zimne i eliminować kolejnych przywódców ukraińskiej emigracji. Symon Petlura nie był bowiem jedynym Ukraińcem zamordowanym przez GPU.

Ofiarą pierwszej operacji tajnych służb – nadano jej kryptonim Dieło 39 – padł gen. Jurko Tiutiunnyk, legendarny dowódca armii Ukraińskiej Republiki Ludowej, słynny partyzant zaprawiony w walkach z bolszewikami.

eprasa.pl de5a4573f7

Sowiecki zamachowiec dopadł Petlurę w Paryżu
FOT. ARCHIWUM

GPU zastosowało schemat wypróbowany podczas operacji „Trust". Przy pomocy podstawionych agentów przekonało generała, że na Ukrainie działa potężna organizacja niepodległościowa – Naczelna Rada Wojskowa.

Organizacja ta miała rzekomo mnóstwo broni i tysiące gotowych na wszystko członków. Potrzebowała tylko charyzmatycznego, doświadczonego lidera. Potrzebowała Tiutiunnyka. Generał początkowo bał się prowokacji i nie chciał jechać do Sowietów. Aby zbadać sytuację, wysłał tam kilku emisariuszy.

Część z nich, m.in. przyjaciela gen. Piotra Stachowa, GPU „odwróciło". A przed częścią odegrało komedię, która miała ich przekonać o istnieniu na Ukrainie silnej konspiracji. Zrobiono to bardzo przekonująco, bo Tiutiunnyk połknął haczyk. 26 czerwca 1923 r. stanął u wrót Związku Sowieckiego.

Odbyło się to nad Dniestrem, wzdłuż którego przebiegała granica rumuńsko-sowiecka. O umówionej godzinie po sowieckiej stronie rzeki zaczęło błyskać światełko – znak, że droga wolna. Po chwili łódką przypłynął po generała Stachow.

Tiutiunnyk wówczas się zawahał.

– Piotrze, znam ciebie, a ty mnie – powiedział. – Nie będziemy się oszukiwać. Naczelna Rada Wojskowa jest fikcją, nieprawdaż?

– To niemożliwe – zaczął zapewniać Stachow. – Znam ich. Wiesz przecież, że możesz na mnie polegać…

Tiutiunnyk wsiadł do łodzi. Po drugiej stronie rzeki oczywiście czekali na niego funkcjonariusze GPU z naganami w dłoniach.

Jego późniejsze losy potoczyły się dość niestandardowo. Złamany przez bezpiekę zgodził się zostać agentem GPU. Podpisał kilka – ułożonych przez funkcjonariuszy z Łubianki – listów otwartych do ukraińskich emigrantów. Wzywał w nich do ukorzenia się przed władzą bolszewicką i przejścia na stronę rewolucji.

Jako wytrawny partyzant Tiutiunnyk został zatrudniony przez sowiecki wywiad ofensywny, dla którego zorganizował kilka band dywersyjnych. Grupy te zostały przerzucone na teren Polski, gdzie dokonały wielu aktów sabotażu.

Tiutiunnyk wykładał potem zasady walki partyzanckiej na prestiżowej Akademii Czerwonych Dowódców. Zajmował się też działalnością „kulturalną". Wydał wspomnienia i napisał scenariusze do kilku propagandowych filmów. W jednym z nich zagrał nawet samego siebie. „Dzieło" to miało wiele mówiący tytuł „Piłsudski kupił Petlurę". W nagrodę GPU przerzuciło do Charkowa z Zachodu jego żonę i dwie córki.

Gdy jednak sowieckie służby uznały, że wycisnęły Tiutiunnyka jak cytrynę i nie jest on im już potrzebny, zdecydowały się go zlikwidować. W 1929 r. został aresztowany i oskarżony o antysowiecką agitację. Rok później zamordowano go na Łubiance strzałem w tył czaszki.

Cel: Konowalec

Po śmierci Petlury w 1926 r. obóz petlurowski stracił na znaczeniu. Na pierwszy plan na emigracyjnej ukraińskiej scenie politycznej wysunęła się wówczas nowa siła – radykalna Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów. Bolszewicy oczywiście zabrali się i do niej.

Pierwszy na ich celowniku znalazł się szef OUN Jewhen Konowalec. Wśród nacjonalistów ukraińskich cieszył się on wielkim autorytetem. Był zwolennikiem zbrojnej walki o niepodległości, zarówno z bolszewikami, jak i z Polską, nie stronił od metod terrorystycznych.

O operacji wymierzonej w Konowalca wiemy z bezpośredniej relacji jego zabójcy – Pawła Sudopłatowa. To jeden z niewielu przypadków, że funkcjonariusz NKWD zostawił po sobie wspomnienia. I to wspomnienia, w których ze szczegółami opisał swoje przestępcze działania.

Sudopłatow został wysłany na Zachód w połowie lat 30. Do wewnętrznego kręgu Konowalca udało mu się przeniknąć dzięki protekcji Wasilija Łebedia, ważnego działacza ukraińskiego, a w rzeczywistości płatnego agenta bolszewików. Sudopłatow powoli zdobywał zaufanie Konowalca, udając jego bliskiego przyjaciela. Zapewniał go o swoim przywiązaniu i wierności. A w rzeczywistości szpiegował go i o każdym jego kroku donosił moskiewskiej centrali.

Gra trwała kilka lat. Wreszcie w 1938 r. bolszewicy postanowili ją zakończyć. Sudopłatow został wezwany do Moskwy, gdzie został przyjęty przez Józefa Stalina i Nikołaja Jeżowa. Wódz rewolucji, niczym mafijny ojciec chrzestny, otwarcie nakazał Sudopłatowowi zamordować Konowalca.

– To nie jest tylko akt rewanżu – powiedział. – Nasz cel to ścięcie głowy ruchowi ukraińskiego faszyzmu w przededniu wojny. Co Konowalec lubi najbardziej?

– Cukierki czekoladowe – odpowiedział Stalinowi Sudopłatow.

– Pomyśl o tym.

Specjaliści z Łubianki przygotowali dla Sudopłatowa pudełko czekoladek z niespodzianką. Tą niespodzianką była bomba, która miała eksplodować pół godziny po zmianie położenia pudełka z pionowego na poziome. Tak wyposażony Sudopłatow wyruszył do Rotterdamu na umówione spotkanie z Konowalcem.

Panowie spotkali się 23 maja 1938 r. w restauracji na parterze ekskluzywnego hotelu Atlanta. Była godz. 11.50.

eprasa.pl de5a4573f7

„Wręczyłem mu prezent w postaci czekoladek i powiedziałem, że muszę wracać na statek – wspominał zabójca. – Pudełko położyłem obok niego na stole w pozycji poziomej. Uścisnęliśmy sobie ręce i wyszedłem, starannie opanowując chęć puszczenia się biegiem. Pamiętam, że po wyjściu z restauracji skręciłem w prawo i szedłem ulicą wśród sklepów. Otworzyłem drzwi do jednego z nich, gdzie kupiłem kapelusz i jasny płaszcz. Kiedy wyszedłem ze sklepu, usłyszałem wybuch, który brzmiał jak rozerwanie opony. Ludzie biegli w kierunku restauracji. Ja udałem się szybko na dworzec kolejowy i wsiadłem do pierwszego pociągu do Paryża".

Bomba eksplodowała, gdy Konowalec wyszedł z Atlanty na ulicę. Czekoladki – zawinięte w brązowy papier – trzymał w lewej ręce. Okazało się jednak, że pirotechnicy z NKWD nieco przeholowali i wpakowali do pudełka zbyt wiele trotylu. W efekcie wybuch był tak potężny, że rozerwał Konowalca na kawałki.

Jego lewa noga i brzuch zostały znalezione w innym miejscu niż reszta ciała, a fragmenty jelit musiano zeskrobać z chodnika z przeciwnej strony ulicy. W okolicznych gmachach wyleciały wszystkie szyby. Najbardziej ucierpiały budynki kina Lumière i kawiarni Sandeman.

W zamachu zostało ciężko rannych dwóch przypadkowych holenderskich przechodniów. Jednemu z nich lekarze musieli na sali operacyjnej wyciągnąć z karku zegarek Konowalca. A bolszewicy rozpuścili plotkę, że Konowalca w powietrze wysadziły polskie służby w odwecie za zamordowanie przez bojowników OUN ministra Bronisława Pierackiego.

Cel: Bandera

Wybuchające czekoladki były niczym w porównaniu z „gadżetem", który KGB przygotowało, żeby wyeliminować innego przywódcę OUN, Stepana Banderę. Tym razem narzędziem zbrodni był specjalny dwulufowy pistolet pneumatyczny rozpylający cyjanek. Po naciśnięciu spustu mechanizm kruszył kapsułkę z trucizną, a następnie spryskiwał nią ofiarę.

Trucizna miała się szybko ulotnić, tak aby lekarze podczas sekcji zwłok nie znaleźli jej śladu i uznali, że Bandera zmarł na atak serca. Ta dziwaczna broń była jednak niebezpieczna również dla strzelca. Dlatego egzekutor Bohdan Staszyński (były polski obywatel urodzony pod Lwowem w 1931 r.) otrzymał pigułkę z antidotum. Miał ją zażyć w razie kontaktu z trucizną.

Stepan Bandera po wojnie osiadł w Monachium i tam też pojechał za nim Staszyński. 15 października 1959 r. właśnie się do bloku przy Kreittmayrstrasse 7, w którym na trzecim piętrze znajdowało się mieszkanie ukraińskiego nacjonalisty. I czekał na klatce schodowej.

Pistolet Nagant

FOT. ARCHIWUM

Staszyński wcześniej długo obserwował Banderę i wiedział, że przed wejściem do bloku Ukrainiec zawsze odprawiał towarzyszącego mu na mieście ochroniarza. Tak też się stało tym razem. Gdy Bandera otworzył zamek w drzwiach na klatkę schodową, Staszyński ruszył w jego stronę. Spotkali się w progu.

Ukrainiec miał opuszczoną głowę, próbował rozplątać pęk kluczy.

– Nie działają? – zapytał Staszyński.

– Nie, są OK – odpowiedział Bandera i odruchowo spojrzał na nieznajomego mężczyznę.

W tym momencie Staszyński przystawił mu pistolet do głowy i nacisnął spust. Chmura cyjanku osiadła na twarzy Stepana Bandery. Staszyński minął go i jakby nigdy nic wyszedł na ulicę. Pospiesznie zawinął pistolet w gazetę i oddalił się z miejsca zbrodni. Bandera tymczasem konał na wycieraczce.

Staszyński zdążył jeszcze zauważyć kątem oka, że twarz ofiary w ułamku sekundy zrobiła się krwistoczerwona i natychmiast zaczęła czernieć. Okazało się, że egzekutor był zdenerwowany i nacisnął na spust dwukrotnie. Bandera otrzymał podwójną dawkę cyjanku i taka ilość trucizny się nie ulotniła.

Niemiecka policja wiedziała więc, że Bandera został otruty. Nie wiedziała jednak przez kogo. Znowu, tak jak w przypadku Konowalca, jeden z tropów prowadził do Polski. Śledczy nie wykluczali bowiem, że zamachu dokonał mściciel z Wołynia, krewny ofiar ludobójstwa, którego ukraińscy nacjonaliści dokonali podczas wojny na tamtejszych Polakach.

Sprawa wyjaśniła się dopiero po dwóch latach, gdy w 1961 r. Staszyński zgłosił się na policję w Berlinie Zachodnim. Na komisariacie przyznał się do dwóch zabójstw – Bandery i słynnego ideologa OUN Ława Rebeta. Tego ostatniego zgładził w Monachium w 1957 r. za pomocą tej samej dziwacznej broni.

Jego trzecią ofiarą miał być Jarosław Stećko, premier ukraińskiego rządu powołanego przez OUN w 1941 r. po zajęciu przez Niemców Lwowa. Staszyński nie miał już jednak ochoty zabijać dla Moskwy. Pod wpływem żony – fryzjerki z NRD Ingi Pohl – zdecydował się przejść na stronę Zachodu. Para zdążyła uciec z Berlina Wschodniego dzień przed rozpoczęciem budowy muru dzielącego miasto.

Chociaż formalnie Staszyński został skazany za podwójne zabójstwo na osiem lat więzienia, to Amerykanie szybko wyciągnęli go na wolność. Egzekutor zdradził im wszystkie sekrety KGB, jakie znał. A w nagrodę dostał nową tożsamość.

Przez pewien czas mieszkał w Stanach, a potem osiadł z żoną w RPA. Podobno dożył do upadku komunizmu i w latach 90. pojechał na Ukrainę, gdzie dowiedział się, że człowiek, którego zamordował, ma tam status bohatera narodowego.

Zdrada Staszyńskiego stała się wielką kompromitacją Związku Sowieckiego. Jego proces był szeroko komentowany w prasie. Cały świat się dowiedział, że bolszewicy mordują swych przebywających na emigracji przeciwników politycznych. Ówczesny sowiecki przywódca Nikita Chruszczow szalał ze wściekłości i – jak głosi legenda – zabronił wykonywania za granicą wyroków śmierci. Przynajmniej na pewien czas.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de5a4573f7

Marek Gałęzowski

1880–1915 / Bohater Legionów Polskich

Honor ponad życie

Rosjanie darowaliby mu życie, gdyby wyrzekł się walki o wolną Polskę i wstąpił do ich armii. Stanisław Kaszubski wolał jednak stryczek od zdrady Legionów

Spośród blisko 120 oficerów Legionów Polskich, którzy polegli w kampaniach toczonych z Rosją o niepodległość Polski w latach 1914–1916, tylko jeden po wzięciu do niewoli został postawiony przed carski sąd i jako obywatel rosyjski skazany na karę śmierci przez powieszenie. Tym jedynym był Stanisław Kaszubski – urodzony w 1880 r. w Warszawie, przez wiele lat życia związany z Krakowem, socjalista, który w czasie rewolucji 1905 r. przybrał pseudonim Król.

Niepokorny

Młodość Kaszubskiego przypadła na czasy głębokiej rusyfikacji. Językiem wykładowym we wszystkich szkołach pod władzą carską był rosyjski. Historii uczono wówczas z osławionego podręcznika Dmitrija Iłowajskiego, zawierającego fałszywy i oszczerczy obraz dziejów Polski. Podczas jednej z lekcji historii Stanisław przedstawił przebieg bitwy pod Racławicami. Opis spektakularnego polskiego zwycięstwa nauczyciel nazwał brednią, na co Kaszubski odpowiedział, że brednią jest to, co pisze Iłowajski, i że historii nie wolno fałszować. Ta dumna, bezkompromisowa i odważna postawa spowodowała usunięcie 13-latka z gimnazjum, który nie mógł też uczyć się już w żadnej szkole w Warszawie. Kontynuował naukę w Płocku, lecz i stamtąd został wydalony, otrzymując tzw. wilczy bilet – zakaz nauki w szkołach na terenie Królestwa Polskiego. Przygodę z oświatą rosyjską zakończył ostatecznie w Teodozji na Krymie, gdzie w 1906 r. zdał eksternistycznie egzamin maturalny. Miał już wówczas 26 lat.

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

eprasa.pl

W czasie rewolucji 1905 r. wrócił do Królestwa Polskiego i pod pseudonimem Król wstąpił do Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy. Szybko aresztowany, trafił do więzienia na warszawskim Mokotowie przy ul. Rakowieckiej i równie szybko został skazany na zesłanie do guberni archangielskiej. Wskutek starań matki, która przekupiła rosyjskich urzędników, zwolniono go jednak i wydalono z Rosji bez prawa powrotu. W 1907 r. Kaszubski osiadł w Krakowie, gdzie już wcześniej zapisał się na studia medyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Kontynuował działalność w ruchu socjalistycznym, wstępując do PPS-Frakcji Rewolucyjnej, stawiającej sobie za główny cel niepodległość Polski. „Był powszechnie lubiany w kołach krakowskiej młodzieży socjalistycznej. Dobry śpiewak (był członkiem krakowskiego chóru robotniczego), wesoły, dowcipny, zaskarbił sobie ogólną sympatyę" – pisano we wspomnieniu pośmiertnym, zamieszczonym w „Robotniku", a jak wspominał Ignacy Daszyński, znany był także z „niezliczonych dowcipów o warszawskich ugodowcach".

Stanisław Król-Kaszubski
FOT. WIKIPEDIA

Podobną popularnością cieszył się w środowisku studenckim: „Zawsze wesoły, dowcipny, ruchliwy i pełen radości życia, sypiący jak z rękawa okolicznościowymi mowami, rymami i piosenkami, Król-Kaszubski zwykle bywał osią towarzystwa, był też najpopularniejszym studentem Krakowa […]. Bardzo muzykalny, o głosie silnym i wdzięcznym przez 6 lat z rzędu, nie szczędząc czasu i trudu, prowadził chóry studenckie i robotnicze, żadna uroczystość nie obeszła się bez niego. Zawołanym był tancerzem, świetnym mazurzystą i najmilszym kompanem" – pisał Zygmunt Zygmuntowicz. Uroki krakowskiego życia, z których tak chętnie korzystał, sprawiły, że Kaszubskiego zaczęto nazywać „żelaznym medykiem", co odpowiadałoby późniejszemu określeniu „wieczny student". Z czasem – jak podano w „Polsce Zbrojnej" – „zmora egzaminów [okazała się] zbyt trudna do przezwyciężenia" i ostatecznie wpłynęła na decyzję o przerwaniu studiów na rok przed wybuchem wojny.

W szeregach strzelców

Poza udziałem w PPS, o którym jednak brak szczegółowych informacji, co dowodzi raczej małej aktywności w partii, Kaszubski wstąpił do Towarzystwa „Strzelec" w Krakowie. Wyróżniał się w tym środowisku i – jak wspominał Stanisław Żmigrodzki – był „jednym z pierwszych szermierzy w służbie łączności […] Strzelca". Tym jednak, co przede wszystkim świadczyło o jego zaangażowaniu, było uczestnictwo w szkole instruktorskiej Związku Strzeleckiego w Stróży w sierpniu 1913 r.

Szkołę w Stróży zorganizowano z inicjatywy Józefa Piłsudskiego w celu jak najlepszego wyszkolenia i zahartowania kandydatów na oficerów przyszłego Wojska Polskiego. Piłsudskiemu zależało też na tym, by uczestnicy poznali się bliżej i nawiązali relacje koleżeńskie. Do udziału w kursie wytypowano prawdziwą elitę tych organizacji strzeleckich, które posiadały szkoły podoficerskie i oficerskie oraz mogły wysłać do Stróży swoich najlepszych, oddanych sprawie ludzi. Pochodzili oni nie tylko z zaboru austriackiego, lecz także – tak jak Stanisław Kaszubski – z rosyjskiego oraz z organizacji istniejących w krajach zachodniej Europy.

W Stróży Kaszubskiemu poza udziałem w obowiązkowych, żmudnych ćwiczeniach wojskowych dodatkowo przypadła rola szefa kuchni. Tadeusz Münnich „Żegota" wspominał: „Tryb życia nosił istotnie charakter obozowy. Sporządzanie posiłków odbywało się w sposób polowy we wspólnych kotłach, przez kolejno odkomenderowanych elewów; jedynie nadzór nad kuchnią i jej kierownictwo spoczywało przez cały czas w ręku ob. Króla […], o tyle niefachowym, że był on słuchaczem medycyny i niezwykle zapalonym żołnierzem. Toteż pełnił tę funkcję z prawdziwym poświęceniem, wyrywając się w każdej wolnej chwili do żołnierskich zajęć". Wśród tych pomocników Kaszubskiego w krajaniu mięsa był Michał Sokolnicki, historyk, w niepodległej Polsce dyplomata, długoletni ambasador Polski w Turcji,

eprasa.pl de5a4573f7

Grób Stanisława Króla-Kaszubskiego w Pilźnie FOT. TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ PILZNA I ZIEMI PILŹNIEŃSKIEJ

który miał z tym zadaniem wyjątkowo ciężką przeprawę: „Zostałem przeznaczony na dyżur w kuchni. […] Jako fajtłapę oddano mnie w bezpośrednie rozporządzenie Króla, to znaczy naszego kucharza. Miał kochany Kaszubski naturę miłą, ale żołnierz każdy staje się z czasem szelmą. Dał mi więc do krajania surowe mięso. Ha, chcesz krwi, towarzyszu, to zacznij od tego bydlęcia. Trafił mnie w słabe miejsce. Nie lubiłem nigdy, jak mię paznokieć zadraśnie, i nie mogłem znosić widoku, jak się ktoś do krwi uderzy. Mięso, zresztą najtańsze, obrzydliwe, krajałem, zacisnąwszy zęby i dysząc ciężko nosem. Po godzinie tych przyjemności byłem trup. Nie jadłem nic naturalnie i pierwszy raz od jakichś ćwiczeń się odmeldowałem, skarżąc się na coś nieokreślonego".

Kaszubski był bardzo lubiany przez stróżańczyków z powodu jego „wrodzonej wesołości i pogody" – jak pisał Münnich. Żartobliwie nazywali go mieszaniną jamnika z kanarkiem – z powodu niskiego wzrostu i wyróżniającego go pięknego głosu. Daniłowski wspominał, jak wieczorami, po godz. 21, gromadzili się „w sali wykładowej i tam rodziły się owe, dziś tak popularne, strzeleckie piosenki, odbywał się improwizowany kabaret, w którym celował, obdarzony ładnym głosem i zdolnościami aktorskimi, […] kuchmistrz Kaszubski". Oddajmy jeszcze raz głos Sokolnickiemu, który opisał i mniej poważną stronę pobytu w Stróży i później w Zakopanem:

„Byliśmy w ogóle jak duże dzieci, toteż wybuchem radości powitaliśmy ogłoszony nam któregoś dnia w Stróży rozkaz o marszu do Zakopanego. Przygotowania były kłopotem dowództwa, a kłopoty te były niemałe. Kwatery w Zakopanem udało się podobno uzyskać prawie bezpłatnie, ale aprowizacja powodowała duże trudności i bardzo ciążące koszta. Zaimprowizowano tedy kuchnię polową, z którą dumnie pojechał nasz szef kucharz, Król. Mały, krępy, rozkosznie wesoły, koleżeński, zabawny i pełen pomysłów. Źle, biedak, skończył tę zakopiańską odysseję, bo tak na umór zapijał swą radość z powodu wojennego przemarszu przez Zakopane, że rano, nie mogąc się go docucić, zabrano go w beczce na wozie; było to przedmiotem drastycznych żartów i głośnej wesołości, ale Komendant nie lubił, gdy żarty przebrały miarę, i biednego Króla spotkały po powrocie do Stróży dość dotkliwe lokalne kary".

„Ja nie nazywam się Król"

Tymczasem nie minął rok od zakończenia szkoły w Stróży, kiedy wybuchła I wojna światowa. 6 sierpnia 1914 r. Kaszubski stawił się na mobilizację strzelecką w Krakowie. Objął dowództwo plutonu strzelców z Nowego Targu Oddziału Józefa Piłsudskiego i na czele tych górali przekroczył granicę zaboru rosyjskiego. Jeszcze przed granicą strzelcom wypadła chwila odpoczynku, w piękną księżycową noc, jak nie omieszkał romantycznie zauważyć żołnierz plutonu nowotarskiego Feliks Gwiżdż – poeta przecież: „Siadł Król między nami i głosem spowiednym buntownika mówił: »Polubiłem was, chłopcy, od razu. Musimy się stać plutonem nad plutonami. Ja… osobiście mam stare rachunki z Moskalami. Ja nie nazywam się Król. Jestem Stanisław Kaszubski, a jako Króla znają mnie Moskale z 1905 r. […] Otwarcie staję już do boju, pod swym nazwiskiem. Dość mi już tych wszystkich konspiracyj«".

Wkrótce pluton Kaszubskiego włączono do 3. Kompanii II Baonu, on zaś uzyskał awans na podporucznika. Cały czas od opuszczenia Krakowa służył w polu, w bojach kampanii kieleckiej, a później na Podhalu. Niemniej – jak pisano w „Polsce Zbrojnej" – „znikał w tłumie oficerskim Pierwszej Brygady, nie piastował funkcji odpowiedzialnych, nie był postacią czołową". 25 grudnia 1914 r. Kaszubski dostał się do niewoli rosyjskiej w czasie bitwy pod Łowczówkiem. Początkowo sądzono, że zginął – w specjalnie wydanym rozkazie z 1 stycznia 1915 r. płk Kazimierz Sosnkowski wymienił go wśród innych oficerów legionowych oraz „wszystkich żołnierzy, których imiona na wieki zapamięta Ojczyzna, a którzy polegli w tej grudniowej bitwie".

Tymczasem pojmanego oficera, wraz z innymi legionistami wziętymi w tej bitwie do niewoli, przewieziono do więzienia w Tarnowie. Wcześniej, we wsi, w której ich początkowo uwięziono, legionista Stefan Eichler, również jeniec spod Łowczówka, zauważył niewysokiego oficera prowadzonego między dwoma kozakami. Na jego plecaku widniało nazwisko „Kaszubski".

„Król" podczas przesłuchania nie tylko nie ukrywał, że pochodzi z Królestwa i tym samym formalnie jest obywatelem rosyjskim, lecz także oznajmił Rosjanom odważnie, że wstąpił do Legionów, aby bić się o niepodległość Polski. „Ze mną koniec […]. Przyznałem, że jestem z Królestwa Polskiego" – powiedział Eichlerowi. Gdy ten, sam pochodzący z Kongresówki, z wyrzutem zapytał go, po co to zrobił, Kaszubski odpowiedział dumnie: „A po cóż miałbym to taić?".

Wyrok zapadł w Radomyślu – tam ppor. „Króla" oddano pod sąd, który skazał go na śmierć przez powieszenie. Prowadzony przez rosyjską eskortę powiedział krótko Eichlerowi: „Śmierć... Jeszcze Polska nie zginęła". Więzieni wraz z nim legioniści chcieli mu pomóc w ucieczce, odrzucił jednak tę propozycję. Nie pozwalała mu na to oficerska duma, jak świadczy Eichler. Po wyroku został wywieziony do Pilzna.

W Pilźnie ppor. Kaszubskiego próbowano skłonić, by wstąpił do armii rosyjskiej w zamian za ułaskawienie, a gdy odrzucił tę propozycję, namawiano, żeby napisał prośbę o łaskę do cara Mikołaja II, na co również się nie zgodził, żądając jednocześnie wykonania wyroku przez rozstrzelanie. Rosjanie odmówili.

W przededniu egzekucji Kaszubski napisał list do swojej narzeczonej Marii

eprasa.pl de5a4573f7

Werner. Żegnając się z nią na zawsze, prosił o pokazanie listu Józefowi Piłsudskiemu, do którego się zwracał: „Komendancie kochany. Wpadłem. Nie mogło inaczej być". Prosił też o zapewnienie opieki Marii. Zakończył słowami: „Niech żyje Polska!".

7 lutego 1915 r. poprowadzono go na szubienicę na rynku w Pilźnie. Mieszkańcy dopiero po dokonaniu zbrodni dowiedzieli się, że powieszono oficera legionowego. Nie dało się jednak ukryć, że przed śmiercią Kaszubski wykrzyknął: „Jeszcze Polska nie zginęła...". Po dokonaniu egzekucji „zwłoki śp. Kaszubskiego zawleczono […] na pole obok cmentarza i tu je pochowano, a sotnia kozaków stratowała końmi mogiłę Męczennika, iżby ślad po niej nie został" – podawał w piśmie „Naprzód" Mieczysław Opałek.

Po zamordowaniu Kaszubskiego władze rosyjskie wydały w Pilźnie, Tarnowie i okolicznych miejscowościach „Zawiadomienie" w języku niemieckim, w którym ogłosiły, że „z mocy wyroku sądowego rosyjski poddany, Polak z Warszawy – Stanisław Kaszubski za zdradę stanu został powieszony. Kaszubski, pogardzając interesami swego państwa i swojej Ojczyzny – Polski, wstąpił jako legionista do szeregów armii austro-węgierskiej i wziął udział w kilku bitwach przeciwko nam, w obrębie Królestwa Polskiego, ręka w rękę z niemiecką siłą zbrojną. Kaszubski, podnosząc broń przeciwko nam, uczynił w ten sposób zamach na dobro swojej Ojczyzny. Kaszubski był wiarołomcą i zdrajcą swoich rodaków – Polaków".

Anonimowy autor artykułu zamieszczonego w „Robotniku" słusznie podkreślił nikczemność tego oświadczenia: „Nie dość, że wieszają – jeszcze znęcają się nad ofiarą – jeszcze pamięć bohatera obrzucają błotem. Tak było i dawniej. Bohaterów wolności siepacz moskiewski, zakładając im stryczek na szyję, piętnował jako »bandytów«". Teraz jednak zaborca posunął się dalej – „ośmiela się bohatera, który walczy o Polskę, umiera dla Polski, potępiać – w imieniu Polski! […] daje lekcję patriotyzmu polskiego, utożsamiając go ze służeniem Rosji".

Piszący te słowa nie wiedział, że przyjdą czasy, gdy taka metoda będzie powszechnie stosowana w propagandzie zaborców. W czasie komunistycznego zniewolenia po 1944 r. najwięksi patrioci polscy, uczestnicy walk o niepodległość z Rosją w czasie I wojny światowej, bohaterowie obrony Polski we wrześniu 1939 r. i podziemnej walki z dwoma okupantami będą obrzucani plugawymi kalumniami, nazywani zdrajcami Polski.

„A na wieku skrzydła swe rozpostarł orzeł biały"

W czerwcu 1915 r., wskutek ofensywy wojsk niemieckich i austro-węgierskich, Rosjanie rozpoczęli odwrót na wschód. Miejsce zadeptane kopytami kozackich koni odnaleziono i ogrodzono. Kiedy 1 listopada rozkopano ziemię, w dole znaleziono zwłoki w legionowym mundurze. Włożono je do „metalowej trumny, na której z obu stron umieszczono szable, a na wieku skrzydła swe rozpostarł orzeł biały" – pisał Zygmuntowicz. Następnie rozpoczęto przygotowania do pogrzebu oficera. Uroczysta ceremonia, zorganizowana przez Naczelny Komitet Narodowy w porozumieniu z komitetem powiatowym w Pilźnie, odbyła się 2 listopada 1915 r. Wzięli w niej udział m.in. Ignacy Daszyński, przewodniczący NKN, polityk konserwatywny, prof. Władysław Leopold Jaworski, wybitny historyk, oficer Legionów por. Marian Kukiel.

Okoliczności śmierci Stanisława Kaszubskiego uczyniły go w oczach mu współczesnych postacią wyjątkową. „Śmierć jego była czymś szczególnie wymownym, wzniosła się ponad inne ofiary. […] Kaszubski mógł uratować życie. Jedno jedyne zaprzeczenie mogło go uchronić od śmierci. Nie uczynił tego i dlatego śmierć jego to nie jeden więcej z epizodów zmagania się bojowego przeciwników, ale protest […] przeciwko Rosji. Czyn i śmierć Kaszubskiego jest objawem tej całej głębi przekonania Polaków, […] że dla odzyskania wolności należy poświęcić wszystko" – mówił prof. Jaworski na pogrzebie oficera – by dać świadectwo przekonaniu, które „musi mieć ofiarę, aby za sobą porywać […]. Śmierć Kaszubskiego jest dokumentem prawdy, którą każdy Polak w sercu nosi, a która polega na tem, że Polakiem jest się dopóty, dopóki się pragnie wolności i że tej wolności nie da nam Rosja".

Zakończmy tę opowieść o legionowym bohaterze słowami Juliusza Kadena-Bandrowskiego, który, jak gdyby uprzedzając zbyt patetyczne opisy jego życia, pisał o Kaszubskim: „Mały, na krzywych nogach, z wytartym wąsikiem, nieuważający się przecie za żadne wcielenie bohatera, a z myślą i wołaniem, że »Jeszcze Polska nie zginęła«. Rzecz prosta – że nie […]. Takim należy pamiętać Kaszubskiego, który dziś, jak był malutki – między największymi chadza i szary mundur strzelecki szczerosrebrnym epoletom księcia Józefa i starszym, złotym buławom hetmanów przedstawia".

Józef Piłsudski ze sztabem. Kielce, sierpień 1914 r. FOT. WIKIPEDIA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem BEN IPN.

eprasa.pl de5a4573f7

Mikołaj Iwanow

Bolesław Mołojec mógł zostać przywódcą komunistycznej Polski. W ramach wewnętrznej dintojry w PPR został jednak zamordowany na warszawskiej ulicy

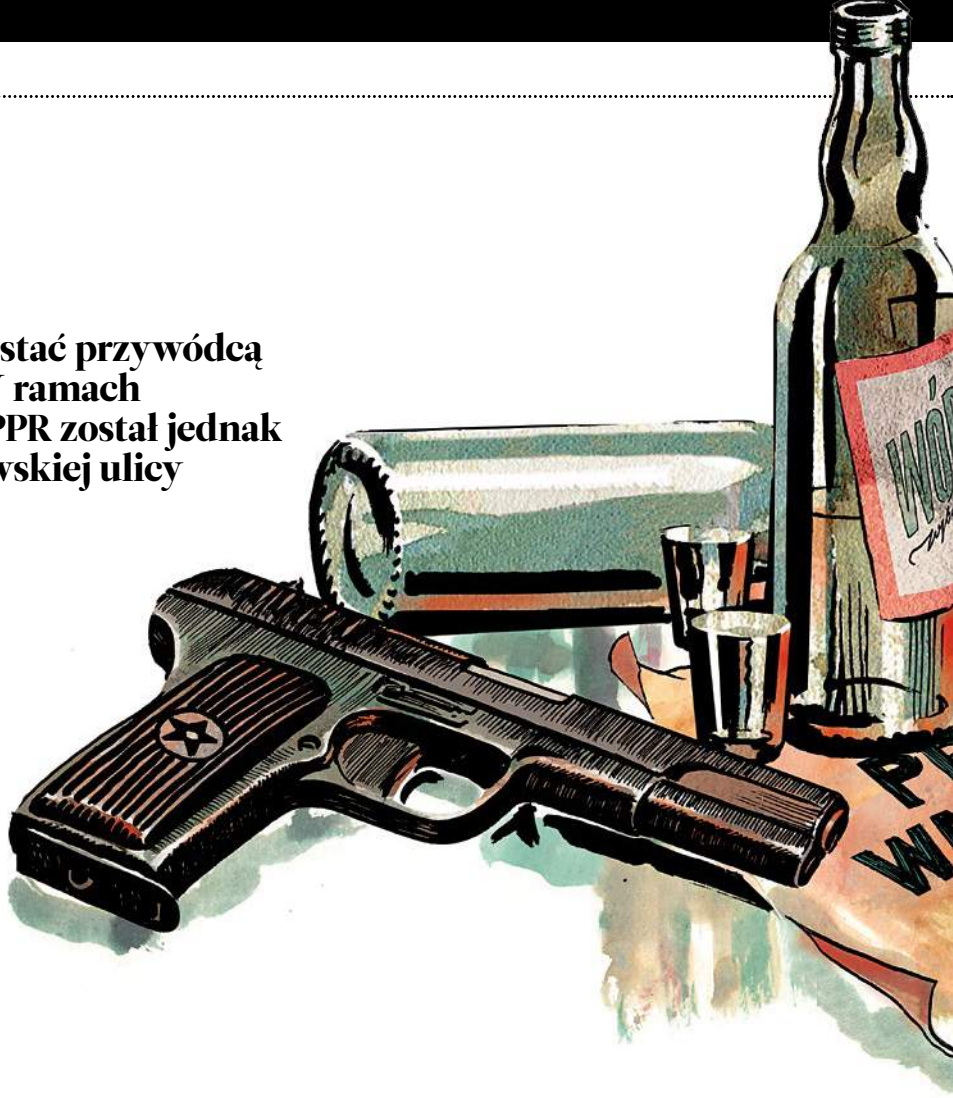

1942 r. / Krwawa rozprawa z bohaterem dąbrowszczaków

Niedoszły polski Stalin

Dąbrowszczacy, o których pisano obszernie w poprzednim numerze „Historii Do Rzeczy", to trochę zapomniany złowieszczy symbol polskiego komunizmu w jego najstraszniejszej stalinowskiej odsłonie. Tak zwani polscy ochotnicy w wojnie domowej w Hiszpanii po stronie lewicowego rządu stworzyli poza granicami II Rzeczypospolitej minipaństewko komunistyczne, działające według podstawowych zasad totalitaryzmu stalinowskiego. Gdyby dąbrowszczakom udało się zwyciężyć w wewnętrznej wojnie komunistycznej i stanąć na czele procesu komunizacji Polski, prawdopodobnie system PRL byłby o wiele bardziej okrutny i bezwzględny w porównaniu z tzw. komunizmem gomułkowskim.

Niezaprzeczalnym symbolem twardszego kursu sowietyzacji Polski mógł być ostatni dowódca dąbrowszczaków – Bolesław Mołojec, człowiek, któremu Stalin powierzył stworzenie na nowo komunistycznej partii w Polsce.

„Banda szpiegów i prowokatorów – czytamy w zredagowanym przez Stalina osobiście dokumencie – usadowiona w kierownictwie kompartii Polski jednocześnie kierowała swą agenturę do podstawowych organizacji partyjnych w terenie, systematycznie zdradzała wrogowi klasowemu najlepszych synów klasy robotniczej i rok po roku za pomocą wsypów niszczyła organizacje partyjne zarówno w Polsce rdzennej, jak i na Białorusi Zachodniej i Ukrainie Zachodniej. Nieustannie wypaczała linię polityczną partii w taki sposób, aby komunizm tracił swe wpływy wśród mas, aby partia coraz bardziej stawała się wroga i obca Międzynarodówce Komunistycznej (MK). Faszyzm polski w swej pracy destrukcyjnej na szeroką skalę posługiwał się wyrodkami trockistowsko-bucharyńskimi, którzy bądź już wcześniej byli agentami

eprasa.pl de5a4573f7

Bolesław Mołojec FOT. ARCHIWUM

FOT. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

polskiej defensywy, bądź chętnie stawali się nimi ze względu na wspólną z faszyzmem platformę polityczną". Ten wycinek z postanowienia Kominternu o rozwiązaniu Komunistycznej Partii Polski (KPP) nie zostawia złudzeń: Stalin zdecydował się całkowicie wytępić polski ruch komunistyczny.

Rozwiązanie KPP w 1938 r., kiedy wojna w Hiszpanii była jeszcze daleka od zakończenia, i fizyczne zniszczenie jej członków było sprawą bezprecedensową, wyróżniającą się nawet na tle całokształtu wielkiego terroru i w historii światowego komunizmu. Gwoli sprawiedliwości odnotujmy, że komuniści polscy stanowili jedynie niewielki procent ogólnej liczby ofiar antypolskiego terroru, mającego wszystkie cechy ludobójstwa na tle etnicznym. Zniszczenie KPP, mimo całej swej unikalności, logicznie wynikało z powszechnej atmosfery terroru panującej w Związku Sowieckim w przededniu II wojny światowej i unikatowego prześladowania całej zbiorowości polskiej w ZSRS w ramach tzw. operacji polskiej.

W okresie wielkiego terroru przeżycie polskiego komunisty, który wcześniej znalazł schronienie na terenie Związku Sowieckiego, graniczyło z cudem. Cudem raczej było nie samo przeżycie, lecz otrzymanie wyroku 10 lub 15 lat łagru. Sowiecki obóz koncentracyjny i polskie więzienie paradoksalnie stały się dla wiernych zwolenników Stalina swoistymi oazami przeżycia. Strach przed wzmocnieniem Trockiego, głównego rywala Stalina w międzynarodowym ruchu komunistycznym, wywoływał u sowieckiego przywódcy paranoidalną fobię podejrzliwości i żądzę totalnego wyczyszczenia szeregów MK zarówno jeżeli chodzi o rzeczywistych sympatyków trockizmu, jak i potencjalnych. Żadnej z partii komunistycznych wchodzących w skład MK nie ominęły represje, jednak los KPP, poddanej totalnym represjom, był unikalny.

„Dobry moment"

Stworzenie od podstaw nowej polskiej partii komunistycznej Stalin postanowił powierzyć grupie swoich sprawdzonych agentów NKWD. Byli to polscy komuniści-stalinowcy zasłużeni w przeprowadzaniu krwawych czystek w brygadach międzynarodowych. Ich celem byli trockiści oraz inni – prawdziwi i domniemani – opozycjoniści w czasie wojny domowej w Hiszpanii. Czołowe miejsce mógł tu zająć słynny „Walter" (Karol Świerczewski), jeden z dowódców tych brygad. Pochodził on z krwawo przetrzebionego w toku operacji polskiej środowiska tzw. Polaków sowieckich i jego związki z polskością po prawie 20-letnim pobycie poza ojczyzną były nieco iluzoryczne. Dlatego na animatora polskiego komunizmu wybrano Bolesława Mołojca, młodego, niespełna 30-letniego byłego działacza nielegalnego polskiego komsomołu, który zrobił niesamowitą karierę wojskową w Hiszpanii.

Na front trafił jako jeden z pierwszych polskich ochotników już w 1936 r. Jego wykształcenie wojskowe sprowadzało się do skończenia Komunistycznego Uniwersytetu Mniejszości Narodowych Zachodu w Moskwie, gdzie wśród innych przedmiotów wykładano przysposobienie wojskowe. Po kilku miesiącach za wyjątkowe męstwo otrzymał stopień porucznika i został szefem sztabu batalionu. Wkrótce, w październiku 1937 r., awansował na kapitana i został dowódcą batalionu im. Adama Mickiewicza. Po walkach w Estremadurze został szefem sztabu w XIII Brygadzie Międzynarodowej im. Jarosława Dąbrowskiego, a trochę później zastępcą dowódcy tej brygady. Latem 1938 r. – kolejny awans. Tym razem otrzymał dowództwo całej Brygady Międzynarodowej im. Jarosława Dąbrowskiego i awans na stopień majora. Za wyjątkowe zasługi jako jedyny z Polaków dostał z rąk premiera Juana Negrína najwyższe odznaczenie bojowe Republiki Hiszpańskiej – „Medal za Dzielność".

Do Związku Sowieckiego Bolesław Mołojec trafił w „dobrym momencie", w styczniu 1940 r., w okresie tzw. odwilży Beriowskiej już po zakończeniu operacji polskiej i akurat wtedy, kiedy na Kremlu powoli dojrzewała decyzja o zmianie polityki w kwestii polskiej.

Zmiana ta polegała na próbie wykorzystania ocalałej polskiej kadry komunistycznej w sowietyzacji nowo przyłączonych terytoriów, a także na tworzeniu polskiego komunistycznego centrum wojskowego w celu ewentualnego wykorzystania go w przyszłości przeciwko Niemcom. Stalin na razie nie chciał odtwarzać komunistycznej partii w Polsce, aby nie psuć stosunków sojuszniczych z III Rzeszą. Chciał natomiast mieć w zanadrzu argument w postaci zarodka „Polski komunistycznej".

Wybranie przez Stalina na „czołowego uzdrowiciela polskiego komunizmu" Bolesława Mołojca tylko pozornie wydaje się kuriozalne. Wobec załamywania się sojuszu z Hitlerem i w związku z maniakalną żądzą zemsty na Trockim młody (zaledwie 31-letni) ambitny bohater wojny hiszpańskiej dawał wielkie nadzieje na ściągnięcie pod sztandary nowej „socjalistycznej" Polski wszystkich poszukiwaczy błyskotliwych karier politycznych i tych, dla których słowa „godność" i „uczciwość" nie miały znaczenia. Niemal idealnie nadawał się on na nowego lidera polskich komunistów. NKWD również zapewniło Stalina, że Mołojec nigdy nie miał jakichkolwiek sympatii dla trockizmu. Na dodatek podczas hiszpańskiej wojny domowej zasłużył się swą

eprasa.pl de5a4573f7

Plac Zbawiciela w Warszawie podczas niemieckiej okupacji FOT. NAC

stanowczością podczas rozpraw z trockistami.

Stalinowi prawdopodobnie również imponowało to, że Mołojec odważył się otwarcie występować z ideą odrodzenia polskiego ruchu komunistycznego, która – wydawało się – była całkowicie skompromitowana w oczach „przywódcy narodów" i kierownictwa MK. Był on wyjątkowo gorliwy w swoim komunistycznym wiernopoddaństwie.

Wysunięciu Bolesława Mołojca i dąbrowszczaków na pierwszy plan odbudowy polskiej partii komunistycznej sprzyjało również to, że absolutna większość przebywających na terenie ZSRS polskich działaczy komunistycznych, zastraszonych krwawymi represjami z lat 1937–1938, pogodziła się z nienaturalną śmiercią polskiego ruchu komunistycznego. Natomiast Mołojec natarczywie domagał się od Stalina wskrzeszenia KPP.

Mołojec po przyjeździe do Związku Sowieckiego na początku 1940 r. spotkał się z Zofią Dzierżyńską, najwyższym autorytetem wśród ocalałych polskich komunistów w Moskwie. Otrzymał od niej informację prywatną, ale jak najbardziej wiarygodną: na razie kierownictwo WKP(b) i Stalin uważają sprawę odbudowy KPP za nieaktualną. Podobna informacja z ust wdowy po „żelaznym Feliksie" na pewno ostudziłaby zapał każdego, ale nie Mołojca. Już wcześniej, działając wśród komunistów-Polaków w Paryżu, poparł on decyzję MK o rozwiązaniu KPP, ale jednocześnie zaczął aktywnie nawoływać do odrodzenia partii polskich komunistów na podstawie nowej, oczyszczonej ze wszystkich opozycjonistów platformie, widząc siebie w roli czołowego uzdrowiciela partii.

Podobne działania Mołojca nie były przypadkowe. W opinii kierownictwa MK to właśnie on najbardziej nadawał się do odgrywania roli czołowego egzekutora woli Stalina. Dlatego mianowano go w Paryżu kierownikiem Grupy Inicjatywnej dla spraw polskich przy MK, ale jeszcze przed wybuchem II wojny światowej, w czerwcu 1939 r., Sekretariat MK rozwiązał Grupę Inicjatywną i powołał Tymczasowy Ośrodek Kierowniczy Komunistycznej Partii Polski.

Trup na dworcu

Uciekinier z obozu internowanych żołnierzy brygad międzynarodowych w Hiszpanii Bolesław Mołojec miał pozostać jego nieformalnym przywódcą. Według planów kierownictwa MK ośrodek ten miał za zadanie umożliwić jak najbardziej bezbolesne rozwiązanie lokalnych kół KPP na terenie Francji i innych państw zachodnich. Mołojec natomiast, wiedząc o tych planach, od samego początku dążył do przekształcenia ośrodka w centrum odbudowy KPP. Prawdopodobnie dobrze wiedział, co może mu grozić za podobne nieposłuszeństwo, jednak zapewne świadomie szedł na konfrontację z Moskwą. Był komunistycznym fanatykiem i jego własny los miał dla niego drugorzędne znaczenie. Uratowała go prawdopodobnie decyzja rządu francuskiego, który zdelegalizował partię komunistyczną i aresztował wielu jej czołowych działaczy. Decyzję tę Francuzi podjęli we wrześniu 1939 r. w odpowiedzi na zdradzieckie działania komunistów, torpedujące wysiłek wojenny Francji w toczącej się wojnie z III Rzeszą.

Los Bolesława Mołojca w tej wyjątkowo trudnej dla polskich komunistów sytuacji przypomina „cudowne ocalenie". Wydawało się, że w Moskwie mogły go czekać jedynie cela NKWD i niechybna śmierć. Tym bardziej że młody bohater wojny hiszpańskiej nie wyróżniał się specjalną ostrożnością wobec swoich mocodawców w Moskwie.

W stolicy ZSRS Mołojec, mimo zupełnie nowych okoliczności politycznych, nadal dążył do promowania idei „odrodzenia KPP na bazie polskiej niepodległości". Proroczo uważał pakt Ribbentrop-Mołotow za zjawisko czasowe, a wojnę między ZSRS i III Rzeszą za nieuniknioną. Kolidowało to wyraźnie z koncepcją polityczną Zofii Dzierżyńskiej, która próbowała zjednoczyć ocalałych polskich komunistów wokół idei „17. republiki". W jednym ze swych listów do KC WKP(b) wdowa Feliksa pisała: „Polacy w swej masie [są] na tyle klerykalni i antysowieccy", że skomunizować można ich jedynie, włączając Polskę do Związku Sowieckiego jako kolejną republikę związkową.

W Moskwie Mołojec, oprócz listów do Stalina, pisał również memoriały do Georgia Dymitrowa, przewodniczącego Kominternu. Trudno jednoznacznie stwierdzić, czy te listy zachowały się w archiwach Międzynarodówki. Dostęp do nich, mimo upływu ponad 70 lat, nadal jest ograniczony. Jednak na podstawie danych pośrednich możemy przypuszczać, że zarówno Stalin, jak i Dymitrow byli nieco zaskoczeni „natarczywością" Mołojca. Pisał on o konieczności odbudowy polskiego ruchu komunistycznego, ale na nowej (można ją nazwać „stalinowskiej") bazie. Nie unikał skomplikowanych pytań, uznając, że sprawa polskiej niepodległości zależeć będzie od stosunków między ZSRS i Niemcami. Walkę z Hitlerem uważał za zadanie nie na dziś, ale na jutro. Był przekonany, że załamanie sojuszu sowiecko-niemieckiego to tylko kwestia czasu.

W nowych okolicznościach wiosny–lata 1940 r. (po błyskawicznej porażce Francji) Bolesław Mołojec z punktu widzenia Stalina i jego najbliższego otoczenia okazał się idealnym kandydatem do roli jednego z czołowych budowniczych wskrzeszenia polskiego ruchu komunistycznego. Doskonale rozumiał intencje swych mocodawców na Kremlu, był fanatycznie oddany Stalinowi, a jednocześnie elastyczny i przewidywalny.

Wiosną 1940 r. nic nie zapowiadało tragicznego zakończenia kariery politycznej „bohatera" hiszpańskiej wojny domowej. Latem 1940 r. NKWD, wykonując osobiste

eprasa.pl de5a4573f7

polecenie Stalina, rozpoczęło przyspieszone kształcenie Bolesława Mołojca w duchu ortodoksyjnego komunisty. Najpierw skierowano go do szkoły politycznej w Nagornoje niedaleko Moskwy. Wkrótce studiował już w szkole w podmoskiewskim Puszkino, a późną jesienią rozpoczął nowe zajęcia w szkole NKWD w Kusznarenkowie w okolicach Ufy.

W grudniu 1941 r. sowiecki samolot zrzucił go pod Warszawą. Mołojec dostał od Stalina strategicznie ważne zadanie: objęcie dowództwa nad Gwardią Ludową – zbrojnym ramieniem PPR.

Gomułka, jego główny rywal, tak go opisywał: „Mołojec był człowiekiem niemal pozbawionym uczucia strachu, a zarazem żołnierzem kochającym wojaczkę". Taki człowiek niewątpliwie zagrażał politycznym ambicjom innych działaczy komunistycznych.

Mołojec brał udział m.in. w pierwszej akcji GL przeciwko Niemcom, do której doszło 10 czerwca 1942 r. w okolicach Polichna. Wkrótce jednak jego kariera urwała się w dramatycznych okolicznościach.

28 listopada 1942 r. w okolicy Dworca Zachodniego w Warszawie odnalezione

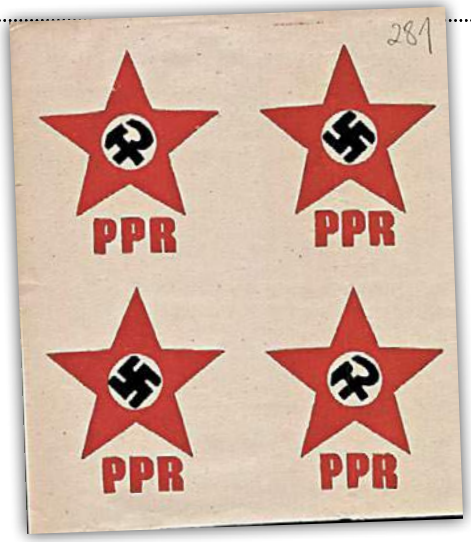

zostały zwłoki przywódcy PPR Marcelego Nowotki.

Paweł Finder i Małgorzata Fornalska, członkowie KC PPR, wiedzieli, że Nowotko miał się tego dnia spotkać z Mołojcem... Dopiero trzy dni po odnalezieniu ciała Nowotki udało im się do niego dotrzeć.

Mołojec potwierdził wprawdzie, że widział się z Nowotką, ale – jak się zarzekał – nie miał pojęcia, co się z nim stało po ich spotkaniu. Gomułka twierdził potem, że Mołojec podał wkrótce kompletnie inną wersję: ktoś ich napadł podczas spotkania, a Nowotko miał wówczas zginąć od kul.

Wierząc, że w ten sposób obejmie przywództwo w PPR, Mołojec skontaktował się z Moskwą. W wysłanej do Dymitrowa depeszy napisał, że Nowotko zginął w zamachu zorganizowanym przez „polski Londyn". Poinformował też Dymitrowa o przejęciu funkcji I sekretarza PPR.

Reszta kierownictwa PPR (Finder, Fornalska, Jóźwiak i Gomułka) trzymała jednak rękę na pulsie. Zapadła decyzja o eliminacji Mołojca. 29 grudnia 1942 r. człowiek, który chciał przejąć władzę nad PPR, został zastrzelony. Po latach, na III Plenum PZPR w 1949 r., Bierut nazwał go agentem przedwojennej „Dwójki", a także „prowokatorem".

Konkurent Nowotki zamordowany został w „najlepszym" stalinowskim stylu. Przywódcy ZSRS pozostało jedynie podziwiać swych polskich wyznawców. Gdyby los był dla Mołojca nieco bardziej łaskawy, mógł on śmiało zająć miejsce Bieruta, jako „polski Stalin".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl de5a4573f7

Arkadiusz Karbowiak

Atakowali z impetem, prawie zawsze z powodzeniem. Za sukcesy płacili jednak dużymi stratami

1941–1945 / Cudzoziemska jednostka Waffen-SS

Walonowie przeciw Sowietom

Gdy Heinrich Himmler, SS-Reichsführer, podjął w czerwcu 1940 r. decyzję o stworzeniu z SS-Verfügungstruppen (od lipca 1940 r. Waffen-SS), nordycko-germańskiej legii cudzoziemskiej w okupowanej Belgii, zaszczytu służby w tej formacji dostąpili jedynie ochotnicy flamandzkiego pochodzenia. Walonowie, jako frankofoni, byli przez narodowych socjalistów postrzegani jako element rasowo mało wartościowy.

Ta ocena nie uległa zmianie nawet po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, chociaż Adolf Hitler zezwolił na powstanie walońskiego legionu, który miał walczyć w składzie Wehrmachtu. Jednostce nadano nazwę Wallonische-Infanterie Bataillon 373. Większość ochotników stanowili członkowie ruchu katolickiego Christus Rex. Za cel swej działalności obrali sobie dokonanie duchowej rewolucji, mającej odnowić społeczeństwo w duchu katolickim. 8 sierpnia 1941 r. walońscy ochotnicy przemaszerowali ulicami Brukseli na dworzec Gare du Nord, by stamtąd wyruszyć na poligon w Meseritz (dzisiaj: Międzyrzecz). Tam 22 sierpnia 1941 r. złożyli przysięgę na wierność Adolfowi Hitlerowi. Léon Degrelle, przywódca Christus Rex, tak skonstatował fakt utworzenia legionu: „W 1941 roku niespodziewanie dano nam okazję, by stać się towarzyszami broni zwycięzców, całkowicie im równymi. Wszystko zależało od naszej odwagi".

Na froncie wschodnim

Walońscy rekruci otrzymali mundury Wehrmachtu z naszytą na lewym ramieniu belgijską flagą. Batalion liczył 19 ofi-

eprasa.pl de5a4573f7

Przysięga walońskich ochotników

FOT. SZ PHOTO/SCHERL/FORUM

cerów i 850 żołnierzy oraz podoficerów. Kadrę stanowili w większości weterani I wojny światowej oraz oficerowie rezerwy armii belgijskiej. Na czele jednostki stał początkowo mjr Georges Jocobs, oficer belgijskich wojsk kolonialnych. Swą funkcję pełnił krótko, bo już 1 stycznia 1942 r. został zastąpiony zwolnionym z oflagu kpt. Pierre'em Paulym. W połowie października legioniści wyruszyli na front i 2 listopada dotarli w okolice Dniepropietrowska. Tam nawiązali kontakt ze stacjonującymi żołnierzami z włoskich dywizji piechoty: 9. DP „Pasubio" i 52. DP „Torino".

Pierwszymi przeciwnikami Walonów byli sowieccy partyzanci. W walkach z nimi 373. Batalion poniósł pierwsze straty. Długą listę poległych Walonów otworzył 1 grudnia 1941 r. zabity na drodze Griszino – Sieło, na skutek wybuchu miny, dowódca 4. Kompanii kpt. Rene Dupres. W styczniu 1942 r. Walonowie zostali włączeni do Kampfgruppe Töger z 100. Dywizji Lekkiej Piechoty gen. Sannego. Skierowano ich nad rzekę Samarę. Tam zajęli pozycje obok żołnierzy z 5. Dywizji Zmotoryzowanej SS „Wiking". Kluczowym zadaniem 373. Batalionu była obrona wsi Gromojabałka, na którą od 18 lutego zaczął spadać deszcz sowieckich pocisków artyleryjskich. Po 10 dniach intensywnego ostrzału Sowieci przystąpili do szturmu siłą dwóch pułków wspieranych przez 14 czołgów. Przewaga przeciwnika była olbrzymia, choć Walonowie starali się ją niwelować męstwem i poświęceniem żołnierzy. Będący wówczas w stopniu gefreitera. Léon Degrelle wspominał: „Czołgi nas przydusiły. Setki Rosjan strzelały z karabinów maszynowych, z najbliższej odległości. Tuż za nami słomiana strzecha zawaliła się w potężnych płomieniach. Zbliżał się finał".

Około godz. 15, kiedy wydawało się, że Walonowie zostaną całkowicie unicestwieni, z pomocą przybyli im piloci Luftwaffe. Atakujące z lotu nurkowego samoloty Ju-87, zwane popularnie stukasami, obłożyły bombami atakujących Sowietów. Zamieszanie w ich szeregach wykorzystał kpt. Pierre Pauly, który wraz ze swymi podkomendnymi zaatakował czerwonoarmistów, wypierając ich z części wsi.

Ostatecznie bitwę na korzyść wojsk niemieckich rozstrzygnął batalion z 100. Dywizji Piechoty Lekkiej, wsparty 10 czołgami. Walonowie, choć pokazali swoją determinację i niezwykłe umiejętności bojowe, ponieśli ogromne straty. Z 411 żołnierzy aż 71 zginęło, a 155 odniosło rany. Szczególnie dotkliwe były one w 2. Kompanii legionu, którą musiano rozwiązać. Przy życiu pozostało z niej zaledwie 12 żołnierzy. Wśród zabitych był także biały Rosjanin, płk Siergiej Smoleński. W uznaniu zasług 34 legionistów udekorowano Krzyżami Żelaznymi I i II klasy. To ostatnie odznaczenie wręczone przez gen. Wernera Sannego we wsi Stepanówka otrzymał także Léon Degrelle, awansowany do stopnia oberfeldfebla (starszego sierżanta).

SS-Obergruppenführer Felix Steiner, śledzący walkę legionu, tak go oceniał: „Legion Wallonie zawsze chętniej atakował, niż się bronił. Walonowie atakowali zawsze z takim impetem, iż ich szturmy prawie za każdym razem kończyły się sukcesem. Najczęściej jednak płacili za to dużymi stratami. W działaniach typowo obronnych nie czuli się równie dobrze, jednak i tutaj wykazali się wytrwałością oraz zdolnością pokonywania kryzysowych sytuacji przez szybkie kontrataki".

Tuż pod bitwie pod Gromojabałką batalion wycofano z frontu w celu uzupełnienia strat. Jednak już w maju Walonowie znaleźli się znów na pierwszej linii, będąc (od 5 maja 1942 r.) w składzie 97. Lekkiej Dywizji Piechoty (przemianowanej niedługo potem na 97. Dywizję Strzelców) w wyprawie nad Don, a potem Kaukaz. Ciekawostką jest to, że w tym czasie batalionem dowodził kpt. Georges Czechow. Był rosyjskim białym emigrantem, który swą przygodę z wojskiem rozpoczął w 1914 r. w szeregach carskiej marynarki

eprasa.pl de5a4573f7

wojennej. Podczas I wojny światowej pływał na niszczycielu „Łetun", pełniąc obowiązki oficera artylerii. W latach wojny domowej walczył po stronie białych, a potem opuścił Rosję wraz z resztkami armii gen. Piotra Wrangla. Od połowy lat 20. mieszkał w Belgii, działając w założonym w 1929 r. w Paryżu Rosyjskim Związku Imperialnym. W 1941 r. wstąpił do legionu i objął dowodzenie 3. Kompanią. Po odejściu kpt. Pierre'a Pauly'ego został dowódcą legionu, ale po dwóch miesiącach zrezygnował, przekazując swą funkcję kpt. Lucienowi Lippertowi. Sam zaś objął dowództwo 36. Batalionu Zapasowego.

Po wojnie Georges Czechow wyjechał do Argentyny i zmarł tam w 1961 r.

Obok Czechowa w batalionie służyło także 25 białych Rosjan. Szefem służby sanitarnej był por. Piotr Jaczmin, a najmłodszym ochotnikiem legionu – syn rosyjskiego arystokraty, Marcel Turczaninow. Zanim znalazł się w szeregach francuskiej Legii Cudzoziemskiej w Indochinach i Algierii, wstąpił do walońskiej dywizji SS za aprobatą Degrelle'a, mając niecałe 15 lat.

Z grona rosyjskich emigrantów wywodził się Nikołaj Sachnowski, prowadzący niezwykle aktywną działalność polityczno-propagandową. Jemu samemu, podobnie jak innym Rosjanom, szczególnie na sercu leżał tragiczny los jeńców sowieckich. Starał się więc wszelkimi sposobami ulżyć ich ciężkiej doli. Sachnowski był, za zgodą Niemców, organizatorem kilku 40–45-osobowych plutonów złożonych z byłych czerwonoarmistów. Oddziały te stanowiły grupy wsparcia dla batalionu walońskiego w czasie walk na Kaukazie. Funkcjonowanie tych grup w strukturach legionu okazało się bardzo problematyczne z chwilą przejścia legionu pod zwierzchnictwo SS, bo Niemcy nie chcieli się zgodzić na dalszą służbę byłych czerwonoarmistów. Ostatecznie tylko 40 z nich pozostało w jednostce. Wraz z Sonderführerem Rostisławem Zawadzkim w 1943 r., w czasie walk w kotle pod Czerkasami, zdezerterowali do bolszewików.

Obok Walonów, Flamandów i Rosjan w legionie służyło też trzech Polaków, Szwajcarów i Rumunów, jeden Fin, Hiszpan, Węgier, Szwed oraz Żyd, który, gdy go rozpoznano, odesłany został do Belgii. W szeregi 373. Batalionu, a potem brygady i dywizji zaciągali się także

Léon Degrelle FOT. ARCHIWUM

przedstawiciele belgijskiej arystokracji. Dwóch z nich: książę François de Meester de Heydencock i baron Christian Vanderstraeten Waillet, poległo 28 lutego 1942 r. Pod sam koniec wojny, 27 kwietnia 1945 r., śmierć poniósł także SS-Untersturmführer hr. Réne de Backer de Reville. Przeżyli wojnę dwaj francuscy arystokraci: Pierre de la Hemaide i Royan de Karline.

W szeregach Waffen-SS

W roku 1943 doszło do rozmów dowództwa legionu walońskiego z kierownictwem SS. Ich efektem było przeniesienie 1 czerwca 1943 r. batalionu do Waffen-SS i przeformowanie go w 5. SS-Freiwilligen-Sturmbrigade „Wallonien". Jako cudzoziemska jednostka SS brygada mogła posiadać swoich kapelanów (w niemieckich jednostkach SS ich nie było). Funkcję kapelana pełnił Leon Stockman, ojciec Padre. Natomiast kapelanami 373. Batalionu byli Luksemburczyk Joseph Sales i Luis Fierens.

Jesienią 1943 r. Walonowie podporządkowani operacyjnie 5. Dywizji Pancernej SS „Wiking" znaleźli się na Ukrainie w okolicach Korsunia, w składzie odciętych przez Sowietów dwóch korpusów armijnych XI i XXXXII. Aby nie dopuścić do kolejnego Stalingradu, dowództwo niemieckie podjęło decyzję o wyrwaniu się z kotła. Walonowie początkowo stanowili ariergardę przebijających się sił. Szczególnie ciężkie walki toczyły się w miejscowości Nowa Buda, gdzie 13 lutego brygada, a w zasadzie jej dwie kompanie, powstrzymywała atak 22 czołgów T-34 wspartych oddziałami piechoty. Tego dnia zginął zastrzelony przez snajpera dowódca jednostki SS-Sturmbannführer Lucien Lippert. Dowodzenie nad brygadą przejął na krótko SS-Hauptsturmführer Léon Degrelle. Został bowiem ranny w bok i ramię, a jego obowiązki po kolegialnej decyzji oficerów przejął SS-Obersturmführer Jules Mathieu. Rankiem 17 lutego 1944 r. Walonowie przerwali okrążenie. Léon Degrelle wspominał: „Mieliśmy do pokonania około osiemset metrów odkrytego, płaskiego terenu, który oddzielał nas od zbawczych drzew. […] Rzuciliśmy się naprzód. Jednak sowieckie czołgi wraz z watahami kozaków także ruszyły. […] Biegliśmy z urywanym i palącym oddechem, skrajnie wyczerpani. Na naszych oczach sowieckie czołgi najeżdżały na wozy z rannymi, przewracały je i zgniatały: wszędzie rozbrzmiewały przerażające wrzaski konających i dzikie charczenie miażdżonych koni, które gorączkowo wierzgały kopytami".

Z 1972 żołnierzy, którzy walczyli w okrążeniu, tylko 632 zdołało je opuścić. 20 lutego SS-Hauptsturmführer Léon Degrelle wraz z gen. Theo-Helmutem Liebem i SS-Gruppenführerem Herbertem Gillem został udekorowany przez Adolfa Hitlera w Wilczym Szańcu Krzyżem Rycerskim. Od tej chwili rozpoczęła się zawrotna kariera Léona Degrelle'a na stanowisku dowódcy brygady, a potem dywizji. Bez wątpienia był cieszącym się autorytetem dowódcą legionu, do którego – nie mając żadnego przeszkolenia wojskowego – zaciągnął się jako szeregowiec, awansując bardzo szybko, choć zapewne także z powodów politycznych, do stopnia porucznika.

Kariera Degrelle'a

Léon Degrelle urodził się 15 czerwca 1906 r. w burgundzkim Bouillon w rodzinie francuskiej. W 1924 r. zapisał się na katolicki uniwersytet w Lovain. Podczas studiów znajdował się pod wpływem Action Française i jej przywódcy Charles'a Maurrasa. Dzięki poparciu prałata Picarda wstąpił do Belgijskiego Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej. Tam nabywał doświadczeń w działal-

eprasa.pl de5a4573f7

ności publicznej. W 1930 r. wyjechał do Meksyku ogarniętego wojną domową. Co naturalne, sympatyzował z chłopskimi katolickimi kontrrewolucjonistami spod znaku Cristeros, walczącymi z rządem prezydenta Callesa. Pokłosiem meksykańskiej wyprawy był cykl reportaży, które ukazały się w katolickim wydawnictwie Christus Rex. Wkrótce Degrelle rozpoczął działalność na niwie politycznej. Widząc korupcję i dekadencję rządzących elit, Degrelle postanowił stworzyć ruch polityczny Christus Rex. Narodowo-radykalny charakter ruchu oraz jego bezkompromisowa postawa wystraszyły nieco i zjednoczyły w walce przeciw niemu cały belgijski establishment polityczny. W wyborach w 1936 r. reksiści uzyskali 11,5 proc. głosów, zdobywając 26 mandatów w parlamencie. Trzy lata później mieli jednak tylko czterech posłów.

W maju 1940 r. Degrelle'a aresztowano i przekazano w ręce francuskich służb specjalnych. W areszcie był poniżany i torturowany. Udało mu się jednak przeżyć. Po rozpoczęciu niemieckiej okupacji reksiści nie byli brani przez Niemców pod uwagę jako ewentualni kolaboranci. Degrelle w chwili wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej uznał, że nadeszła szansa na wzięcie udziału w antybolszewickiej krucjacie. Nie zamierzał wzywać do udziału w niej, dekując się w Belgii. Jego walory bojowe tak opisywał dowódca dywizji SS „Wiking", SS-Obergruppenführer Felix Steiner: „Służył w legionie jako prosty żołnierz, następnie awansował na podoficera, później na oficera, by wreszcie pod koniec kampanii zostać jego dowódcą w stopniu generała. Był typowym Walonem: ambitnym, odważnym i wielkodusznym zapaleńcem. Łatwo wpadał w zaraźliwy entuzjazm, zawsze był pełen fantazji. […] Degrelle był duchowym przywódcą legionu, przede wszystkim jednak posiadał wrodzony talent wojskowy. Dzięki temu wkrótce stał się tak zaangażowanym i doświadczonym żołnierzem […]. Rozumiejąc i znając swoich ludzi, Degrelle z pasją starał się wszczepić im poczucie żołnierskiego honoru i zagrzewać do bohaterskich czynów. Przywódca Legionu »Wallonien« stanowił znakomity przykład politycznego żołnierza nowego typu".

Degrelle po powrocie z Wilczego Szańca wziął udział w konferencji prasowej w Berlinie, a następnie pojechał do Belgii, gdzie uczestniczył w paradach wojskowych. Jedna z nich odbyła się 1 kwietnia 1944 r. na Grand Place w Charleroi, z udziałem SS-Obergruppenführera Seppa Dietricha. Po jej zakończeniu uczestnicy pojechali do Brukseli na pojazdach zmotoryzowanych wypożyczonych od dywizji LSSAH (1. Dywizja Pancerna SS „Leibstandarte SS Adolf Hitler"). 20 kwietnia 1944 r., w dniu urodzin kanclerza III Rzeszy, Léon Degrelle, podobnie jak Georges Czechow, awansowany został do stopnia SS-Strumbannführera.

Te awanse i zaszczyty spowodowały, że dowódca brygady zaczął coraz bardziej czuć się politykiem, a nie żołnierzem. W jego głowie pojawiły się plany stworzenia wykrojonej po części z Belgii i Francji Burgundii, której chciał być namiestnikiem. W tym czasie dotknęła go osobista tragedia. 10 lipca 1944 r. członkowie ruchu oporu zabili jego brata Édouarda, właściciela apteki. Mord ten spotkał się z odwetem ze strony reksistów, dokonanym w miejscowościach: Bouillon, Ottignies, Namur, Mons i Charleroi.

W sierpniu 1944 r. 5. Brygada Szturmowa SS „Wallonien" została wysłana kolejny raz na front wschodni, by tym razem uczestniczyć w bitwie pod Narwą. Po jej zakończeniu Walonów przeformowano w 28. Dywizję Grenadierów SS „Wallonien" i rzucono w lutym 1945 r. do walk na Pomorzu. Przykładem obrazującym ich zaciętość są wydarzenia, które rozegrały się na wzgórzach leżących nieopodal miejscowości Lindenberg. Pozycje obronne zajęła tam 7. Kompania z II/69 dowodzona przez SS-Obersturmführera Jacques'a Cappele'a, odpierając wściekłe ataki sowieckich czołgów i piechoty. Degrelle tak wspominał to wydarzenie: „Capelle nadal miał 70 żołnierzy. Wszyscy zginęli na pozycjach pomiędzy świtem a godz. 15. Capelle spokojnie zawiadamiał nas przez radio o ostatnich fazach agonii. Sowieckie czołgi były wszędzie. Żołnierze, skupieni w małych grupach, walczyli zażarcie. W końcu pozostało już tylko stanowisko dowódcze, jak wyspa otoczona przez krzyczące hordy zabójców. Kiedy skończyła się walka wręcz, Capelle, który mimo ciężkiej rany nadal strzelał z pistoletu, wyprostował się i stanął na wprost czerwonych, którzy biegli w jego kierunku. Kiedy byli półtora metra od niego, strzelił sobie w głowę".

W drugiej połowie kwietnia 1945 r. Walonowie uczestniczyli w próbach powstrzymania sowieckiej ofensywy na linii obronnej, nazywanej Wotan Stellung. Kiedy jej obrona okazała się niemożliwa, resztki 28. Dywizji Grenadierów SS „Wallonien" przedarły się na zachód, oddając się do niewoli Brytyjczykom i Amerykanom. Degrelle opuścił swoich podkomendnych, udając się do Malente na rozmowy z Himmlerem, pozbawionym na rozkaz. Hitlera wszelkich stanowisk za inicjowanie kontaktów z wrogiem. Wkrótce potem Degrelle dotarł do Kopenhagi, skąd w nocy z 5 na 6 maja 1945 r. na pokładzie trałowca odpłynął do Oslo. Stamtąd 7 maja 1945 r. poleciał samolotem Heinkel 111 i pokonując trasę 2150 km, dotarł do San Sebastián w Hiszpanii (samolot rozbił się podczas wodowania na wodach Zatoki Biskajskiej). Od tej chwili Degrelle rozpoczął żywot emigranta politycznego. Do kraju wracać nie mógł, bo jeszcze w 1944 r. sąd belgijski skazał go zaocznie na karę śmierci. Léon Degrelle zmarł 31 marca 1994 r., w wieku 87 lat, w szpitalu San Antonio Park w Maladze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de5a4573f7

Rozmowa / Z prof. Joshuą D. Zimmermanem

rozmawia Piotr Zychowicz

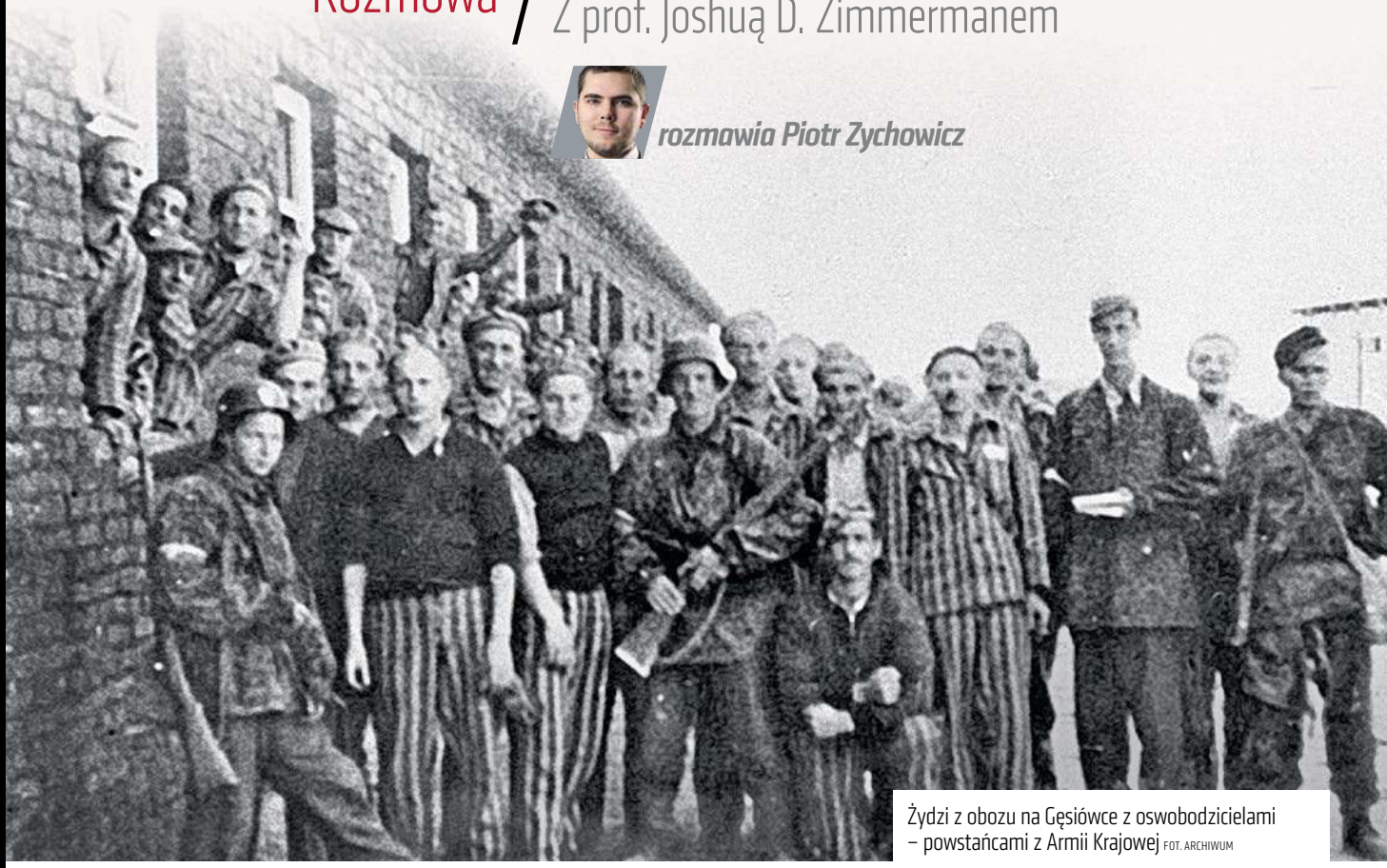

Żydzi z obozu na Gęsiówce z oswobodzicielami – powstańcami z Armii Krajowej FOT. ARCHIWUM

Armia Krajowa i Żydzi

Polacy powinni spojrzeć na wojnę z perspektywy Żydów. A Żydzi z perspektywy Polaków – przekonuje amerykański historyk

PIOTR ZYCHOWICZ: Istnieją dwie narracje w sprawie stosunku Polskiego Państwa Podziemnego wobec Żydów. Czarna i biała. Która z nich jest prawdziwa?

JOSHUA D. ZIMMERMAN: Obie są nieprawdziwe. Obie zawierają półprawdy i uproszczenia.

Skąd taki rozdźwięk?

Wypływa to w dużej mierze z faktu, że przez czterdzieści kilka lat obie te narracje były prowadzone oddzielnie. Nie było żadnego dialogu. Gdy wiele lat temu zacząłem interesować się historią polskich Żydów, od razu zetknąłem się z tymi dwiema legendami. Na Zachodzie, szczególnie od Żydów, słyszałem, że Armia Krajowa była organizacją antysemicką. Z kolei od Polaków i Amerykanów polskiego pochodzenia słyszałem, że Armia Krajowa była bohaterską formacją, która Żydom pomagała.

eprasa.pl de5a4573f7

Ten pierwszy pogląd dla Polaków jest bardzo bolesny.

Sam się o tym przekonałem. Po raz pierwszy przyjechałem do Polski latem 1987 r. Byłem świeżo po kursie historii Holokaustu ukończonym na jednym z amerykańskich uniwersytetów. Gdy pytałem Polaków o stereotyp mówiący o AK jako formacji niechętnej Żydom, byli zszokowani i zdumieni. Ich opinia na ten temat była diametralnie inna. Wtedy też po raz pierwszy spotkałem się z polskim punktem widzenia, z patrzeniem na wojnę z perspektywy polskich cierpień.

Skoro ani czarna, ani biała legenda nie są prawdziwe, to jaka jest prawda?

Prawda jest taka, że Polskie Państwo Podziemne było kolosalnym organizmem. Należały do niego setki tysięcy ludzi reprezentujących niemal wszelkie poglądy i frakcje występujące w polskim narodzie. A co za tym idzie – w Polskim Państwie Podziemnym byli zarówno przyjaciele Żydów, jak i antysemici.

To jasne. W każdej grupie znajdą się źli ludzie. Kluczowe było jednak chyba nastawienie instytucji.

Oczywiście. Dlatego w mojej książce staram się udowodnić anglojęzycznym czytelnikom, że polskie władze podczas II wojny światowej nie wyrażały antysemickich poglądów.

Zacznijmy może od rządu w Londynie.

Polski rząd był nastawiony niezwykle przychylnie wobec Żydów. Premier Władysław Sikorski kilkakrotnie zapowiadał, że Polska po wojnie będzie demokratycznym krajem, w którym Żydzi będą pełnoprawnymi obywatelami i nie będą poddawani żadnej dyskryminacji. Sikorski alarmował świat w sprawie Holokaustu. Polacy nie tylko przekazali Zachodowi informacje o prześladowaniach Żydów, lecz także wzywali jeszcze społeczność międzynarodową do działania.

A jak było w okupowanym kraju?

Tutaj sytuacja była bardziej skomplikowana. O ile prasa Związku Walki Zbrojnej wyrażała współczucie dla Żydów, o tyle część społeczeństwa polskiego przyjmowała niemieckie szykany spadające na żydowskich sąsiadów z satysfakcją. Wiemy o tym choćby z raportu Jana Karskiego z początku 1940 r. Słynny kurier o podjętym przez Niemców „rozwiązaniu kwestii żydowskiej" pisał tak: „Naród nienawidzi swego śmiertelnego wroga, ale ta kwestia stwarza jednak coś w rodzaju wąskiej kładki, na której spotykają się zgodnie Niemcy i duża część polskiego społeczeństwa".

Pytanie tylko, skąd takie nastawienie się wzięło. Generał Stefan Grot-Rowecki w radiogramie wysłanym do gen. Sikorskiego 25 września 1941 r. pisał, że „przygniatająca większość kraju nastawiona jest antysemicko". Według niego w dużej mierze wywołane to było jednak kolaboracją sporej części Żydów pod okupacją sowiecką.

Polacy mieli dwóch równych wrogów – Niemców i Sowietów. Żydzi mieli zaś dwóch nierównych wrogów. Dla nich Hitler, z oczywistych przyczyn, był znacznie większym zagrożeniem niż Stalin. Dlatego trudno się dziwić, że czuli ulgę, gdy do ich miasteczek wkraczali żołnierze Armii Czerwonej, a nie Wehrmachtu.

Część Żydów wyrażała jednak radość z upadku państwa polskiego.

Być może wynikało to z tego, że nie czuli się w nim dobrze. Po śmierci Józefa Piłsudskiego polscy Żydzi traktowani byli jako obywatele drugiej kategorii. Spadały na nich rozmaite szykany, dotykały ich akty przemocy. Ograniczano liczbę Żydów na uniwersytetach, wprowadzano bojkot żydowskich sklepów. To są wszystko dobrze znane sprawy. Jeżeli zaś chodzi o stereotyp „żydokomuny", to dużo mówią o nim przedwojenne preferencje wyborcze polskich Żydów. Czy wie pan, ilu z nich głosowało na komunistów?

Nie mam pojęcia.

Sześć procent Żydów, 94 proc. poparło inne ugrupowania.

Wielu Żydów w latach 1939–1941 podjęło jednak współpracę z czerwonym okupantem.

Jeden z historyków przebadał skład etniczny sowieckiej administracji we wschodniej Polsce. Okazało się, że 54 proc. urzędników było etnicznymi Polakami! Żydzi, Białorusini, Ukraińcy stanowili mniejszość w sowieckim aparacie. Jednocześnie wielu Żydów zginęło w Katyniu, zostało wywiezionych na Syberię i padło ofiarą innych sowieckich zbrodni. Powszechnie rozpowszechniona opinia, że Żydzi masowo popierali bolszewików, była więc nieprawdziwa. Oparto ją na wielu indywidualnych przypadkach.

Jak ta powszechna opinia przekładała się na stosunek Polskiego Państwa Podziemnego wobec Żydów? Wielkie kontrowersje narosły choćby wokół powstania w getcie warszawskim.

Część żydowskich historyków oskarżała polskie podziemie o obojętność, odmowę udzielenia pomocy walczącym. Jednakże raport Bundu z 22 czerwca 1943 r. mówi coś przeciwnego – że Polacy wspierali powstanie. W trakcie walk w getcie Armia Krajowa dokonała siedmiu zbrojnych akcji „solidarnościowych" na obrzeżach dzielnicy zamkniętej. Przeszkoliła też żydowskich bojowników, dostarczyła im broń, amunicję i materiały wybuchowe. Około 10 proc. arsenału ŻOB pochodziło z dostaw AK. W swojej książce starałem się pokazać, jak olbrzymiej odwagi w okupowanej Warszawie wymagało przeszmuglowanie broni do getta.

Część historyków z Zachodu uważa, że pomoc ta była niewystarczająca, że Polacy w geście solidarności z Żydami powinni byli w kwietniu 1943 r. wywołać powszechne powstanie.

Polacy działali zgodnie z instrukcjami gen. Sikorskiego z 26 kwietnia 1943 r. „Walka – pisał premier – nie może się żadną miarą przerzucić na Kraj i nie może być hasłem do spontanicznego powstania.

eprasa.pl de5a4573f7

Wszelka pomoc Żydom jest dopuszczalna, lecz nie powinna wykraczać poza te ramy". Z oceną tą gen. Rowecki w pełni się zgadzał.

Nie wypływało to jednak z antysemityzmu.

Oczywiście, że nie. Ludzie w Ameryce często patrzą na sprawy w wąskiej perspektywie. Powstanie w getcie postrzegają tylko w kontekście Holokaustu. Tymczasem należy spojrzeć szerzej. W kwietniu 1943 r. front wschodni znajdował się setki kilometrów od Warszawy, a alianci zachodni w ogóle nie utworzyli drugiego frontu. Pozycja Niemców była niezwykle silna. Tymczasem przygotowany przez Roweckiego plan powstania powszechnego zakładał, że może ono zostać wywołane dopiero w momencie, gdy Wehrmacht się załamie. Gdyby AK wywołała powstanie w 1943 r., nie miałoby ono najmniejszych szans powodzenia, skończyłoby się masakrą. Było po prostu zbyt wcześnie.

30 czerwca 1943 r. doszło do nieszczęścia. Generał Rowecki został aresztowany przez Niemców i na stanowisku komendanta AK zastąpił go gen. Tadeusz Bór-Komorowski. Dla Polski zmiana ta miała katastrofalne konsekwencje. A jakie konsekwencje miała dla polskich Żydów?

To były dwie zupełnie inne osobowości. Stefan Grot-Rowecki nie miał żadnych uprzedzeń wobec Żydów. Przyznał to nawet Jan Tomasz Gross w książce „Strach". Rowecki był lojalnym oficerem, który wykonywał wszystkie rozkazy Naczelnego Wodza w Londynie. W efekcie Polskie Państwo Podziemne starało się pomagać Żydom. To za kadencji Roweckiego powstała „Żegota". Rowecki przekazywał na Zachód wstrząsające raporty wywiadowcze na temat Holokaustu. Był osobiście poruszony i oburzony niemieckimi mordami dokonanymi na Żydach. Starała się dostarczać broń żydowskim bojownikom.

A Komorowski?

To zupełnie inna historia. Generał „Bór" był sympatykiem endecji. A więc ugrupowania niechętnego Żydom. Jego nastawienie widać w jego rozkazach. Nowy dowódca AK odmówił wykonania instrukcji Naczelnego Wodza i zapowiedział, że nie będzie dostarczał broni żydowskim bojownikom chcącym walczyć z Niemcami w gettach i lasach. Tym samym złamał rozkaz. Zasłonił się przy tym „opinią społeczeństwa", które rzekomo nie zaakceptowałoby przekazywania cennej broni Żydom. To zdumiewające, bo przecież to dowódcy wojskowi powinni narzucać swoją wolę podwładnym, a nie odwrotnie.

Niemieccy żołnierze podczas powstania w getcie warszawskim FOT. ARCHIWUM

To było typowe dla tego oficera. Winę za swoją fatalną decyzję o wywołaniu powstania warszawskiego Komorowski również zrzucał na społeczeństwo. Naród rwał się do boju – przekonywał – więc musiałem wydać ten rozkaz.

Jeżeli chodzi o Żydów, to Komorowski poinformował Londyn, że przekaże im broń dopiero, gdy w Polsce wybuchnie powszechne powstanie.

Wtedy nie byłoby przecież komu przekazać broni.

I to jest właśnie w tej sprawie najbardziej szokujące. Komorowski doskonale wiedział, co się dzieje z Żydami. Wiedział, że getta są pacyfikowane, a ich mieszkańcy są eksterminowani w komorach gazowych. Broń potrzebna była natychmiast! Zdecydowana większość polskich Żydów nie dożyłaby do wybuchu powstania powszechnego.

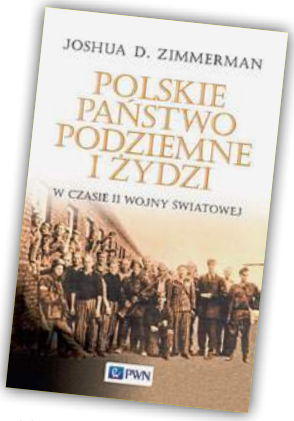

JOSHUA D. ZIMMERMAN
„POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE I ŻYDZI W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ"
PWN

Jestem bardzo krytyczny wobec gen. Komorowskiego, ale muszę wystąpić w jego obronie. Niechęć do przekazywania Żydom broni nie musiała się brać z antysemityzmu. Komorowski bał się, że ta broń wpadnie w ręce Sowietów. Wielu Żydów, którzy uciekli do lasów, dołączyło bowiem do bolszewickich oddziałów partyzanckich.

Żydzi wstępowali do partyzantki sowieckiej dlatego, że nie chciano ich w partyzantce polskiej. A dlaczego nie chciano ich w partyzantce polskiej? Ponieważ w przekonaniu polskich partyzantów Żydzi byli prosowieccy. Mieliśmy więc do czynienia z zamkniętym kołem, samospełniającą się przepowiednią. Żydzi, którzy chcieli przetrwać, nie mieli wyboru – musieli dołączyć do Sowietów. Tutaj nie chodziło o sympatię dla ideologii komunistycznej, ale o chęć przeżycia. Oskarżanie tych ludzi o antypolonizm i prosowieckość było niesprawiedliwe. Komorowski dał tymczasem swoim podwładnym przyzwolenie na nieprzyjmowanie Żydów – jako elementu niepewnego – do szeregów. Mało tego, w rozkazach AK z 1943 r. mowa jest o likwidacji „band żydowsko-komunistycznych".

Generał jednocześnie był jednak zwolennikiem udzielania pomocy żydowskim cywilom ukrywającym się po aryjskiej stronie muru. Zagrożenie widział więc nie we wszystkich Żydach. Tylko w tych, którzy dołączyli do sowieckich oddziałów partyzanckich. A więc zasilili siły wroga.

Rzeczywiście, to Komorowski kazał karać szmalcowników śmiercią, strzelać do ludzi, którzy denuncjowali Żydów na gestapo. W swojej książce mocno to podkreślam. Jednak trudno zrozumieć, dlaczego oczekiwał od wszystkich Żydów Europy Wschodniej lojalności wobec państwa polskiego. Cały problem sprowadzał się do zasadniczej różnicy między nastawieniem obu społeczności do nadciągających Sowietów. Polacy widzieli w nich nowego okupanta, który rości sobie

eprasa.pl de5a4573f7

prawa do połowy polskiego terytorium. Dla Żydów nadejście Sowietów oznaczało zakończenie koszmaru Holokaustu. Fizyczne ocalenie. Tego właśnie nie potrafił zrozumieć gen. Komorowski.

W książce pisze pan o przypadkach, w których polscy partyzanci zabijali żydowskich partyzantów. Były jednak i sytuacje odwrotne, gdy żydowscy partyzanci zabijali Polaków. Wystarczy wymienić masakry w Nalibokach czy Koniuchach.

Nie przebadałem tych spraw, ale oczywiście mnie to nie dziwi. Na ziemiach północno-wschodnich trwał zacięty konflikt między polską a sowiecką partyzantką. To była wojna. Skoro Żydzi znajdowali się w szeregach sowieckiej partyzantki, to brali udział w tym krwawym konflikcie.

Największe wrażenie zrobiła na mnie ta część książki, w której pisze pan o postawach poszczególnych Polaków. Jeden rozdział poświęca pan członkom AK, którzy zabijali Żydów. A kolejny członkom AK, którzy z narażeniem życia Żydów ratowali.

Historia AK była bowiem historią setek tysięcy ludzi. Różnych ludzi. Modelowym przykładem może być Okręg Kielce. Na terenie tym był oddział AK, który tropił i mordował Żydów. Dowodził nim Marian Sołtysiak „Barabasz". A jednocześnie istniały oddziały, które były do Żydów nastawione niezwykle przyjaźnie, chroniły ich przed Niemcami.

Czyli wszystko zależało od człowieka.

Dokładnie tak. W książce opisuję np. oficera warszawskiego Kedywu Józefa Rybińskiego. Wrażliwego intelektualistę, który miał doktorat z filologii klasycznej. On ratował Żydów, przyjmował ich do swojej elitarnej formacji. Przedstawiam sprawę Jana i Antoniny Żabińskich, którzy z narażeniem życia ukrywali Żydów na terenie warszawskiego zoo. A także bohaterskie czyny Ireny Sendlerowej i innych członków „Żegoty".

Bardzo ciekawy jest przypadek Żydów z Hanaczowa.

To miejscowość znajdująca się w Okręgu Lwów. Tamtejszy oddział AK chronił na jej terenie 250 żydowskich uciekinierów. W lutym 1944 r. w Hanaczowie doszło nawet do bitwy między AK a połączonymi siłami ukraińskiej policji i UPA. Ukraińcy chcieli zabić Żydów, ale Polacy im na to nie pozwolili. W walce tej po stronie AK wziął udział żydowski pluton. W książce opisuję jednak również sytuacje, w których partyzanci AK walczyli przeciwko Żydom i Żydów mordowali.

Jakie były motywy takich AK-owców?

Na ziemiach północno-wschodnich – np. w Okręgu Nowogródek – działania te wpisywały się w konflikt między polskim a sowieckim podziemiem. Z kolei na innych, np. w okręgach Kielce czy Radom, zabójcami Żydów kierowała chęć grabieży czy pospolity antysemityzm.

Czyli były to akty niesubordynacji.

Tak. Wszyscy dowódcy AK, którzy zabijali Żydów – poza dwoma wyjątkami, które stanowiły okręgi Nowogródek i Białystok – nie mieli zgody swoich przełożonych na podobne działania. To była ich własna inicjatywa. Dowódców tych można określić jako renegatów.

A jak sytuacja wyglądała podczas powstania warszawskiego?

Gdy wybuchło powstanie warszawskie, wszyscy obywatele Warszawy poczuli się wolni. Także Żydzi, którym udzielił się powszechny entuzjazm. Opuścili oni swoje kryjówki i często włączali się do walk z Niemcami. Żołnierze Armii Krajowej wyzwolili żydowskich więźniów na Umschlagplatz i w obozie Gęsiówka. W sumie historycy oceniają, że AK podczas powstania uratowała 398 Żydów. Jednocześnie powstańcy zamordowali ok. 30 Żydów.

W 1994 r. napisał o tym Michał Cichy w „Gazecie Wyborczej"...

Tak, wiem, jaki szok wywołał w Polsce ten artykuł. Pamiętajmy jednak, że sprawa dotyczy właściwie tylko jednego oddziału dowodzonego przez kpt. Wacława Stykowskiego „Hala". To jego ludzie dopuścili się przytłaczającej większości aktów antyżydowskiej przemocy. Między innymi morderstwa całej grupy Żydów – w tym kobiet i dzieci – na ulicach Prostej 4 i Twardej 30.

W tej sprawie do dziś toczy się w Polsce zażarta dyskusja. Syn kpt. „Hala" napisał niedawno książkę, według której jego ojciec nie miał z tymi zbrodniami nic wspólnego.

Nie znam tej książki, ale oczywiście chętnie ją przeczytam. Sprawa jest jednak tak dobrze udokumentowana i zbadana przez historyków, że trudno mi sobie wyobrazić, jak można wybronić kpt. „Hala". Domyślam się, jak wielkie emocje musi wzbudzać w Polsce ta sprawa. Wiem, że powstanie warszawskie dla Polaków jest świętością. Nikt nie wysuwa zarzutów pod adresem wszystkich powstańców. Chodzi tylko o niewielką grupkę żołnierzy.

Jeżeli już rozmawiamy o powstaniu warszawskim, to warto przypomnieć, że ŻOB w powstaniu walczył nie u boku AK, ale u boku AL. To by potwierdzało niektóre obawy gen. Komorowskiego.

Oddziałek ŻOB walczący w powstaniu warszawskim liczył niewiele ponad 20 żołnierzy. Znacznie więcej Żydów walczyło w oddziałach Armii Krajowej. Żeby wymienić tylko słynnego żołnierza Kedywu Stanisława Aronsona. Dowódca ŻOB Icchak Cukierman wspominał po wojnie, że podczas powstania żydowscy bojownicy zostali przyjęci przez AK chłodno. W AL przyjęto ich zaś z otwartymi ramionami. Znowu nie chodziło więc o sympatie prokomunistyczne, ale o konieczność.

Kiedy przygotowywałem się do tego wywiadu, planowałem zapytać pana, czy możliwe jest przełamanie czarnej i białej legendy oraz spojrzenie na relacje podziemia z Żydami w sposób obiektywny. Pytanie to chyba nie ma jednak sensu. Pańska książka jest najlepszym przykładem, że takie spojrzenie jest możliwe.

Taki właśnie przyświecał mi cel. Chciałem przerzucić most między zwolennikami obu tych sprzecznych narracji. Chciałem, żeby Polacy spróbowali spojrzeć na wojnę z perspektywy Żydów. A Żydzi spróbowali spojrzeć na wojnę z perspektywy Polaków. Prawda była bowiem znacznie bardziej złożona i skomplikowana niż legendy. Nie chodziło mi również o wydawanie werdyktu. To nie moja rola – ja tylko przedstawiłem fakty. Ocena należy do każdego z czytelników.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Joshua D. Zimmerman
jest profesorem Yeshiva University w Nowym Jorku. Napisał m.in. „Contested Memories: Poles and Jews during the Holocaust and its Aftermath" (red.), „Poles, Jews and the Politics of Nationality" oraz „The Jews of Italy under Fascist and Nazi Rule".

eprasa.pl de5a4573f7

1918 r. / Upadek floty Austro-Węgier

Koniec świata w Puli

Żołnierze w porcie w Puli czekający na powrót do swoich ojczyzn. Grafika Anselma Bucciego FOT. MUZEUM MIEJSKIE W PADWIE

Piotr Semka

Włoski reporter wojenny uwiecznił, jak narody imperium Habsburgów pakowały się i wracały do domów z bazy w Puli

Schyłek monarchii Habsburgów to temat, który nie zaistniał zbytnio w wyobraźni wizualnej Europy. Parę zdjęć ze zrzucania na bruk austriackich orłów w Pradze i Krakowie, popularne w Galicji kpiarskie klepsydry o zgonie „wiedźmy Austrii" – i to wszystko. W ogólnym chaosie końca habsburskiego świata mało kto z Austriaków czy Węgrów dbał o uwiecznienie na zdjęciach i filmach obumierania starego świata oraz tworzenia się nowego. Jeśli już, to ci, którzy czuli się panami nowej sytuacji – Polacy, Czesi, Słowacy, Chorwaci oraz Włosi. Agonia wielonarodowej monarchii oznaczała gigantyczną wędrówkę ludów i konflikt między narodami rywalizującymi o te same tereny. Ukraińcy postanowili zawalczyć z Polakami o Lwów, Słoweńcy z Austriakami o Karyntię i Styrię, a Włosi zapragnęli spełnić XIX-wieczne sny o zdobyciu Triestu, Istrii i Dalmacji.

W tej rozgrywce w rejonie Adriatyku Włochy miały najsilniejsze karty. Zaliczały się do jednej z czterech najważniejszych sił ententy. Przejęcie Triestu i dalmatyńskich wybrzeży Morza Adriatyckiego, niegdyś kontrolowanych przez Republikę Wenecką, uznali za zwieńczenie risorgimento, czyli jednoczenia ziem włoskich w jedno państwo trwające od 1849 r. To Austria była obiektem najbardziej mściwych emocji Włochów jako państwo, które zawsze najsilniej blokowało zjednoczenie Italii. I w październiku, i w listopadzie 1918 r. królestwo dynastii piemonckiej z satysfakcją oglądało upadek swego wielowiekowego ciemiężyciela, a potem wroga.

Pamiątką po tamtych chwilach i emocjach jest cykl grafik „Finis Austriae" włoskiego malarza Anselma Bucciego, ktore wśród innych jego cykli rysunków z I wojny światowej, w stulecie zwycięstwa Włoch nad Habsburgami, wystawiło muzeum miejskie w Padwie.

Dziecko epoki

Anselmo Bucci (1887–1955) uznawany jest za jednego z najwybitniejszych malarzy i grafików okresu międzywojennego we Włoszech. Malarstwa i grafiki uczył się w latach 1904–1905 na Akademii Sztuk Pięknych Di Brera w Mediolanie. Potem Bucci przeniósł się do Paryża, chłonąc najnowsze trendy w malarstwie. Tam z powodzeniem wystawiał

eprasa.pl de5a4573f7

swoje prace i zdobył uznanie na paryskich salonach malarskich. Jednocześnie Bucci był gorącym patriotą.

Gdy w 1915 r. Królestwo Italii przystąpiło do wojny, malarz zaciągnął się do wojska. Trafił do lombardzkiego batalionu piechoty rowerowej. W czasie walk Bucci nie rozstawał się ze szkicownikiem. Z czasem jego grafiki z frontu w północnych Włoszech zdobyły uznanie zwierzchników. W pierwszych miesiącach 1918 r. otrzymał status korespondenta wojennego i trafił do batalionu San Marco – jednostki piechoty morskiej. I wraz z tą jednostką uczestniczył w pierwszych dniach listopada 1918 r. w zajęciu austro-węgierskiej bazy marynarki wojennej w Puli na półwyspie Istria – dziś w Chorwacji.

Pula, po niemiecku – Pulei, była najważniejszym obok Fiume-Rijeki centrum marynarki monarchii Habsburgów. Tutaj mieściła się szkoła podoficerów marynarki, która – obok akademii marynarki wojennej w Fiume-Rijece – przyciągała kandydatów z wszystkich części imperium: Austriaków, Węgrów, Czechów, Słowaków i Polaków. To starożytne miasto z okazałym rzymskim Koloseum było dla przybyszy z większości krajów cesarstwa rajem. Ciepły klimat, piękna śródziemnomorska przyroda, łagodne zimy i, w przypadku oficerów, wysoki status społeczny wojskowych. Cały ten świat nagle runął w październiku i listopadzie 1918 r.

Rysunków Anselma Bucciego nie sposób zrozumieć bez opowiedzenia o dramatycznych okolicznościach końca starego świata w Puli.

Kataklizm

We wspomnieniach Niemców, Węgrów i Austriaków z 1918 r. uderza przekonanie, że od wygranej dzieli ich dosłownie jeden krok. Wyeliminowanie z wojny Rosji, opanowanie chlebodajnej Ukrainy, sukcesy w wojnie z Rumunią i wielkie ofensywy na zachodzie sprawiały wrażenie jeśli nie „zwycięstwa w zasięgu ręki", to przynajmniej mocnej pozycji przetargowej wobec ententy. Załamanie przyszło na przełomie września i października. Do końca miesiąca ujawniła się słabość „imperium na glinianych nogach". Tempo rozkładu państwa Habsburgów nie mieściło się w głowach wielu oficerom marynarki, żyjącym przez dziesięciolecia na szczycie drabiny społecznej. Chociaż symptomy kryzysu było widać już wcześniej. W lutym 1918 r. doszło do buntu austro-węgierskich marynarzy w zatoce Cattaro (Kotor) żądających – pod wpływem haseł rewolucji w Rosji – zawarcia pokoju. Bunt, który objął 40 jednostek, stłumiono. W październiku 1918 r. – wobec pogłosek o abdykacji cesarza Karola i nieudanych prób proszenia ententy o pokój – fala niezadowolenia jednak powróciła. Kolejne narody w obrębie monarchii ogłaszały plany budowy własnej państwowości.

Cesarz Karol I FOT. WIKIPEDIA

Czesław Petelenz, austriacki oficer marynarki polskiego pochodzenia, stacjonujący w Puli, wspominał tamten czas tak: „Zapanował istny chaos. Na okrętach i w oddziałach lądowych powstały komitety rewolucyjne na wzór rosyjskich. Dowódcy okrętów i dowódcy floty zostali wyzuci z wszelkiej władzy, którą objęły sowiety. [...] Nowi władcy nie odnosili się w ogólności bynajmniej wrogo do oficerów, lecz ignorowali ich w zupełności".

„Kaisertreue", czyli oficerowie niemieccy i ci z narodów cesarstwa, którzy kariery zrobili drogą pełnej lojalności wobec monarchii, wpadali w desperację.

28 października 1918 r. dowódcy niemieckich U-Bootów zaczęli zatapiać swoje jednostki, aby nie wpadły w ręce aliantów. Głośnym echem odbiło się samobójstwo kmdr. ppor. Alexandra Miloševicia, zastępcy dowódcy pancernika „Viribus Unitis".

Równie zdesperowany był cesarz Karol I. Nie chcąc, by flota adriatycka wpadła w ręce Włochów – najbardziej nienawistnych wrogów – ogłosił 30 października 1918 r., że przekazuje flotę austriacko-węgierską radzie narodowej Słoweńców, Chorwatów i Serbów, która ukonstytuowała się w Zagrzebiu już 5 października 1918 r.

Marynarze innych narodowości zaczęli opuszczać okręty. Na jednostkach pozostali tylko Słoweńcy i Chorwaci, którzy jako nowi gospodarze zaczęli świętować sukces. Zaczęło się masowe pijaństwo.

Włosi nie dali się jednak wyeliminować z gry. 31 października do Puli dotarła z Wenecji grupa dywersyjnych nurków, która zamontowała na słabo strzeżonym pancerniku „Viribus Unitis" ważące 90 kg ładunki wybuchowe. Nie jest jasne, czy Włosi myśleli, że okręt nadal jest pod władzą Austriaków, czy chcieli zaszkodzić Chorwatom i Serbom – formalnym sojusznikom, ale na terenie Dalmacji przyszłym potencjalnym rywalom. Faktem jest, że załogę ostrzeżono w ostatniej chwili. Wybuch zatopił pancernik, który pogrążył się w wodzie w kwadrans. Zginęło 400 marynarzy – głównie Chorwatów i Słoweńców.

To był tylko początek upokorzeń południowych Słowian.

3 listopada Austro-Węgry podpisały z Włochami zawieszenie broni w Villa Giusti koło Padwy. Tekst umowy przewidywał oddanie Włochom całej floty do czasu podpisania traktatu pokojowego.

5 listopada Królestwo Italii przeprowadziło skuteczny desant w Puli siłami 5 tys. żołnierzy piechoty morskiej, pod osłoną włoskiej floty. Słoweńcy i Chorwaci przestali być panami dawnej bazy Austriaków, a stali się nieufnie obserwowanymi „sojusznikami".

Niedoszła ucieczka na Korfu

A co się działo z polskimi oficerami i marynarzami w adriatyckiej bazie?

eprasa.pl de5a4573f7

Gdy Austro-Węgry i Niemcy po akcie 5 listopada 1916 r. stworzyły kontrolowane przez siebie Królestwo Polskie, na referenta do spraw żeglugi Austriacy wyznaczyli oficera c.k. floty kmdr. Bogumiła Nowotnego.

W październiku 1918 r., gdy jasne stawało się, że zbliża się kres cesarstwa austro-węgierskiego w dotychczasowej formie, kmdr Nowotny jako wojskowy przedstawiciel Rady Regencyjnej próbował przejąć klika okrętów c.k. marynarki z bazy w Puli dla przyszłej polskiej floty. Misja się nie udała.

Wcześniej, we wrześniu 1918 r., w Puli powstał tajny Komitet Polski, który miał skoordynować działania Polaków we flocie. Dla polskich oficerów i marynarzy było jasne, że w razie upadku cesarstwa flotę trzeba podzielić między narody wchodzące w skład imperium. Gdy ogłoszono, że cesarz Karol oddaje całą flotę Chorwatom i Słoweńcom, wybuchło oburzenie.

Dwóch polskich oficerów c.k. floty – Czesław Petelenz i Witold Korytowski – zaplanowali porwanie kontrtorpedowca typu Tatra, uczynienie z niego pierwszego okrętu pod polską banderą i rejs na wyspę Korfu opanowaną przez aliantów. Ryzykowny plan nie uzyskał jednak poparcia innych Polaków. Nowotny, którego rozpad cesarstwa zastał w Wiedniu, telegraficznie wezwał wszystkich Polaków z c.k. floty, aby ochotniczo wstępowali do Wojska Polskiego. Jak podaje prof. Paweł Wieczorkiewicz, polscy marynarze w liczbie ok. 2 tys. pod wodzą kpt. Witkowskiego zostali przetransportowani do Włoch, a stamtąd przez Francję dołączyli do armii Hallera. Wcześniej, już w końcu października 1918. r., grupa paru oficerów i ok. 250. marynarzy wróciła do Polski i została umieszczona w koszarach w Modlinie. Kolejne transporty polskich marynarzy przybywały do Warszawy w pierwszych miesiącach 1919 r. Można podejrzewać, że to jedna z takich właśnie grup przybyłych znad Adriatyku w lutym 1919 r. zadziwiła ówczesną Warszawę. Marynarze defilujący w marynarskich mundurach po zaśnieżonym Krakowskim Przedmieściu musieli stanowić wtedy dość surrealistyczny widok.

Na walizkach

Wróćmy do Puli z rysunków Anselma Bucciego. To miasto już opanowane przez Włochów i będące punktem odsyłania rozmaitych nacji służących w c.k. flocie i armii do ich rodzimych krajów.

Tematem ryciny **nr 1** (główna ilustracja tekstu) są kolejne grupy żołnierzy czekające wraz ze swoim mieniem na powrót do kraju parowcem Czerwonego Krzyża.

Rysunek **nr 2** ma charakter propagandowy. Włoska flaga z godłem dynastii piemonckiej dumnie powiewa nad portem w Puli.

Warto pamiętać, że zwycięstwo w I wojnie światowej wprawiło Włochów w paroletni rausz mocarstwowy. Już w listopadzie 1918 r. włoskie oddziały zajęły Triest i Istrię. We wrześniu 1919 r. formalnie działające niezależnie od władz w Rzymie oddziały awanturnika Gabriele'a D'Annunzia zdobyły z rąk Chorwatów i Serbów Rijekę (coś na wzór akcji gen. Lucjana Żeligowskiego) i stworzyły formalnie niezależną Regencję Carnaro. Gdy Włochy 12 listopada 1920 r. podpisały w Rapallo traktat graniczny z Królestwem Serbów, Chorwatów i Słoweńców, państewko D'Annunzia wypowiedziało nawet Włochom wojnę. Włoskie oddziały zakończyły farsę, zajęły Rijekę i stworzyły

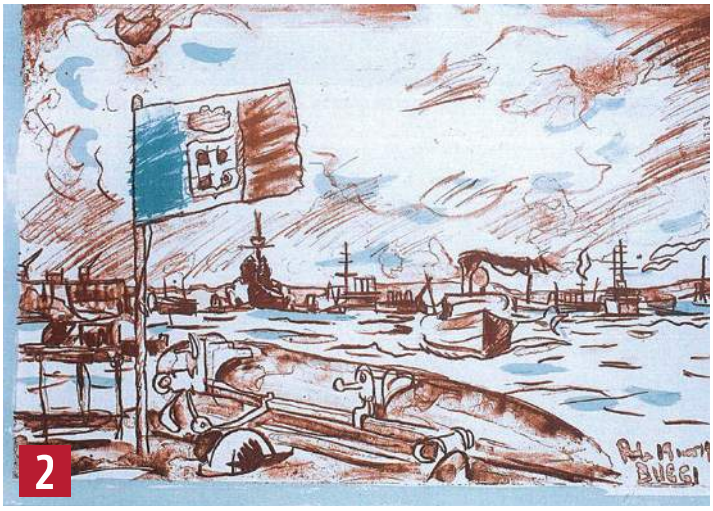
2

3

4

eprasa.pl de5a4573f7

Wolne Miasto Fiume, które w 1924. r. wcielono do Italii. Traktat w Rapallo spowodował zrzeczenie się przez Italię pretensji do Dalmacji za cenę oddania Włochom Istrii, Zadaru i paru wysepek dalmatyńskich.

W zdobytej przez Królestwo Włoskie Puli najwyższą władzę uzyskał komendant wojskowy.

Na rysunku **nr 3** baranie czapy zdradzają Węgrów, tak samo jak stepowe woły z charakterystycznymi długimi rogami zdradzają madziarskich chłopów.

Ironiczny tytuł ma rycina **nr 4** „Admirałowie". Z koloru opasek na ramionach w węgierskich barwach narodowych można wnosić, że są to wyżsi oficerowie floty węgierskiej– teraz już reprezentujący kraj bez dostępu do morza i bez dawnego prestiżu. Wiceadmirałem był w 1918 r. Miklós Horthy.

Grafika **nr 5** nosi tytuł „Kawiarnia Czechosłowaków". Można zgadywać, że było to miejsce spotkań Czechów i Słowaków z floty austriackiej. Pozycja przedstawicieli naszych południowych sąsiadów wobec Włochów była całkiem mocna. Nieporównanie mocniejsza niż Polaków. U boku wojsk włoskich powstały w czasie wojny czechosłowackie legiony walczące z Austriakami. Budziło to szacunek, bo w razie pojmania Czechów i Słowaków, jako c.k. poddanych, z punktu rozstrzeliwano jako zdrajców.

Ostatnie rysunki **nr 6** i **7** to wizerunki ludzi koczujących na nabrzeżach portowych w oczekiwaniu na wyjazd z Puli. Ich świat się zawalił, a przyszłość jest wielką niewiadomą. Anselmo Bucci tak opisywał klimat grafiki: „W głębi nabrzeża Arsenału – między zwałami węgla i żużlu – olbrzymi transatlantyk zabiera kolejne bataliony wychodźców. Statek przyjmuje maskę człowieczeństwa. Ostatni wyjeżdżający zajmują miejsce na pokładzie, między kominami statku. Z wielkim westchnieniem syren – statek niczym ogromny wieloryb rusza w swoją drogę".

Gorzki dokument

Dlaczego tak niewiele jest podobnych ilustracji tej wielkiej wędrówki ludów z lat 1918–1919? To proste – ludzie głęboko odczuwali swoje nieszczęście i źle reagowali na uwiecznianie ich tragedii. Anselmo Bucci w mundurze korespondenta wojennego zwycięskiego mocarstwa był w uprzywilejowanej sytuacji. W jego szkicach jest jednak sporo współczucia dla pokonanych przeciwników i zrozumienia dla ich poniewierki.

Ile osób musiało opuścić Pulę? Według spisu ludności z 1910 r. miasto liczyło 58 tys. 562 mieszkańców. Z tego 45,8 proc. mówiło po włosku, 15,2 proc. po chorwacku, a reszta, czyli 42 proc., to byli oficerowie, urzędnicy, kadra podoficerska i pracownicy stoczni – głównie Niemcy, w mniejszym stopniu Węgrzy. Dla nich nagle miejsca w Puli już nie było. Najgorszy był los habsburskich oficerów i urzędników – niekiedy urodzonych tutaj, tak jak np. Karol Olbracht Austriacki, kandydat na tron polski z lat I wojny światowej. W Austrii i na Węgrzech nikt nie czekał na nich z otwartymi rękami.

Dla nas, świętujących stulecie odzyskania niepodległości, rysunki Anselma Bucciego to przypomnienie, że dla Austriaków, Niemców i Węgrów wydarzenia z jesieni 1918 r. były i są ponurą traumą. Czymś, co mało kto miał ochotę rozpamiętywać. Tym cenniejszy jest reporterski zapis włoskiego malarza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

6

5

7

Wystawa „Wielka Wojna w dziełach Anselmo Bucciego" w Muzeum Miejskim w Padwie czynna była między 9 czerwca a 16 września 2018 r.

W tekście wykorzystałem opracowanie prof. Pawła Wieczorkiewicza „Spod bandery czerwono-biało-czerwonej pod biało-czerwoną".

eprasa.pl de5a4573f7

1957–1958 / Odtajnione raporty wywiadowcze

Rakietowe sekrety PRL

Marian Zacharski

W ręce CIA wpadły tajne PRL-owskie opracowania na temat potencjału jądrowych silników rakietowych. Przekazał je tajny agent

Decyzjami z 30 lipca 2013 oraz 27 lutego 2014 r. CIA ujawniła część dokumentacji dostarczonej przez jej szpiegów zapewne funkcjonujących w ramach struktur PRL-owskiego wojska. Jak to jednak w życiu bywa, otwierając akta i udostępniając je do publicznego wglądu, urzędnicy archiwum CIA nie dołożyli należytej staranności, by ukryć źródło pochodzenia zbioru dokumentów, miejsce, a także komórkę wywiadowczą, do której one docierały. Stąd możemy z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że kopie materiałów zdobywane przez polskich szpiegów odbierane były przez biuro amerykańskiego lotniczego attaché w Rzymie.

Do czasu dokonania tłumaczeń oraz oceny ich przydatności przekazywane dalej do Waszyngtonu dokumenty były traktowane jako tajne lub poufne z dodatkowym zabezpieczeniem znanym pod skrótem NOFORN, a więc bez prawa okazywania ich zawartości obywatelom obcych państw. Na jednym z dokumentów, najpewniej przez zwykłe niedopatrzenie, pozostał ślad, który mógłby – być może nawet dzisiaj – naprowadzić na źródło lub co najmniej znacząco zawęzić grono podejrzanych.

Panika po Sputniku

Chodzi o dokument z grudnia 1957 r. zatytułowany „Technika rakietowa", Rok I, Zeszyt 4. Egzemplarz tej publikacji przygotowanej przez Katedrę Mechaniki Stosowanej Politechniki Warszawskiej wyposażony był w gryf: „Tylko do użytku wewnętrznego" oraz posiadał swój numer: 00168. Kontrwywiadowca amator mający dostęp do materiałów w archiwum wojskowym i/lub w archiwum/bibliotece Politechniki Warszawskiej może podjąć się rozwiązania tej zagadki. Myślę, że specyfikacja ujawnionych materiałów będzie okazją do poznania „prozy dnia" wszystkich organizacji wywiadowczych. Nie zawsze bowiem nadarza się okazja zdobywania materiałów o charakterze strategicznym i stąd konieczność gromadzenia masówki, która w trakcie żmudnej obróbki przypominającej układanie puzzli może niekiedy w końcowym efekcie dać w miarę jasny obraz działań czy planów przeciwnika.

Oto krótki opis zawartości niedawno ujawnionych przez archiwum CIA, wspomnianych powyżej, materiałów:

1. Politechnika Warszawska. Katedra Mechaniki Stosowanej. TECHNIKA RAKIETOWA. Rok I. Czerwiec 1957. Zeszyt II. Gryf i numer egzemplarza zatarty.

Publikacja ta zawierała część materiałów dokumentacyjnych z Pierwszej Konferencji Techniki Rakietowej i Astronautyki, zwołanej przez Polskie Towarzystwo Astronautyczne w dniach 23–25 maja 1957 r. w Warszawie w Pałacu Kultury i Nauki. W obradach, w których brało udział wielu polskich uczonych, uczestniczyła także, jako jedyna, delegacja zagraniczna z Czechosłowacji (inż. Franciszek Kliczko i Jarosław Walter).

Zacznę może od osobistej dygresji. Już w trakcie pierwszego, mocno pobieżnego studiowania tego dokumentu zwróciłem uwagę na pewny element. Dla mnie ważny. Otóż otwierający obrady przewodniczący Polskiego Towarzystwa Astronautycznego, prof. dr Kazimierz Zarankiewicz, witając zebranych notabli i entuzjastów, ani razu nie nazwał ich towarzyszami. Zamiast tego określenia zwracał się do oszczególnych osób z szacunkiem, używając formy per obywatel. Biorąc pod uwagę obecny styl, by nie rzec – brutalizm, propagandy wobec lat minionych oraz to, że chodzi w tym przypadku o odległy i trudny w naszej historii rok 1957, z przyjemnością odnotowałem tę drobną, aczkolwiek wiele mówiącą ciekawostkę. W swoim wystąpieniu pan profesor zaprezentował cele konferencji, mówiąc m.in., że ostatnie lata wiązały się z nasileniem prac w zakresie techniki rakietowej i astronautyki na

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

eprasa.pl de5a4573f7

całym świecie. Dodał, że ówczesny świat znajdował się w przededniu wielkich wydarzeń technicznych o międzynarodowym znaczeniu. Miał na myśli zapowiedziane zarówno w ZSRS, jak i w USA wystrzelenie próbnego satelity Ziemi. Jak twierdził, pierwszy amerykański sztuczny satelita – według programu „Vanguard" – miał wystartować 1 stycznia 1958 r. Amerykanom jednak nie udało się zrealizować na czas tego przedsięwzięcia. Wyprzedził ich ZSRS. Pozostało pytanie, dlaczego w USA wybuchła taka panika po wystrzeleniu rosyjskiego Sputnika, skoro każda ze stron i wszyscy inni zainteresowani tym wyścigiem – jak wynika z wypowiedzi pana profesora – byli doskonale poinformowani o planach każdego z mocarstw?

Profesor Zarankiewicz poinformował zebranych, że decyzja o zwołaniu konferencji wynikała również z przyjęcia PTA do Międzynarodowej Federacji Astronautycznej, co nastąpiło jesienią 1956 r. na VII Międzynarodowym Kongresie Astronautycznym w Rzymie, w którym po raz pierwszy brała udział delegacja PTA. Dalsza część dokumentu zawiera wiele opracowań o charakterze ściśle naukowym, które dotyczyły rozmaitych problemów pojawiających się w rozwoju techniki rakietowej (prof. Zbigniew Pączkowski), teorii rakiet wielostopniowych (mgr Mieczysław Subotowicz), metod kierowania pociskami rakietowymi (mgr inż. Wacław Biwan i Jerzy Pikielny), silników rakietowych wodno-parowych (mgr inż. Jacek Walczewski), fizjologii lotu w przestrzeni (lek. med. Andrzej Ogiński) itd.

2. Kolejny zeszyt to wspomniany już na wstępie numerowany egzemplarz publikacji TECHNIKA RAKIETOWA z grudnia 1957 r., w którym skoncentrowano się na próbach udzielenia odpowiedzi na zadane w obszernym referacie przez prof. Zbigniewa Pączkowskiego pytanie, czy polecimy na inne planety? Specjaliści przedstawili wymagania techniczne, od których spełnienia zależała pozytywna odpowiedź na tak postawione pytanie. Szczególnie istotnym zagadnieniem była zdolność do budowania silników rakietowych o coraz większej sile ciągu wykorzystujących paliwa płynne oraz stałe. Silnie popierano ten drugi rodzaj. Wśród zalet rakiet na paliwo stałe wymieniano: prostotę ich budowy, łatwość ich składowania, operatywność oraz możliwość bardzo ścisłego regulowania czasu zapłonu i jego niezawodność. Pan mgr inż. Olgierd Wołczak przeanalizował zagadnienia związane z konstrukcją jądrowych silników rakietowych, które dzieliły się na cztery typy: jądrowe proste, jonowe, jądrowe cieplne i fotonowe. Pisał on m.in., że „praktyczna realizacja podróży kosmicznych stanie się możliwa jedynie w przypadku uzyskania przez statek prędkości co najmniej 11,2 km/s tuż przy powierzchni Ziemi. Zagadnienie to wiąże się nieodłącznie z koniecznością wydatkowania ogromnych ilości energii. Opuszczenie Ziemi jest możliwe jedynie w tym przypadku, gdy ilość energii, przypadająca na każdy gram masy rakiety, jest większa od pewnego minimum, wynoszącego np. dla zwykłej podróży na Księżyc, bez uwzględnienia konieczności hamowania przy upadku na jego powierzchnię i bez możliwości powrotu, 15 tysięcy kalorii na 1 gram masy. Statek zaopatrzony w zwykły silnik rakietowy chemiczny nie jest więc zdolny do odbycia nawet takiej podróży". Amerykanie niewiele lat później udowodnili, że tego typu podróż, i to powrotną, można jednak odbyć bez zastosowania statku kosmicznego o napędzie atomowym.

Oczywiście w każdej z ww. publikacji pojawiały się wzmianki o zastosowaniu rakiet do celów militarnych. I zapewne, jak podejrzewam, to właśnie te zagadnienia były priorytetem w trakcie studiów amerykańskich analityków nad zawartością poszczególnych zeszytów.

PRL-owskie reaktory

3. W maju 1958 r. CIA rozesłała do precyzyjnie wybranych odbiorców zestaw dokumentacji prezentującej ogólne specyfikacje sprzętu wojskowego i jego wykorzystywanie w poszczególnych rodzajach PRL-owskich sił zbrojnych. Do tego dołączony był wydany przez MON słownik terminów wojskowych używanych w naszych siłach zbrojnych, który opracowany został – jak napisano we wstępie – w celu przyjścia z pomocą dowódcom wszystkich szczebli, słuchaczom i wykładowcom szkół, uczelni, kursów, studiów wojskowych i innym osobom zajmującym się zagadnieniami wojskowymi... Specyfika działań wojennych – w których czasie dowódca nie ma czasu na obszerne formułowanie swoich myśli, a każda myśl musi być tak wyrażona, by nie można jej było różnie interpretować – wywarła wpływ na ukształtowanie

eprasa.pl de5a4573f7

się języka wojskowego. Język wojskowy odznacza się więc swoistymi właściwościami. Jest zwięzły i jasny. Oczywiście słownik był dla Amerykanów przydatny np. do analizy przechwyconych przez nasłuch amerykański treści rozmów czy depesz między poszczególnymi dowódcami. Z kolei wśród naszej braci wojskowej od tej pory zapewne nikt nie miał problemu ze zrozumieniem słów czy wyrażeń typu „Adamsyt", „Aerofotogrametria", „Azotoiperyt" i „Balistyka Wewnętrzna i Zewnętrzna".

4. Kolejne dokumenty dotyczyły Wojskowej Akademii Technicznej im. Jarosława Dąbrowskiego, która – jak ją precyzyjnie usytuował raport CIA z kwietnia 1958 r. – znajdowała się na Bemowie (dawniej Boernerowo, namiary geograficzne: N 52-15, E 20-54) obok lotniska wojskowego. Całość otoczona była płotem. Istniało jednak przejście między uczelnią a lotniskiem. Grupa budynków wykorzystywana przez akademię składała się w większości z jednopiętrowych konstrukcji wykorzystywanych wcześniej przez techniczną szkołę wojsk lotniczych.

Dalej raport precyzyjnie opisuje rozkład poszczególnych pomieszczeń, w których znajdowały się: biura, kasyna, pokoje mieszkalne dla studentów i pracowników dydaktycznych, lokalne sklepy etc. Według raportu WAT w tym czasie wypuszczała rocznie po 200 inżynierów wykształconych w specjalizacjach: radary, łączność, lotnictwo wojskowe, artyleria, wojska inżynieryjne, uzbrojenie pancerne. Dalej dokument precyzował dokonywane po 1956 r. zmiany zarówno w programach nauczania, jak i w sposobach naboru studentów, utrzymywaniu dyscypliny w obiektach itp. Według czterostronicowego raportu CIA do 1955 r. komendantem szkoły był Rosjanin, gen. Leoszenija.

Do powyższego raportu dołączony był biuletyn WAT z lutego 1956 r. przedstawiający tezy referatów na IV Konferencję Naukowo-Techniczną. Przyznać trzeba, że proponowane przez Sekcję I [Ogólne Sprawy Polityczne i Wojskowe] referaty miały zdecydowanie więcej wspólnego z ideologią i propagandą niż z rozprawami o charakterze naukowo-technicznym.

Dla przykładu mjr S. Konieczny miał zaprezentować „Opracowanie podstawowych zagadnień radzieckiej nauki wojennej przez Lenina", mjr M. Głowacki „Krytykę niektórych poglądów współczesnej burżuazyjnej ekonomii politycznej", kpt. J. Nowicki „Wojskową działalność SDPRR w okresie pierwszej rewolucji rosyjskiej", a ppłk mgr Cz. Mojsiewicz „Edwarda Dembowskiego jako czołowego polskiego rewolucyjnego demokratę". Żałuję, że Sekcja II nie zaprezentowała swoich referatów. Byłyby one zapewne dużo bardziej interesujące, bo zakres jej obowiązków obejmował tematykę tajną. Sekcja II gromadziła i analizowała niepublikowane naukowe opracowania i studia.

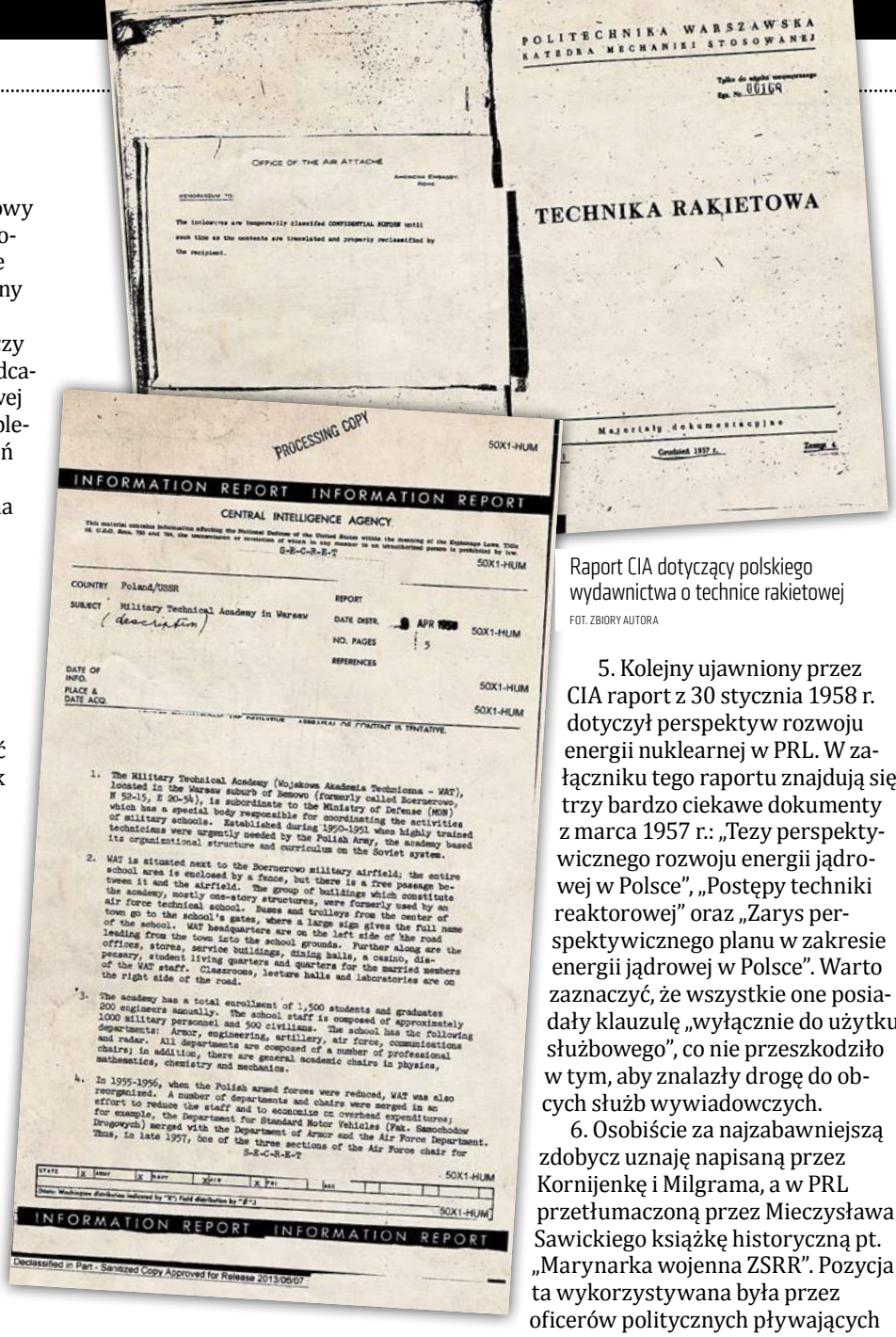
OFFICE OF THE AIR ATTACHE

The inclosures are temporarily classified CONFIDENTIAL NOFORN until such time as the contents are translated and properly reclassified by the recipient.

POLITECHNIKA WARSZAWSKA
KATEDRA MECHANIKI STOSOWANEJ

Egz. Nr 00169

TECHNIKA RAKIETOWA

Materiały dokumentacyjne

Grudzień 1957 r.

PROCESSING COPY

50X1-HUM

INFORMATION REPORT INFORMATION REPORT

CENTRAL INTELLIGENCE AGENCY

S-E-C-R-E-T

COUNTRY Poland/USSR

SUBJECT Military Technical Academy in Warsaw (description)

REPORT

DATE DISTR. 9 APR 1958

NO. PAGES 5

REFERENCES

DATE OF INFO.

PLACE & DATE ACQ.

1. The Military Technical Academy (Wojskowa Akademia Techniczna - WAT), located in the Warsaw suburb of Bemowo (formerly called Boernerowo, N 52-15, E 20-54), is subordinate to the Ministry of Defense (MON) which has a special body responsible for coordinating the activities of military schools. Established during 1950-1951 when highly trained technicians were urgently needed by the Polish Army, the academy based its organizational structure and curriculum on the Soviet system.

2. WAT is situated next to the Boernerowo military airfield; the entire school area is enclosed by a fence, but there is a free passage between it and the airfield. The group of buildings which constitute the academy, mostly one-story structures, were formerly used by an air force technical school. Buses and trolleys from the center of town go to the school's gates, where a large sign gives the full name of the school. WAT headquarters are on the left side of the road leading from the town into the school grounds. Further along are the offices, stores, service buildings, dining halls, a casino, dispensary, student living quarters and quarters for the married members of the WAT staff. Classrooms, lecture halls and laboratories are on the right side of the road.

3. The academy has a total enrollment of 1,500 students and graduates 200 engineers annually. The school staff is composed of approximately 1000 military personnel and 500 civilians. The school has the following departments: Armor, engineering, artillery, air force, communications and radar. All departments are composed of a number of professional chairs; in addition, there are general academic chairs in physics, mathematics, chemistry and mechanics.

4. In 1955-1956, when the Polish armed forces were reduced, WAT was also reorganized. A number of departments and chairs were merged in an effort to reduce the staff and to economize on overhead expenditures; for example, the Department for Standard Motor Vehicles (Pak. Samochodow Drogowych) merged with the Department of Armor and the Air Force Department. Thus, in late 1957, one of the three sections of the Air Force chair for

S-E-C-R-E-T

STATE | X | ARMY | X | NAVY | X | AIR | X | FBI | AEC

Note: Washington distribution indicated by "X"; Field distribution by "#".

INFORMATION REPORT INFORMATION REPORT

Declassified in Part - Sanitized Copy Approved for Release 2013/06/07

Raport CIA dotyczący polskiego wydawnictwa o technice rakietowej

FOT. ZBIORY AUTORA

5. Kolejny ujawniony przez CIA raport z 30 stycznia 1958 r. dotyczył perspektyw rozwoju energii nuklearnej w PRL. W załączniku tego raportu znajdują się trzy bardzo ciekawe dokumenty z marca 1957 r.: „Tezy perspektywicznego rozwoju energii jądrowej w Polsce", „Postępy techniki reaktorowej" oraz „Zarys perspektywicznego planu w zakresie energii jądrowej w Polsce". Warto zaznaczyć, że wszystkie one posiadały klauzulę „wyłącznie do użytku służbowego", co nie przeszkodziło w tym, aby znalazły drogę do obcych służb wywiadowczych.

6. Osobiście za najzabawniejszą zdobycz uznaję napisaną przez Kornijenkę i Milgrama, a w PRL przetłumaczoną przez Mieczysława Sawickiego książkę historyczną pt. „Marynarka wojenna ZSRR". Pozycja ta wykorzystywana była przez oficerów politycznych pływających na polskich statkach handlowych jako jeden z istotnych bryków instruktażowych w trakcie obowiązkowych szkoleń ideologicznych. Interesujące jest także to, że książka ta wydana została przez MON w nakładzie 10 tys. egzemplarzy bez jakichkolwiek gryfów tajności. Ze swojej strony Amerykanie kartę tytułową udekorowali pieczęcią „poufne".

Reasumując prezentację części ówcześnie zdobytej, dopiero po 50 latach ujawnionej, dokumentacji, można śmiało powiedzieć, że wywiad mozaikowy miał i zapewne nadal ma się dobrze w roli ważnego, by nie rzec – podstawowego, źródła rozpracowywania planów i zamiarów przeciwników.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de5a4573f7

Już 8 października w **DO RZECZY** dodatek

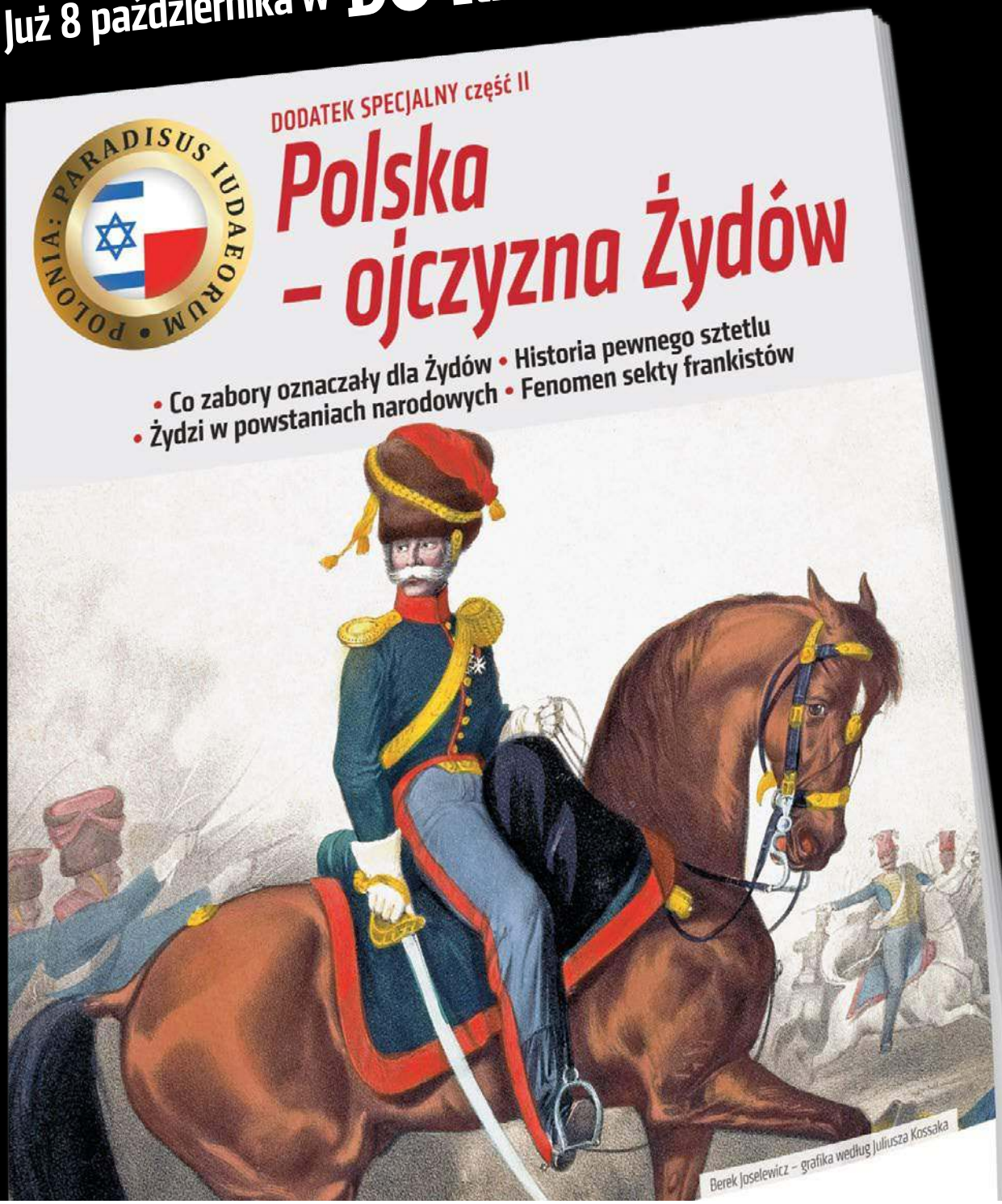

NARODOWE CENTRUM KULTURY

Dofinansowano ze środków
Narodowego Centrum Kultury
w ramach programu
„Kultura – Interwencje 2018"

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

eprasa.pl de5a4573f7

100 lat temu / Zasłużeni dla niepodległości Polski

Lwów pierwszy w szeregu

Maciej Rosalak

„Szczęśliwy się czuję, iż to we Lwowie powstałe Wojsko Polskie, w zwartych i karnych formacjach, zjednoczyło wszystkich, bezwzględnie wszystkich Polaków, którzy za świętą sprawę polską chcieli walczyć i ginąć…" (kpt. Czesław Mączyński)

Kim byli rodacy, którzy najbardziej zasłużyli się dla sprawy odzyskania niepodległości przed 100 laty? Kto najskuteczniej walczył? Komu najbardziej należy się miejsce w panteonie chwały? Kim byli ci, którzy z bronią w ręku stanęli w 1918 r. do walki o wolną Polskę w pierwszym krwawym boju wojska prawdziwie już podlegającego tylko polskiej komendzie,

eprasa.pl de5a4573f7

Wojciech Kossak „Orlęta Lwowskie – obrona cmentarza" FOT. MWP

Jurek Bitschan FOT. WIKIPEDIA

Antoś Petrykiewicz FOT. ARCHIWUM

choć państwa polskiego jeszcze nie było? Kogo więc znajdziemy wśród obrońców Lwowa, którym najwcześniej przyszło walczyć? Warto ich przypomnieć, zwłaszcza że pozostają w cieniu wielkich postaci historycznych. Wszyscy oni naszą dumną historię w tamtych dniach tworzyli…

W roku 100-lecia odrodzenia Polski wymieńmy przywódców, którzy przyczynili się do urzeczywistnienia tego historycznego dzieła. Zwykle, i słusznie, zaczyna się od Józefa Piłsudskiego. Mało kto wie, że jego czyn legionowy przekonał doń nawet tak sceptycznego z początku Henryka Sienkiewicza, co stało się po akcie 5 listopada 1916 r., w ostatnich dniach życia pisarza. Pierwszy Naczelnik Państwa i Wódz Naczelny, dowodzący armią podczas zwycięstw nad bolszewikami w latach 1919–1920, stawiany jest oczywiście na czele panteonu chwały.

Jeśli jednak chodzi o dokonania na arenie międzynarodowej, zwłaszcza u schyłku I wojny światowej i podczas rokowań paryskich przełomu lat 1918–1919, to nie do przecenienia są zasługi Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego; także premiera pierwszego rządu powołanego przez Sejm Ustawodawczy. Najbardziej wpływowy polityk chłopski Wincenty Witos zjednoczył ruch ludowy dla sprawy obrony rodzącego się państwa, szczególnie latem 1920 r., kiedy bolszewicy podchodzili pod Warszawę, a on został szefem Rządu Jedności Narodowej. Podobną rolę wśród robotników odegrał socjalista Ignacy Daszyński, notabene wicepremier w rządzie Witosa. Z kolei Wojciech Korfanty stanął na czele powstań śląskich, które przyniosły w 1921 r. przyłączenie istotnej części Górnego Śląska do ojczyzny.

Tych sześć nazwisk nie tłumaczy rzecz jasna fenomenu odrodzenia. Wypadałoby choćby wspomnieć o kilku najwybitniejszych dowódcach wojskowych z frontów paroletniej wojny o niepodległość. U boku Piłsudskiego dorastali m.in.: znakomity szef sztabu, zastępujący też Komendanta w dowodzeniu I Brygadą Kazimierz Sosnkowski; Edward Śmigły-Rydz, stawiany od 1914 do 1920 r. kolejno na czele zgrupowań od batalionu do armii, a w latach 1917–1918 głównodowodzący tajną Polską Organizacją Wojskową, i twórca kawalerii legionowej Władysław Belina-Prażmowski.

Wybitnym talentem wojskowym odznaczał się Tadeusz Jordan Rozwadowski, dowodzący austriacką dywizją podczas I wojny światowej, a frontem walk Polaków z Ukraińcami o Małopolskę Wschodnią na przełomie lat 1918 i 1919, współtwórca odradzającego się Wojska Polskiego, niezastąpiony szef sztabu Naczelnego Wodza w 1920 r. Józef Dowbor-Muśnicki stanął na czele I Korpusu Polskiego w Rosji, a następnie – Armii Wielkopolskiej (szefem sztabu uczynił innego byłego oficera carskiego – Władysława Andersa) podczas powstania przeciw Niemcom. Przejął dowództwo od byłego oficera z armii niemieckiej, wielkopolanina Stanisława Taczaka. Józef Haller – dowódca II Brygady Legionów, II Korpusu Polskiego na Ukrainie, Błękitnej Armii we Francji, Armii Ochotniczej oraz Frontu Północnego podczas wojny z bolszewikami latem 1920 r. Wtedy też błysnął talentem nad Wkrą dowódca 5. Armii Władysław Sikorski (oficer po austriackiej szkole wojskowej). Legionista Walerian Czuma utworzył zaś na Syberii 5. Dywizję Strzelców Polskich, z którą przedzierał się w wojskach adm. Kołczaka na wschód...

Wielu było jeszcze innych zasłużonych dowódców wyższego szczebla. Mamy tysiące bohaterów drugiego i trzeciego planu, takich jak odważny do szaleństwa Leopold Lis-Kula. Ów ulubieniec Komendanta zginął w Galicji w marcu 1919 r... Nie zapominajmy także o szeregach patriotów wcześniejszych pokoleń, które

eprasa.pl de5a4573f7

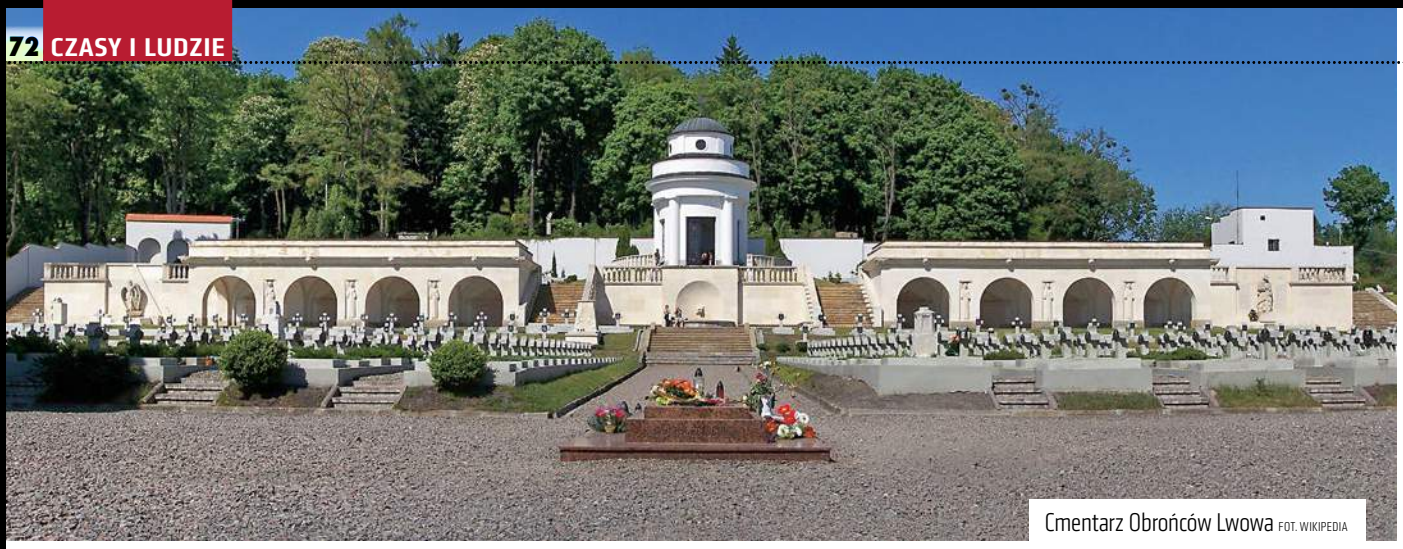

Cmentarz Obrońców Lwowa FOT. WIKIPEDIA

walką orężną, ale i pracą organiczną – zwłaszcza w Wielkopolsce! – budowały zręby wolnej Polski.

Atak hajdamaków

Natomiast wśród tych, którzy poświęcali życie w burzliwych dniach ostatnich miesięcy 1918 r. i paru lat następnych, znajdujemy Polaków ze wszystkich zaborów, z wszystkich warstw społecznych i orientacji politycznych. Ilustracją niech będzie przypomnienie niektórych rodaków biorących udział w pierwszym krwawym boju wojska prawdziwie już podlegającego tylko polskiej komendzie – o Lwów.

W mieście tym Ukraińcy utworzyli 19 października Ukraińską Radę Narodową, która ogłosiła powstanie państwa ukraińskiego z ziem wschodniej Galicji aż do Sanu. We Lwowie mieli kilka tysięcy ukraińskich żołnierzy z armii austro-węgierskiej, ściąganych tu we współdziałaniu z Austriakami, którzy od lutego 1918 r. (krzywdzący Polaków tzw. pokój brzeski) zdecydowanie wspierali stronę ukraińską, oddając jej też magazyny broni. Dowódcy ukraińscy uzbroili setki cywili i wezwali silny Legion Ukraińskich Strzelców Siczowych. Polskie organizacje polityczne, z dominującą tu narodową demokracją włącznie, chciały negocjacji z Ukraińcami, a oddziały zbrojne nie przekraczały liczby 800 ani nie miały wspólnej komendy. Składały się z piłsudczykowskiej Polskiej Organizacji Wojskowej pod dowództwem por. Ludwika de Laveaux (300 ludzi), endeckich Polskich Kadr Wojskowych kpt. Czesława Mączyńskiego (300 zbrojnych) oraz formacji uznającej Radę Regencyjną w Warszawie dowodzonej przez płk. Władysława Sikorskiego (200 żołnierzy), który jednak 30 października opuścił miasto.

Zamach Ukraińców, przeprowadzony znienacka nad ranem 1 listopada 1918 r., się powiódł. W ich rękach znalazły się główne gmachy publiczne, koszary i dworce. Ich patrole zatrzymywały przechodniów i jeździły ciężarówkami, strzelając dla zastraszenia polskiego w większości miasta. Po pierwszym szoku Polacy chwycili za broń. Już rankiem odpór dała grupa żołnierzy zebranych w Szkole im. Henryka Sienkiewicza pod dowództwem kpt. Zdzisława Tatar-Trześniowskiego. Potem otworzyły ogień załogi Domu Akademickiego i Domu Techników. Zwierzchnią komendę powierzono najstarszemu rangą kpt. Czesławowi Mączyńskiemu, a podziały polityczne przestały mieć znaczenie. Jak pisał potem – sam związany z endecją – Mączyński:

Bez jakichkolwiek uprzednich pertraktacji zgłaszali się tłumnie w szeregi wszyscy oficerowie, którzy wojnę światową odbywali w mundurach jednej z armii zaborczych. Zrozumiałe, że najliczniejszą wśród nich grupę stanowili oficerowie z byłej armii austriackiej, choć nie brak było już w listopadzie i tych z armii niemieckiej, i tamtych z armii rosyjskiej. Naturalnie, że przeważnie byli to oficerowie rezerwowi; wcale poważną grupę stanowili również oficerowie zawodowi, którzy bez względu na posiadany stopień, a częstokroć i wiek podeszły, stawali w szeregi, by oddać swoje siły fizyczne i duchowe na usługi wspólnej sprawy. Starałem się przez wyznaczanie dowódców podkreślać, że w organizującym się w czasie ciągłych walk Wojsku Polskim zjednoczone są wszystkie odłamy wojskowe elementów polskich. Szczęśliwy się czuję, że mogę stwierdzić, iż to we Lwowie powstałe Wojsko Polskie, w zwartych i karnych formacjach, zjednoczyło wszystkich, bezwzględnie wszystkich Polaków, którzy za świętą sprawę polską chcieli walczyć i ginąć.

Istotnie, zgłaszali się ochotnicy – legioniści, członkowie takich organizacji niepodległościowych jak Sokół i Związek Strzelecki, studenci, nieletni skauci, uczniowie gimnazjów i szkół rzemieślniczych – ci, których później nazwano Orlętami Lwowskimi. Do 22 listopada – a więc do nadejścia zwycięskiej odsieczy – wystąpiło z bronią w ręku lub w służbach pomocniczych 6022 osób, w tym 1374 uczniów szkół powszechnych i średnich oraz studentów. Takich, którzy nie przekroczyli 17. roku życia, naliczono 1421. Jeden z nich miał dziewięć lat, siedmiu – 10 lat.

15 z 6 tysięcy

Wymieńmy choć kilkunastu spośród tych pierwszych obrońców Rzeczypospolitej. Oto oni, znani tak z czynów bojowych, jak z relacji z walk, które napisali:

Porucznik Ferdynand Andrusiewicz (1885–1936) – z zawodu architekt, zajmował stanowisko adiutanta oraz zastępcy dowódcy, a także szefa sztabu odcinka V, czyli załogi Szkoły im. Henryka Sienkiewicza.

Stefan Dekański – ochotnik, student politechniki dzielnie broniący Domu Techników.

Podporucznik Tadeusz Felsztyn (Feldstein, 1894–1963) – legionista z pułków piechoty 1., 5. i 6., we Lwowie walczący brawurowo na II odcinku od ul. Kraszewskiego przez ogród jezuicki do gmachu Dyrekcji Kolejowej.

Porucznik Antoni Jakubski (1885– 1962) – legionista z 6. Pułku Piechoty, II szef sztabu Naczelnej Komendy Obrony Lwowa. Podróżnik i zoolog, zostanie profesorem uniwersytetu w Poznaniu.

Podchorąży Janusz Górecki – walczący w III odcinku (od ogrodu jezuickiego do Kleparowa) w sektorze Góra Stracenia.

Porucznik Roman Abraham (1891–1976) – odcinek III, komendant sektora Góra Stracenia podczas walk o Lwów, w okresie I wojny – c.k. oficer kawa-

eprasa.pl de5a4573f7

lerii; w 1918 r. członek Polskich Kadr Wojskowych. Przejdzie do historii jako dowódca Wielkopolskiej Brygady Kawalerii i Zbiorczej Brygady Kawalerii we wrześniu 1939 r.

Kapitan Mieczysław Boruta-Spiechowicz (1894–1985) – legionista II Brygady, we Lwowie komendant grupy II – obejmującej odcinki IV (Dworzec Główny i jego przedpola) i V. We wrześniu 1939 r. niefortunnie dowodził Grupą Operacyjną „Bielsko"; w PSZ na Zachodzie nie dowodził w boju. W PRL (lata 70. i 80.) odegrał znakomitą rolę jako opozycjonista polityczny.

Porucznik Ludwik Baar (1892–?) – dowódca oddziału Milicji Wojskowej, doktor prawa Uniwersytetu Lwowskiego. Po ustaniu działań wojennych – adwokat.

Podporucznik Edward Świstelnicki-Sas (1897–1970) – z I Korpusu Polskiego w Rosji; we Lwowie dowódca samochodu pancernego „Józef Piłsudski".

Podchorąży Tadeusz Bietkowski (1895–1977) – ułan „Beliny", we Lwowie dowódca lotnego oddziału karabinów maszynowych. Potem prawnik, sędzia wojskowy w 2. Korpusie gen. Andersa.

Porucznik pilot Stefan Bastyr (1890–1920) – komendant rodzącego się lotnictwa; wykonał pierwsze loty bojowe nad Lwowem.

Kapitan Karol Baczyński [1865(9?)–1940] – legionista z 4. Pułku Piechoty, we Lwowie komendant odcinka V (od 5 listopada). Ofiara zbrodni katyńskiej.

Siedemnastoletni ochotnik Józef Grabowski (1901–1977) – w niepodległej RP etnograf i historyk sztuki, po II wojnie i perypetiach z „władzą ludową" kierował działem sztuki w wydawnictwie Arkady i został kustoszem Muzeum Etnograficznego w Warszawie.

Podporucznik Tadeusz Nittman – komendant konnego oddziału karabinów maszynowych „Lotna Maszynka".

Porucznik Roman Odzierzyński (1892–1975) – oficer w c.k. artylerii podczas I wojny, komendant III baterii artylerii obrony Lwowa. Podczas II wojny dowodził całą artylerią 2. Korpusu Polskiego gen. Andersa.

Kobiety i Orlęta

O kobietach biorących udział w obronie Lwowa pięknie pisał wspomniany już Józef Grabowski:

Poza obsadą kuchni i zdaje się szpitalika mieliśmy w szkole dwie, a potem trzy panienki wśród walczących. Były to Wanda Tynikówna, Elżbieta Blaustein oraz Józefa Jung. Tynikówna przybyła do nas z innego odcinka dopiero, zdaje się, 15 listopada, lecz nie była nowicjuszką, gdyż od dawna brała udział w pracach kobiet w Legionach. Toteż zaraz odznaczyła się w kontrataku 17 listopada, biorąc w nim czynny udział i zdobywając karabin maszynowy. Blausteinówna z karabinem w ręku pełniła funkcję żołnierza i chociaż sobie gdzieś czasem beknęła, to jednak dzielnie się spisywała jako żołnierz liniowy. Tak samo jej towarzyszka, Józefa Jung, która jednakże była psychicznie zupełnie opanowana. Ich obecność wpływała ogromnie na nasz stosunek do służby i walki, i może niejeden z nas nieraz nie zgłosiłby się na ochotnika na patrol w momencie, gdy z nóg padał ze zmęczenia, nieraz może nie wytrwałby na placówce zasypywanej dosłownie ogniem artyleryjskim i miotaczy min, nieraz może cofnąłby się przed bardzo ryzykownym

natarciem, gdyby nie świadomość, że gdzieś obok znajduje się kobieta, która na nas patrzy...

Z kolei nadzwyczaj sugestywnie pisał o Orlętach Roman Abraham:

U zbiegu ul. Leona Sapiehy i św. Teresy spotkałem kilku uczniów gimnazjum w mundurkach, strzelających z zapałem na ul. św. Teresy. Podbiegłem do nich z pomocą i zobaczyłem samochód półciężarowy, z którego zbiegł szofer, żołnierze zaś ukraińscy, przeskakując od bramy do bramy, uciekali w kierunku miasta. Trudno opisać uczucie, jakie mnie wówczas przejęło na widok zwycięskich uczniów, tych młodziutkich bojowników lwowskich, zdobywających samotrzeć ukraiński samochód i pędzących przed sobą wielokrotnie liczniejszego przeciwnika. Te samorzutne i liczne wystąpienia młodzieży i jej niepośledni udział w walczących oddziałach nadały szczególny charakter obronie Lwowa. Uczniowie szkół średnich, rzemieślniczych itp. wcześnie zaprawiali się do rycerskiej służby ojczyźnie. Gdybym był dyrektorem gimnazjalnym, dałbym im świadectwa dojrzałości summa cum laude z wyszczególnieniem z historii ojczystej.

Jurek Bitschan był harcerzem IX Drużyny Lwowskiej, uczniem VI klasy Gimnazjum im. Henryka Jordana. Ośmiu dni brakowało mu do 14. urodzin, kiedy 20 listopada przyłączył się do oddziału por. Petriego. Zostawił list do ojca:

Kochany Tatusiu! Idę dzisiaj zameldować się do wojska. Chcę okazać, że znajdę tyle sił, by służyć i wytrzymać. Obowiązkiem moim jest iść, gdyż mam dość sił, bo brakuje ciągle ludzi do wyswobodzenia Lwowa. Jerzy.

Następnego ranka ruszył z oddziałem na Cmentarz Łyczakowski. Tam dosięgły go dwie eksplodujące kule, wystrzelone przez wroga z pobliskich koszar, i tam – na tej słynnej nekropolii – stracił życie. Jego matka Aleksandra Zagórska walczyła w tym czasie na innym odcinku jako komendantka Ochotniczej Legii Kobiet.

Roman Abraham pisał zaś o drugim z najsławniejszych Orląt:

W moim oddziale Góry Stracenia walczył od pierwszych dni listopadowych uczeń II kl. Gimnazjum, śp. Antoni Petrykiewicz, w wieku lat 13. Ciężko ranny w walce pod Persenkówką, 28 grudnia 1918 r., zmarł z ran w szpitalu na Politechnice. Za osobistą odwagę odznaczony został krzyżem Virtuti Militari V klasy. Był to najmłodszy z całej armii kawaler tego najwyższego odznaczenia wojskowego.

A oto wiersz „O Antosiu Petrykiewiczu" pióra Henryka Zbierzchowskiego:

W pamięci ten żołnierz mały,
Który ocalił Lwów.
Dla Polski chwały:
Czapka większa od głowy,
Pod którą widać włos płowy.
A na obszernym mundurze
Jak ze starszego brata
Na łacie łata,
Dziura na dziurze.

W listopadowych walkach o Lwów zginęło 439 Polaków, wśród których było 12 kobiet oraz 109 uczniów szkół średnich i 76 studentów.

„Na te groby powinni z daleka przychodzić pielgrzymi, by się uczyć miłości do Ojczyzny..." – napisał Kornel Makuszyński o Cmentarzu Orląt Lwowskich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de5a4573f7

Wywiad / Z Krzysztofem Drozdowskim, autorem książki „Tajemnica Doliny

rozmawia Marcin Bartnicki

Wśród ofiar niemieckiego Selbstschutzu i SS z 1939 r. były kilkuletnie dzieci, którym strzelano w głowę. Większość sprawców nie została ukarana, po wojnie prowadzili normalne życie

Rzeź bez

MARCIN BARTNICKI: Kto pierwszy zaczął strzelać do cywili w Bydgoszczy we wrześniu 1939 r. – Niemcy czy Polacy? Polscy i niemieccy historycy nie są w tej sprawie zgodni.

KRZYSZTOF DROZDOWSKI: Kwestia przez cały czas jest sporna, ponieważ gdy Wojsko Polskie wycofywało się przez miasto, nagle padły strzały. Tak naprawdę nie wiemy, kto zaczął strzelać pierwszy. W Bydgoszczy „wojna" o tę kwestię toczy się od wielu lat. Przyjmuję, że pierwsze strzały oddali niemieccy dywersanci do polskich żołnierzy.

Wśród Niemców były jednak ofiary, które propaganda Goebbelsa wykorzystała następnie do przedstawienia własnej wersji o krwawej niedzieli – rzezi urządzonej niemieckim cywilom przez Polaków. Wyolbrzymiono liczbę ofiar, jednak zdjęcia ich ciał nie były zmyślone.

Fotografii jest sporo, jednak historycy podejrzewają, że znaczna część ofiar na tych zdjęciach to Polacy. Na fotografiach zwłok trudno rozpoznać narodowość ofiary. Mamy też zdjęcia propagandowe Polaków, którzy trzymają zegarki, buty, kosztowności – przedmioty skradzione Niemcom. Dzisiaj już wiemy, że były to zdjęcia pozowane, robione na potrzeby pro-

eprasa.pl de5a4573f7

Śmierci. Droga do prawdy”

Władysław Bieliński tuż przed rozstrzelaniem FOT. IPN

kary

pagandy, na długo po zdobyciu miasta przez Niemców.

Jak ginęli Polacy? Z ekshumacji wynika, że niektórych zakopywano żywcem. W protokołach ekshumacji widzimy też, że wiele szczątków nie nosi śladów uszkodzeń.

Najczęściej byli zabijani strzałem w tył głowy. Jak wynika z protokołu ekshumacji, umierali również od ciosów zadanych tępym narzędziem. Podejrzewa się, że najczęściej była to prawdopodobnie kolba karabinu. Niemcy wykonujący egzekucje byli pijani, podobnie jak Einsatzgruppen na froncie wschodnim. Mordercy byli w amoku. Jeśli ktoś został trafiony, przewrócił się i wpadł do dołu, to tak zostawał później zakopany. Było to więc zakopanie żywcem, ale raczej nie intencjonalne. W ich zamyśle nie było wrzucania ludzi żywcem do dołu.

W czasie ekshumacji w Dolinie Śmierci w Bydgoszczy znaleziono również szczątki dzieci, w tym w wieku sześciu i trzech–pięciu lat, z dziurą po kuli w czaszce. Motywy eksterminacji polskiej inteligencji na Pomorzu są znane. Jednak czy wiadomo, dlaczego Niemcy w 1939 r. zabijali małe dzieci?

Prawdopodobnie były to dzieci z rodzin żydowskich. Jedna z dziecięcych ofiar to Zygmunt Kwapiszewski, trzy–czterolatek, który też został zabity. Prawdopodobnie zginął od kuli. Został zamordowany razem z całą rodziną, ale nie bezpośrednio w miejscu, które nazywamy teraz Doliną Śmierci, lecz na łące w okolicy. Dopiero w kolejnych dniach ciała tej żydowskiej rodziny odkopano i przeniesiono do dołów, do których wrzucono resztę zamordowanych ludzi. Podejrzewam, że było to morderstwo „prywatne”, ponieważ Walter Gassmann, przywódca fordońskiego Selbstschutzu, który ich zabił, przejął później ich dom przy ul. gen. Sikorskiego 4. Nazywam to morderstwem „prywatnym”, ponieważ wiadomo, że Niemcy dokonywali mordów, ale musiały być one usankcjonowane prawnie. Za mordowanie bez rozkazu można było ponieść konsekwencje. Tak było nawet na wschodzie podczas operacji „Barbarossa”. Znamy takie nieliczne przykłady.

Co się stało ze sprawcami tych zbrodni? Zostali ukarani?

Było kilka procesów pokazowych w Bydgoszczy i Niemczech. Niemcy sądzeni u siebie zostali uniewinnieni. Sam Gassmann, co do którego są niezbite dowody, że zamordował kilka osób w Fordonie i był dowódcą plutonu egzekucyjnego Selbstschutzu i sam mordował, został uniewinniony. Te procesy były, jak można przypuszczać, sfingowane. Jedyne, które zakończyły się wyrokami skazującymi adekwatnymi do popełnionych zbrodni, odbyły się w 1946 r. Dotyczyły Maxa Henzego, który w 1939 r. był komendantem policji bydgoskiej,

eprasa.pl de5a4573f7

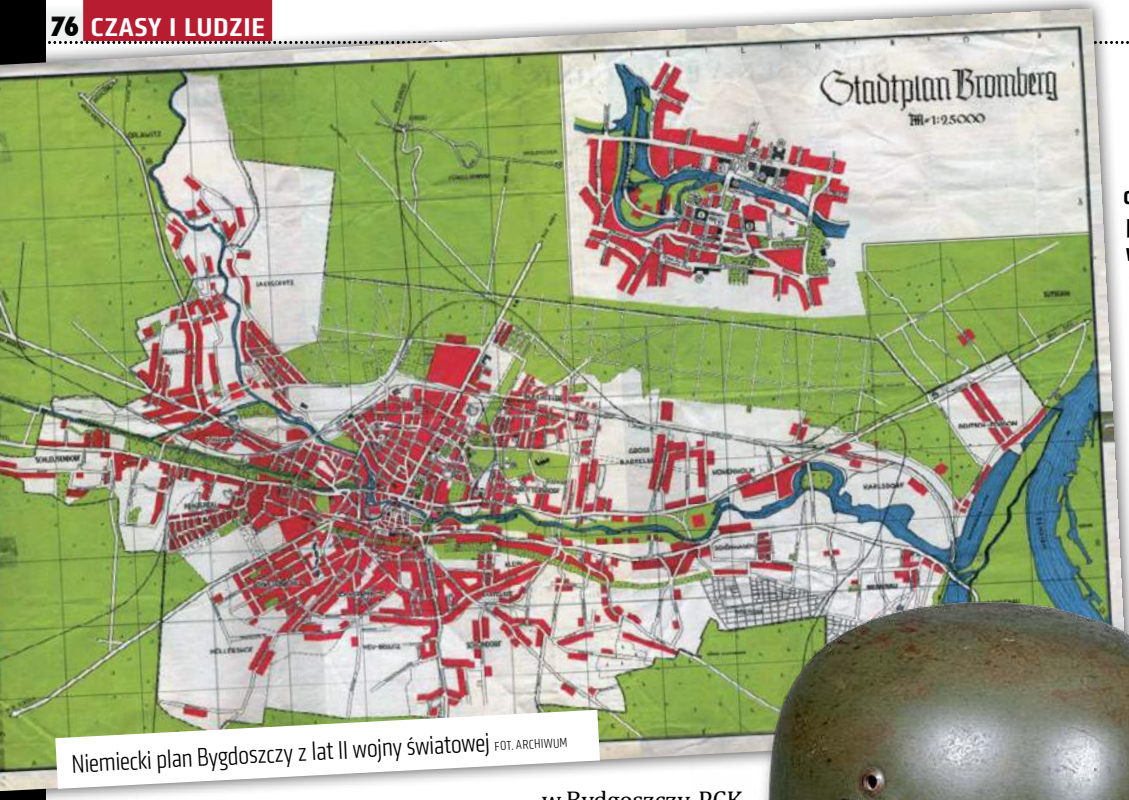

Niemiecki plan Bygdoszczy z lat II wojny światowej FOT. ARCHIWUM

i Richarda Hildebrandta, dowódcy SS i policji w Gdańsku. Ich procesy miały zadośćuczynić bydgoszczanom krzywdy z czasów wojny i przykryć niemożność rozliczenia pozostałych prawdziwych bydgoskich sprawców, czyli Gassmanna i Ludolfa von Alvenslebena, który przecież został uwolniony przez Anglików i wyemigrował do Argentyny.

Większość morderców – bezpośrednich sprawców zbrodni – pozostała bezkarna i prowadziła po wojnie normalne życie?

Tak, w praktyce tak było. Spośród morderców z Selbstschutzu jeden został skazany na śmierć – Erich Pollatz. W prasie pojawiały się relacje, że zbudowano dla niego szubienicę w Bydgoszczy oraz że został powieszony i zakopany w Dolinie Śmierci. Taka wersja funkcjonowała lokalnie w formie plotki. Dotarłem do jego akt więziennych, z których wynika, że został powieszony w więzieniu w Inowrocławiu, w więzieniu bydgoskim przebywał tylko przez pewien czas.

Podczas ekshumacji przy szczątkach odnaleziono złote zegarki, złote zęby, obrączki. Co się z nimi stało?

Depozyt znaleziony przy zwłokach, które zostały rozpoznane przez rodziny – były to szczątki 40 osób – został wydany bliskim ofiar. Natomiast reszta przedmiotów stanowiąca większość i najcenniejszą część depozytu została zdeponowana w kasie Sądu Okręgowego w Bydgoszczy. PCK przekazał tam te przedmioty w 1948 r. Jest protokół, który to potwierdza. Mamy dokładne spisy przedmiotów precyzyjnie wskazujących, co było w depozycie.

Rozumiem, że można zobaczyć te pamiątki po ofiarach w lokalnym muzeum?

Tak powinno być, ale tak nie jest. W 1950 lub 1951 r. ten depozyt został ukradziony. Akta sądowe z sądu okręgowego zostały spalone, żeby zatrzeć ślady, być może także innych spraw. Powtórzono w ten sposób dokładnie to samo, co zrobił Selbstschutz w 1939 r. Niemcy mieli wtedy przewieźć dokumenty do Gdańska. Przewożący je samochód w dziwny sposób uległ wypadkowi i doszło do samozapłonu, a Alvensleben otrzymał w Gdańsku od Alberta Forstera Krzyż Gdańska za zatarcie śladów zbrodni.

KRZYSZTOF DROZDOWSKI „TAJEMNICA DOLINY ŚMIERCI. DROGA DO PRAWDY”
AGENCJA WYDAWNICZA CB

To samo powtórzyli polscy pracownicy sądu, kradnąc przy okazji przedmioty należące do ofiar, które w grobach pozostawili niemieccy zbrodniarze?

Tak, nie znamy oczywiście ich nazwisk, nie mamy dowodów, aby oskarżyć konkretne osoby, natomiast Sąd Okręgowy w Bydgoszczy jest ostatnim miejscem przechowywania tego depozytu, nie został on nigdzie przekazany, a w 1951 r. akta zostały spalone i depozyt zniknął. Wniosek nasuwa się więc tylko jeden.

Ile osób zamordowano w Dolinie Śmierci? Spotykamy się z dużymi rozbieżnościami na ten temat – od 306, 309 do 3 tys. ofiar.

306 to liczba lansowana przez bydgoski IPN, który twierdził, że w protokołach ekshumacji jest pomyłka i podawana w nich liczba 309 ofiar jest błędna. W książce „Tajemnica Doliny Śmierci. Droga do prawdy” zawarłem wszystkie wpisy z tych protokołów ekshumacyjnych, aby pokazać, że jest ich dokładnie 309 i nie ma mowy o żadnej pomyłce.

Te liczby nie uwzględniają ekshumacji z 1945 r., na których przeprowadzenie nie było do tej pory dowodów?

Do tej pory spotkałem się z relacjami osób, które widziały te ekshumacje jako dzieci. Dotarłem jednak do świadka, który był wówczas 20-letnim żołnierzem i który potwierdza, że w Dolinie Śmierci wykopywano zwłoki dwa lata przez oficjalnymi ekshumacjami. Według jego opowieści przez dwa dni odkopano wtedy ciała ok. 50 osób. Ekshumacje miały jednak trwać prawdopodobnie przez pięć dni. Nie wiadomo więc, czy i ile szczątków wyciągnięto przez następne trzy dni.

To jednak nadal niewielka różnica. Skąd wzięły się informacje o 2–3 tys. ofiar?

Na pomniku pomordowanych w Dolinie Śmierci widnieje liczba 1,2 tys. ofiar. W innych publikacjach pojawiają się

eprasa.pl de5a4573f7

Polacy zatrzymani w łapance przy ul. Parkowej

FOT. ARCHIWUM KRZYSZTOFA DROZDOWSKIEGO

informacje o 2–3 tys. To liczby propagandowe, na ich potwierdzenie nie ma dowodów. Tak samo robiła niemiecka propaganda, podając liczbę niemieckich ofiar w Polsce. Najpierw mówiono o 6 tys., później liczba ta rozrosła się do 58 tys. W obu przypadkach to wymysł propagandy. Jedyna pewna informacja odnosi się do pochodzenia liczby 1,2 tys. ofiar widniejącej na pomniku.

Z terenu Doliny Śmierci przebadano 500 mkw., a cała Dolina Śmierci ma 2 tys. mkw. Skoro na 500 mkw. znaleziono 309 zwłok, wyliczono, że na pozostałym terenie będzie proporcjonalnie tyle samo ciał ofiar. Tak powstały te szacunki. Pozostałe szacunki mówiące o nawet 5–6 tys. ofiar zostały oparte na zeznaniach świadków, którzy opowiadali, że codziennie widzieli po pięć–sześć ciężarówek, a na każdej z nich po ok. 50 osób, i takie transporty wysyłano dniami i nocami. To oczywiście był wymysł lub przeszacowanie dokonane przez samych świadków. Nie wszyscy ludzie, którzy twierdzili, że byli bezpośrednimi świadkami, tak naprawdę widzieli egzekucje. Są np. zeznania człowieka, który twierdził, że oglądał wszystko przez dziurkę od klucza w hangarze na pobliskim lotnisku. Nie mogła być to prawda, ponieważ hangar, o którym mówił, znajdował się o blisko kilometr od miejsca egzekucji, za górką. Nie mógł więc tego widzieć.

Dlaczego podczas ekshumacji w Dolinie Śmierci przekopano tylko jedną czwartą terenu, na którym mogą znajdować się masowe groby Polaków? Przez 70 lat nikt nie próbował powtórzyć poszukiwań grobów?

Ekshumacja w 1947 r. oficjalnie trwała przez cztery dni. Były wielkie przygotowania, przez cztery dni przychodzili mieszkańcy, do kopania zaangażowano uczniów ze szkół zawodowych. Jak się okazało po analizie materiałów prasowych z tego okresu, już 13 kwietnia pisano, że ekshumacje trwają od kilku dni. Myślę, że ówczesna prasa, mimo iż była organem propagandowym i podlegała cenzurze, nie pisałaby tak ewidentnych i łatwych do zweryfikowania bzdur, że ekshumacje już trwają, gdyby nie była to prawda. Można było napisać, że zostaną rozpoczęte za dwa tygodnie. Nie miałoby to żadnego znaczenia, to szczegół, w którego sprawie nie trzeba było kłamać. 17 kwietnia na terenie Doliny Śmierci była ekipa Filmu Polskiego nagrywająca film, do którego udało mi się dotrzeć – będzie pokazywany w trakcie prezentacji mojej nowej książki. To kolejne potwierdzenie, że oficjalna data rozpoczęcia ekshumacji – 22 kwietnia – jest nieprawdziwa. Odkopywanie szczątków musiało więc trwać dłużej niż cztery dni. Gdy już wydobyto szkielety 309 osób, prasa pisała o przypuszczeniach, że w zbiorowych grobach są kolejne zwłoki – nawet 3 tys., jak twierdzili świadkowie. Deklarowano również, że będą kolejne ekshumacje.

Nigdy jednak do tego nie wrócono. Dlaczego?

Nie wiadomo, dlaczego tak się stało. Pojawiają się hipotezy, według których ekshumacje straciły swoje znaczenie propagandowe, zakończyły się procesy norymberskie, rozpoczynały się zimna wojna i rozliczanie Niemców zeszło na dalszy plan. W 1968 r., już po procesie Gassmanna, Polacy przypomnieli sobie o sprawie i Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich rozpoczęła śledztwo ws. zbrodni popełnionych w Dolinie Śmierci, nie potrafiono jednak go zakończyć. Zostało więc zawieszone na 49 lat i odwieszono je dopiero w lutym tego roku po moich staraniach.

Przez ten czas nie prowadzono żadnych poszukiwań szczątków ofiar?

Śledztwo na razie trwa, prowadzi je IPN. Założenia, które poczyniłem i z którymi wystąpiłem do IPN, to przebadanie terenu wykrywaczami metalu w poszukiwaniu łusek, aby wyznaczyć linię strzałów i dołów. To metoda uznawana na całym świecie w badaniu pól bitewnych. Myślę, że można ją tu wykorzystać. Chcieliśmy zrobić to z archeologiem Robertem Grochowskim, który ma bardzo duże doświadczenie, robił m.in. ekshumacje w Tryszczynie niedaleko Bydgoszczy, gdzie rozstrzeliwano ludzi wcześniej, zanim rozpoczęły się egzekucje w Dolinie Śmierci. Zamierzaliśmy sprawdzić teren georadarem. Chcieliśmy zrobić to oczywiście za darmo. Ostatecznie jednak wszystko zależy od IPN.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de5a4573f7

Debata wokół

Krzysztof Wyszkowski

Wyszkowski: Zdrada

PIOTR WŁOCZYK: Prezydent Andrzej Duda – przy okazji obchodów rocznicy Sierpnia '80 – stwierdził, że w 1989 r. „w Polsce nastąpiła bezkrwawa w zasadzie rewolucja. [...] Płacimy za to jednak cenę i wszyscy mamy tego świadomość". Część komentatorów stwierdziła, że prezydent „ubolewał" nad bezkrwawym charakterem zmian.

KRZYSZTOF WYSZKOWSKI: Interpretacja michnikoidów jest oczywiście fałszywa. Działając w środowisku antykomunistycznym, tylko raz usłyszałem o planie walki z komunistami przy użyciu przemocy. To było w 1978 r. Wie pan, kto z tym do mnie przyszedł? Lech Wałęsa. Proponował wysadzanie w powietrze komend milicji – za każdego aresztowanego działacza WZZ trzeba wysadzić jedną komendę wraz z milicjantami i esbekami. Nigdy wcześniej ani później nie zetknąłem się z czymś podobnym. Dlatego twierdzenie, że prezydent Duda – w końcu były działacz Unii Wolności – tęskni za przemocą wobec komunistów, jest po prostu śmieszne. Prezydent stwierdził tylko fakt: w 1989 r. nie polała się krew, ale cena układu była bardzo wysoka.

Tylko że u znacznej części prawicowego elektoratu wyraźnie widać przekonanie, że w 1989 r. można było bardziej „docisnąć" komunistów.

To są jednak dwie różne rzeczy. Nikt nie domagał się przelewania krwi, organizowania w 1989 r. zbrojnego powstania przeciw komunistom. Inną kwestią pozostają warunki, na jakich komuniści podzielili się władzą z „konstruktywnymi".

Absolutna większość Polaków i prawie wszyscy działacze Solidarności zgadzali się na propozycję rozmów przy Okrągłym Stole złożoną przez komunistów w sierpniu 1988 r. Ja również opowiadałem się za takim rozwiązaniem. Jednak już realizacja tego pomysłu podlega jak najdalej idącej krytyce. Dlaczego to tylko powołani ad hoc działacze Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie mieli kierować negocjacjami, a nie przedstawiciele Solidarności z Komisji Krajowej? Miliony Polaków mają pretensje o przechwycenie Okrągłego Stołu przez ludzi, którzy nie mieli do tego prawa, m.in. Adama Michnika, Bronisława Geremka czy Jacka Kuronia.

Cena tego układu była zbyt wysoka? Pańscy polemiści podkreślają jednak, że Polska od 1989 r. zrobiła gigantyczny postęp w każdej dziedzinie.

Ta cena była zupełnie niepotrzebnie bardzo wysoka, bo komunistów można było wtedy odsunąć od władzy na trwałe. I potem ich rozliczyć na wzór Norymbergi. Niestety, Michnik, Geremek i im podobni mieli wówczas do ubicia własne interesy i byli przeciwni rozprawie z PZPR. Komuniści dostali wówczas od nich piękne złote spadochrony. Nie rozliczono ani ich, ani pracujących dla nich agentów, a czerwona nomenklatura sprywatyzowała majątek narodowy. W efekcie komunizm upadał w Polsce zbyt wolno.

Tylko że jeżeli spojrzymy na nasze najbliższe sąsiedztwo, to w zasadzie nigdzie nie doszło do pełnego rozliczenia z komunizmem. Może taka już po prostu była w Europie generalna logika odchodzenia od komunizmu do demokracji?

To nie była konieczność, ale zdrada. Pisałem o tym już w trakcie obrad. „Nasi" reprezentanci zdradzili nie tylko Polaków, lecz także narody całej Europy Wschodniej. Gdyby Polacy dali przykład twardego rozliczenia się z przeszłością i wzorem II RP podjęli budowę nowego państwa, to reszta bloku wschodniego poszłaby naszym śladem. Okrągły Stół był straconą – przez fałszywe przywództwo Solidarności – szansą na szybkie odzyskanie wolności i zbudowanie uczciwego państwa, czego niszczący koszt Polacy płacą do dziś. ©℗

Krzysztof Wyszkowski jest publicystą, działaczem opozycji w PRL. Jako dziennikarz był obserwatorem obrad Okrągłego Stołu.

Henryk Wujec

Wujec: Wielki sukces

PIOTR WŁOCZYK: Jak pan odebrał słowa prezydenta o „bezkrwawej rewolucji" w 1989 r.?

HENRYK WUJEC: To była wypowiedź całkowicie fałszywa. Jaka była bowiem alternatywa? Krwawa rewolucja? W Polsce palono już komitety partyjne. Działo się tak w 1956 r., w 1970 r. i do dziś wspominamy ofiary tamtych masakr. W Polsce stacjonowała ćwierćmilionowa armia

eprasa.pl de5a4573f7

Okrągłego Stołu

Obrady Okrągłego Stołu FOT. JAN BOGACZ/PAP

sowiecka. To nie był bezzębny tygrys. Wojska sowieckie interweniowały w Budapeszcie w 1956 r., w Pradze w 1968 r. i w Wilnie w 1991 r.

Czy jednak w 1989 r. strona solidarnościowa nie była w stanie potraktować władz PRL ostrzej, skoro komunizm powoli dogorywał?

To kompletna fikcja. Jak można było zmusić komunistów w 1989 r. do pełnej kapitulacji? Rozmawiajmy na poważnie. W latach 1987–1988 Solidarność zorganizowała strajk w najważniejszych zakładach w całym kraju – wszystkie zakończyły się klęską. Czerwoni nauczyli się radzić sobie ze strajkami. Tą metodą nie zmusilibyśmy ich do ustępstw. A czy istniała inna realna metoda nacisku na władze PRL? Miałem wprawdzie znajomych, którzy trzymali w piwnicach koktajle Mołotowa, ale za pomocą tych koktajli mogli co najwyżej doprowadzić do tragedii. Podziemne władze Solidarności nie zgodziły się na użycie siły.

Komunistów do rozmów zmusiła upadająca gospodarka. Zachód odmówił im wsparcia, domagając się najpierw legalizacji Solidarności, więc musieli przyjść z ofertą rozmów. Początkowo chcieli wmontować Solidarność w swój system, ale wybory czerwcowe wszystko zmieniły – ludzie stanowczo odrzucili czerwony system.

Nie czuć było w 1989 r., że PRL nie ma szans na przeżycie? Nie można było tego wykorzystać?

A czy przypadkiem na Białorusi komunizm nie upada już od kilku dekad? Wprawdzie dziś nie jest to już komunizm, ale to przecież wciąż dyktatura. Ten „walący się" PRL miał swoje władze, które miały wciąż duże zasoby. W okresie transformacji byłem na Litwie, w Bułgarii, w Kijowie – jeździliśmy z pomocą po bloku wschodnim do wszystkich krajów, które chciały powtórzyć polską drogę przemian. Podczas pobytu w Wilnie byłem świadkiem krwawego ataku OMON. Nawet osłabiony system komunistyczny potrafił sięgać po przemoc. Dlatego to, co udało się w Polsce osiągnąć w 1989 r., uważam za wielki sukces.

Umowa okrągłostołowa nie wiązała się ze zbyt wysoką ceną, jeżeli chodzi o to, co komuniści wynegocjowali w niej dla siebie?

Absolutnie nie, odzyskaliśmy wolność. Wiadomo, że przemiany pokojowe muszą polegać na pewnym kompromisie. W takim wariancie jedna strona nie odnosi całkowitego zwycięstwa nad drugą. Czy w Polsce miało dojść do rozliczenia z komunistami jak za czasów rewolucji francuskiej, gdy masowo ścinano głowy przedstawicielom poprzedniego reżimu? W takich pokojowych przemianach jak w Polsce w 1989 r. świadomie zakłada się pewne koszty. Takim kosztem było np. wyrzeczenie się zemsty na ludziach, którzy wprowadzili stan wojenny.

Okrągły Stół – który sam w sobie był wielkim sukcesem – był jednak tylko etapem na drodze do wolności. Ważniejsze były wybory z czerwca 1989 r. Nie tylko dla Polski, lecz także dla całego bloku wschodniego. Nasze pokojowe przemiany stały się wzorem dla innych. Nie każdy wie, że na początku lat 90. Okrągły Stół stał się inspiracją dla polityków z RPA, którzy chcieli doprowadzić do bezkrwawej zmiany władzy i likwidacji apartheidu. ©℗

Henryk Wujec był działaczem opozycji w czasach PRL, brał udział w obradach Okrągłego Stołu.

eprasa.pl de5a4573f7

1990 r. / Bronisław Komorowski

3 maja zamiast

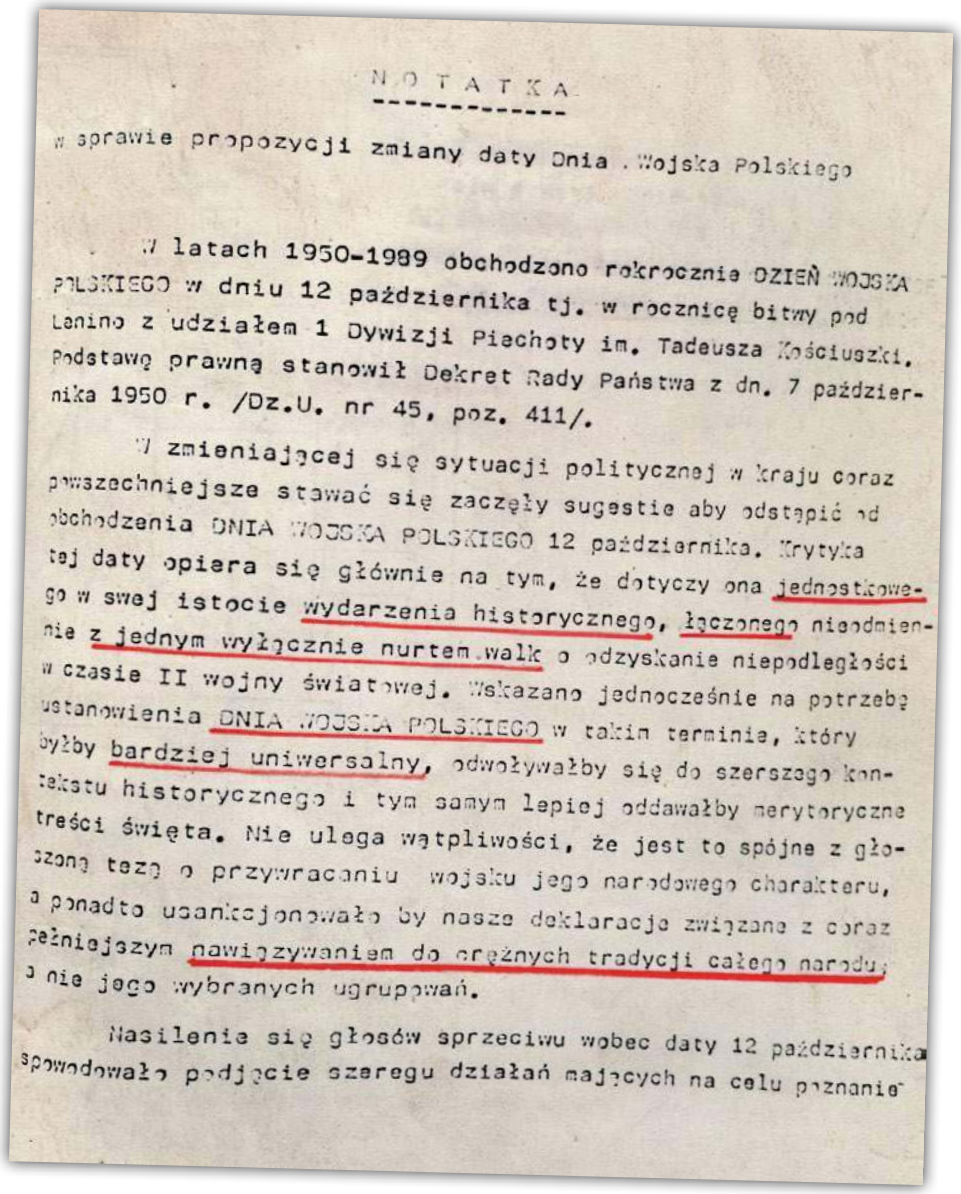

NOTATKA

w sprawie propozycji zmiany daty Dnia Wojska Polskiego

W latach 1950-1989 obchodzono rokrocznie DZIEŃ WOJSKA POLSKIEGO w dniu 12 października tj. w rocznicę bitwy pod Lenino z udziałem 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Podstawę prawną stanowił Dekret Rady Państwa z dn. 7 października 1950 r. /Dz.U. nr 45, poz. 411/.

W zmieniającej się sytuacji politycznej w kraju coraz powszechniejsze stawać się zaczęły sugestie aby odstąpić od obchodzenia DNIA WOJSKA POLSKIEGO 12 października. Krytyka tej daty opiera się głównie na tym, że dotyczy ona jednostkowego w swej istocie wydarzenia historycznego, łączonego nieodmiennie z jednym wyłącznie nurtem walk o odzyskanie niepodległości w czasie II wojny światowej. Wskazano jednocześnie na potrzebę ustanowienia DNIA WOJSKA POLSKIEGO w takim terminie, który byłby bardziej uniwersalny, odwoływałby się do szerszego kontekstu historycznego i tym samym lepiej oddawałby merytoryczne treści święta. Nie ulega wątpliwości, że jest to spójne z głoszoną tezą o przywracaniu wojsku jego narodowego charakteru, a ponadto usankcjonowało by nasze deklaracje związane z coraz częstszym nawiązywaniem do orężnych tradycji całego narodu, a nie jego wybranych ugrupowań.

Nasilenie się głosów sprzeciwu wobec daty 12 października spowodowało podjęcie szeregu działań mających na celu poznanie

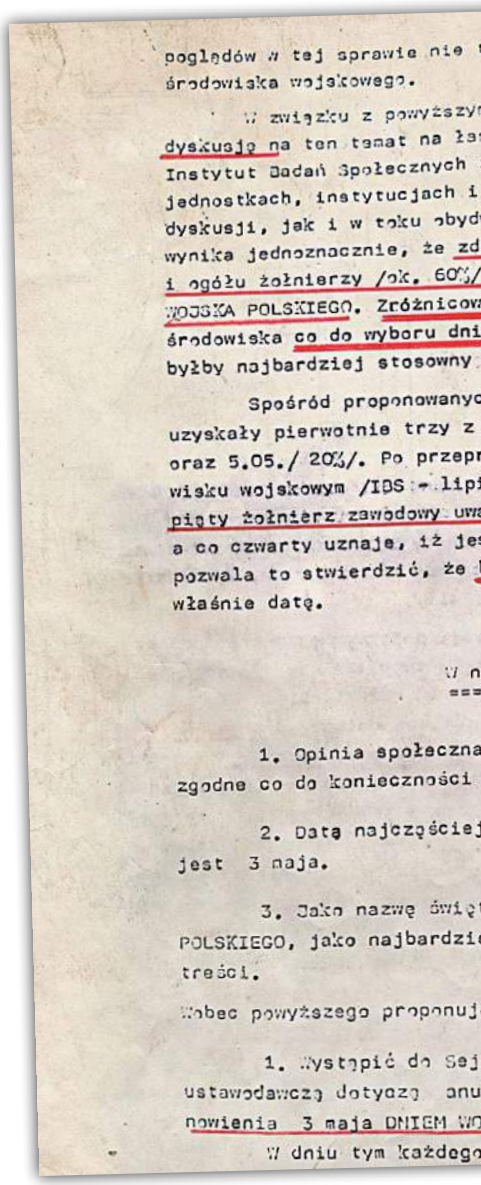

poglądów w tej sprawie nie
środowiska wojskowego.

W związku z powyższym
dyskusję na ten temat na ła
Instytut Badań Społecznych
jednostkach, instytucjach i
dyskusji, jak i w toku obyd
wynika jednoznacznie, że zd
i ogółu żołnierzy /ok. 60%/
WOJSKA POLSKIEGO. Zróżnicow
środowiska co do wyboru dni
byłby najbardziej stosowny

Spośród proponowanyc
uzyskały pierwotnie trzy z
oraz 5.05./ 20%/. Po przepr
wisku wojskowym /IDS - lip
piąty żołnierz zawodowy uw
a co czwarty uznaje, iż je
pozwala to stwierdzić, że
właśnie datę.

W n

1. Opinia społeczna
zgodne co do konieczności

2. Datą najczęściej
jest 3 maja.

3. Jako nazwę świę
POLSKIEGO, jako najbardzi
treści.

Wobec powyższego proponuj

1. Wystąpić do Sej
ustawodawczą dotyczą anu
nowienia 3 maja DNIEM WO
W dniu tym każdego

Sławomir Cenckiewicz

Jest listopad 1990 r. Wiceminister obrony narodowej Bronisław Komorowski składa swojemu szefowi – ministrowi admirałowi Piotrowi Kołodziejczykowi – propozycję daty nowego święta Wojska Polskiego.

Zmieniająca się sytuacja polityczna wymusza odejście od daty 12 października – dorocznego święta LWP na pamiątkę bitwy pod Lenino z 12 października 1943 r.

Padają różne propozycje, w tym 15 sierpnia – na chwałę polskiego wojska, które pokonało bolszewików w 1920 r. pod Warszawą. To jednak się nie podoba postkomunistycznej kadrze wojskowej.

Dlatego wiceminister Komorowski JEST PRZECIWNY DACIE 15 SIERPNIA!!!

eprasa.pl de5a4573f7

przeciw upamiętnieniu zwycięstwa nad bolszewikami w 1920 r.

15 sierpnia

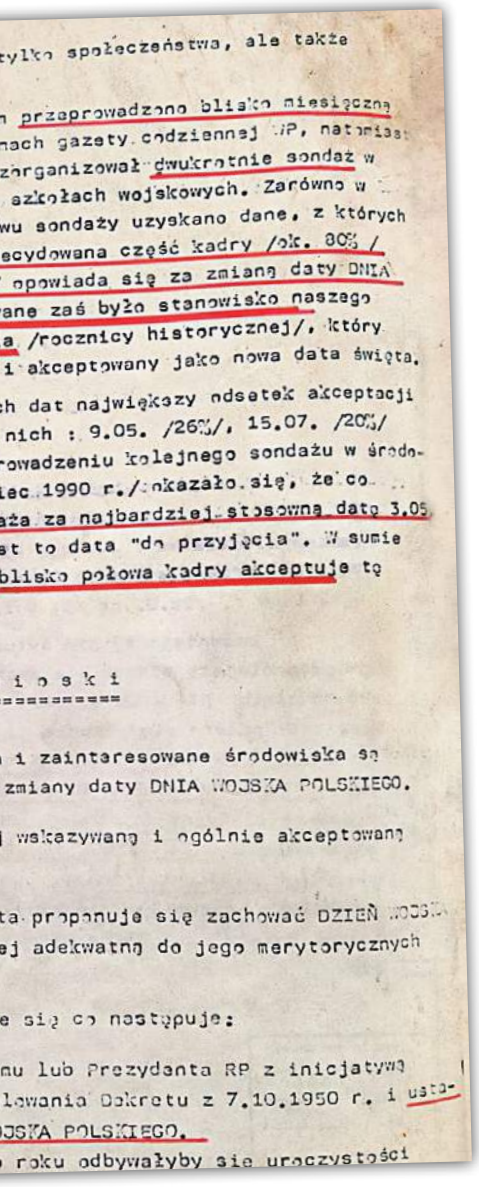

tylko społeczeństwa, ale także

przeprowadzono blisko miesięczną
nach gazety codziennej WP, natomiast
zorganizował dwukrotnie sondaż w
szkołach wojskowych. Zarówno w
wu sondaży uzyskano dane, z których
ecydowana część kadry /ok. 80% /
opowiada się za zmianą daty DNIA
ane zaś było stanowisko naszego
a /rocznicy historycznej/, który
i akceptowany jako nowa data święta.
ch dat największy odsetek akceptacji
nich : 9.05. /26%/, 15.07. /20%/
owadzeniu kolejnego sondażu w środo-
iec 1990 r./ okazało się, że co
aża za najbardziej stosowną datę 3.05
st to data "do przyjęcia". W sumie
blisko połowa kadry akceptuje tę

i o s k i

i zainteresowane środowiska są
zmiany daty DNIA WOJSKA POLSKIEGO.

wskazywaną i ogólnie akceptowaną

ta proponuje się zachować DZIEŃ WOJSK
ej adekwatną do jego merytorycznych

e się co następuje:

mu lub Prezydenta RP z inicjatywą
lowania Dekretu z 7.10.1950 r. i usta-
OJSKA POLSKIEGO.
roku odbywałyby się uroczystości

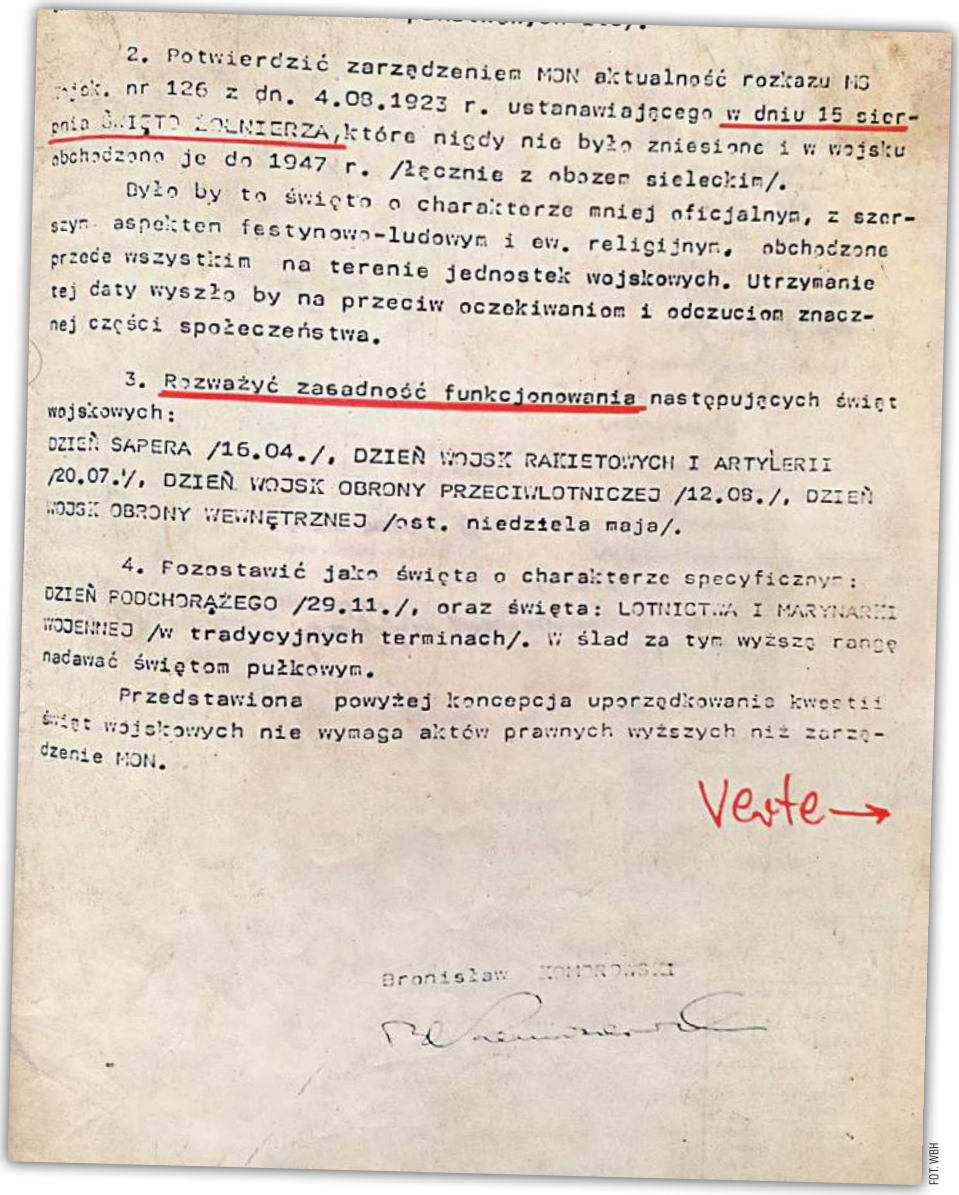

2. Potwierdzić zarządzeniem MON aktualność rozkazu NO
ejek. nr 126 z dn. 4.08.1923 r. ustanawiającego w dniu 15 sier-
pnia ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA, które nigdy nie było zniesione i w wojsku
obchodzono je do 1947 r. /łącznie z obozem sieleckim/.

Było by to święto o charakterze mniej oficjalnym, z szer-
szym aspektem festynowo-ludowym i ew. religijnym, obchodzone
przede wszystkim na terenie jednostek wojskowych. Utrzymanie
tej daty wyszło by na przeciw oczekiwaniom i odczuciom znacz-
nej części społeczeństwa.

3. Rozważyć zasadność funkcjonowania następujących świąt
wojskowych:
DZIEŃ SAPERA /16.04./, DZIEŃ WOJSK RAKIETOWYCH I ARTYLERII
/20.07./, DZIEŃ WOJSK OBRONY PRZECIWLOTNICZEJ /12.08./, DZIEŃ
WOJSK OBRONY WEWNĘTRZNEJ /ost. niedziela maja/.

4. Pozostawić jako święta o charakterze specyficznym:
DZIEŃ PODCHORĄŻEGO /29.11./, oraz święta: LOTNICTWA I MARYNARKI
WOJENNEJ /w tradycyjnych terminach/. W ślad za tym wyższą rangę
nadawać świętom pułkowym.

Przedstawiona powyżej koncepcja uporządkowania kwestii
świąt wojskowych nie wymaga aktów prawnych wyższych niż zarzą-
dzenie MON.

Verte →

Bronisław KOMOROWSKI

FOT. WBH

Ma to być – w jego zamyśle – jedynie święto nieoficjalne, „festynowo-ludowe" i „religijne"!

Na święto Wojska Polskiego proponuje neutralną datę 3 maja – na pamiątkę uchwalenia konstytucji majowej 3 maja 1791 r.

Komorowski był tak konsekwentny w torpedowaniu dnia 15 sierpnia jako daty święta WP, że połączył głosowanie w tej sprawie na Radzie Wojskowej MON z pożegnaniem Jaruzelskiego jako zwierzchnika sił zbrojnych 6 grudnia 1990 r. No i 3 maja zwyciężył stosunkiem głosów: 14 za datą 3 maja, 9 głosów wstrzymujących się, 4 przeciwko.

Dokument pochodzi z zespołu akt Gabinetu MON, Archiwum Wojskowe w Nowym Dworze Mazowieckim.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de5a4573f7

1921–2006 / 30 mln książek w 40 językach

FOT. DANUTA WĘGIEL/FOTONOVA

Wszechświat Stanisława Lema

eprasa.pl de5a4573f7

Krzysztof Masłoń

W swojej powieści pisarz zawarł obrazy zapamiętane ze Lwowa, a wśród nich scenę wynoszenia żydowskich trupów. Być może były to jego własne wspomnienia

W lipcu 1964 r. Jan Błoński pisał do Sławomira Mrożka: „Wyobrażam sobie, jak się biedak denerwuje, że go nie wynoszą pod niebiosa, na co zasługuje. Lecz za daleko on patrzy, aby to dochodziło do ludzi stojących w ogonku po masło. Z czasem jednak docenią i ukochają, tego jestem pewien". Znany krytyk nie mylił się; nadchodziły już lata, gdy na punkcie pisarstwa Stanisława Lema – bo to o niego chodziło – zwariują nie tylko polscy czytelnicy. Łączny nakład jego książek, przełożonych na 40 (!) języków, osiągnie 30 mln egzemplarzy.

On sam nie był chyba nigdy usatysfakcjonowany. Pieklił się, kiedy traktowano science fiction jako gorszą odmianę literatury, ale sam pisał o niej jak najgorzej. Przez lata całe narzekał na swą sytuację materialną, choć o jego dochodach koledzy po piórze mogli jedynie śnić (urząd skarbowy jego zarobki w roku 1957, gdy stał dopiero na progu wielkiej kariery, wyliczył na 200 tys. zł – to była fortuna). Zarabiał, m.in. pisząc dla młodzieży i publikując np. w „Iskrach", by równolegle biadać nad tym, że w kręgach opiniotwórczych mówi się o nim jako o pisarzu młodzieżowym.

Malkontentem był zawołanym. Od czasów przedwojennych miał bzika na punkcie motoryzacji, gdy jednak stał się wreszcie posiadaczem auta, ulubionym tematem poruszanym w jego listach do przyjaciół okazały się jego niedostatki. Inna sprawa, że kolejne samochody Lema: NRD-owskie P70 z nadwoziem z włókna szklanego na drewnianym (!) szkielecie, także NRD-owski wartburg coupe w luksusowej (!) wersji przysparzały mu jedynie zgryzot. Następne zakupy samochodowe, wśród których szczęśliwie ominął limuzynę trabanta, też nie były udane. Dopiero kiedy nabył mercedesa, pozostając tej marce wierny do końca, motoryzacja przestała być jego zmorą. Nie inaczej było z domami, szczególnie z pierwszym, który Lem kupił na przedmieściu Krakowa, na osiedlu Kliny, który remontować trzeba było – w gruncie rzeczy – bez przerwy.

Bliski płaczu

Powodów do zmartwień Stanisławowi Lemowi, jak widać, może i nie brakowało, ale nie one decydowały o publicznym wizerunku pisarza, nie do końca jednoznacznym. Mógł się o tym przekonać przyjaciel Lema, Jan Józef Szczepański, gdy w końcu lat 70. Lem podpisywał (bądź nie podpisywał) protestacyjny List 59 w sprawie planowanych poprawek do konstytucji czy gdy przystępował (bądź nie przystępował) do edukacyjnych działań opozycyjnego Towarzystwa Kursów Naukowych. A wyglądało to tak, że – jak wspomina Szczepański w swoim dzienniku – Lem zajmował wobec władz postawę najbardziej radykalną, proponując, by treść Listu 59 zastąpić jednym zdaniem: „Precz z komunizmem". A w końcu Listu nie podpisał, by jednak, owszem, złożyć pod nim swoją parafę, ale po dwóch miesiącach, gdy Wolna Europa przestała już wymieniać nazwiska sygnatariuszy. Nie inaczej postąpił Tadeusz Różewicz. Czy ci panowie, którzy byli „za", a nawet „przeciw", mogli bać się czegoś więcej niż czasowej utraty paszportu czy ewentualnego zakazu druku, tylko w Polsce zresztą? Chyba nie i stopniowo dochodziło to do Szczepańskiego, który początkowo rozgrzeszał przyjaciela z wszelkich zaniechań, pewnie dlatego, że sam pod tym względem także nie był przykładem męstwa ani hartu ducha.

O wątpliwym akcesie Lema do TKN obszernie pisze Wojciech Orliński w książce „Lem. Życie nie z tej ziemi": „Szczepański w styczniu 1978 roku zaprosił do współpracy Lema. Ten zgodził się poprowadzić wykład o futurologii w klasztorze Norbertanek, na takich jednak zasadach, że to Lem sam z siebie przyjmuje zaproszenie sióstr. De facto wykład odbył się w ramach TKN, ale formalnie jednak nie. Lem odmówił też podpisu pod deklaracją TKN. Tym razem Szczepański zachowania przyjaciela nie przyjął już z aprobatą, jak w grudniu 1975 roku. Uznał wprawdzie argumenty Lema (»jak zwykle przekonywające«), ale zanotował, że »obu nam było przykro i niewygodnie«. Trzy dni później (23 stycznia) zanotował: »rano Staszek przyniósł mi uzasadnienie na piśmie swojego stanowiska wobec TKN. Pierwszy raz widziałem go w stanie takiego wzburzenia. Komentując mi tekst, był bliski płaczu«".

Polityka nie takich twardzieli jak Lem potrafiła doprowadzić do łez, dlatego ograniczając podobne wątki do minimum, powrócę do twórczości pisarza, kilkakrotnie przenoszonej na ekran, z pożytkiem dla kieszeni autora, za to – jego zdaniem – zawsze źle. To, że narzekał na Czechów i Niemców, a i na rodzimych reżyserów, nie dziwota, ale potraktowanie przez niego twórców „Solaris", radzieckiego i amerykańskiego, budzi zdumienie. Po pierwsze, albo kompletnie się nie znał na filmie, w co byłbym w stanie uwierzyć, albo celowo zrobił przykrość świetnemu reżyserowi, jakim był Andriej Tarkowski. Kiedy ten odwiedził go w moskiewskim hotelu Pekin i niebacznie wspomniał o niezbędnych, jak sądził, modyfikacjach fabuły, Lem zimno odpowiedział, że w jego powieści jest wszystko, co trzeba. Twórca „Andrieja Rublowa" nie rezygnował, przekonując rozmówcę, że ma duży dorobek, warsztat, doświadczenie, a jeśli Stanisław Lem nie zna jego filmów, to może zechciałby któryś z nich obejrzeć. Riposta Lema była błyskawiczna: „Nie znam i nie mam na to czasu". Pożegnanie obu panów było

eprasa.pl de5a4573f7

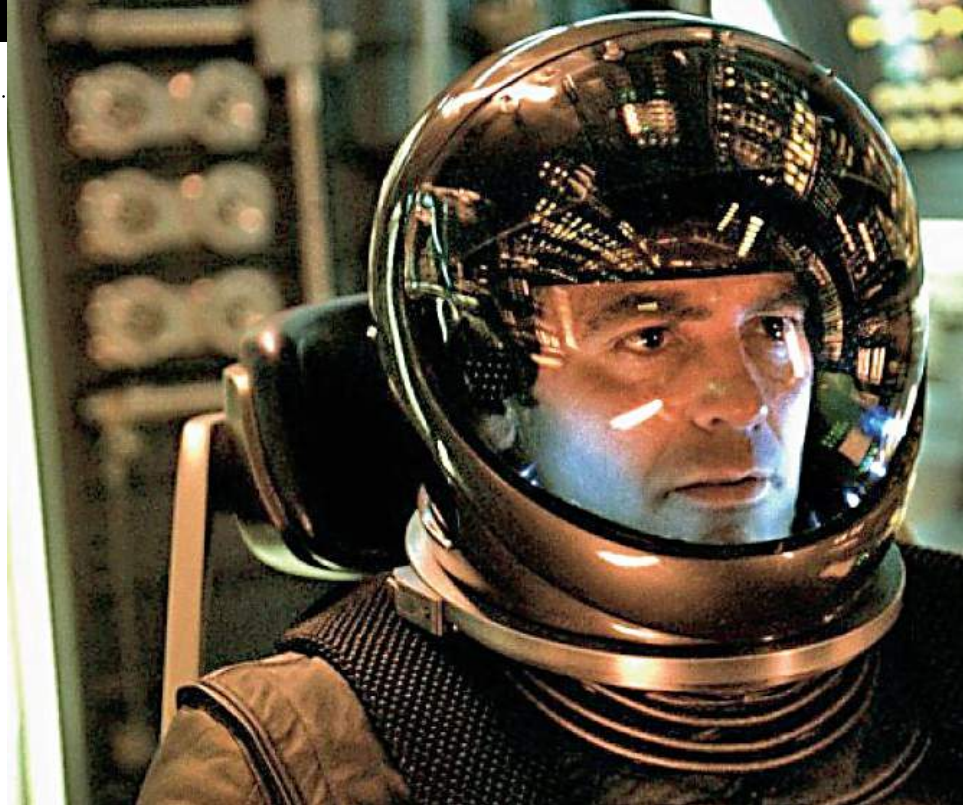

jeszcze bardziej zimne niż ich rozmowa. Po latach, gdy filmu „Solaris" Tarkowskiego próżno było już szukać w Polsce w kinach, Lem wrócił do sprawy w liście do Aleksandra Ścibora-Rylskiego:

„Bracia Węgrzy ukradli mi Pirxa, przerabiają go na serial TV bez mej zgody, prosili o zezwolenie na »adaptację tv«, rozumiałem, że to jest zwykłe przedstawienie, a teraz »wyinterpretowali« to na film, opieram się, ale widzę, że nabrany zostałem i z tą wdmuchaną kaszą muszę cicho siedzieć. Zdziwisz się może, lecz jam »Solaris« nie widział, najpierw byłem chory, potem film zszedł z ekranu, a i tak się nie paliłem, bo scenariusz mam i nie byłem zachwycony, raczej wprost przeciwnie".

Filmem Stevena Soderbergha z George'em Clooneyem pisarz też nie był zachwycony, wytykając obrazowi odstępstwa od literackiego pierwowzoru „Solaris". Nie miał jednak okazji, by spostponować reżysera. A z Hollywood kupiono od niego prawa za wcale nie neapolitańskie sumy, lecz 50 tys. dol. Bez przepychu.

To wszystko jest we mnie

W twórczości Stanisława Lema (1921–2006) zdominowanej przez tytuły fantastyczne wyjątkowe miejsce zajmują wspomnienia zatytułowane „Wysoki Zamek", często nazywane powieścią, co jednak autor oprotestowywał. Na pewno nie jest to autobiografia, pisarz ograniczył się bowiem do swego dzieciństwa, opowiadając zresztą nie o wydarzeniach, które wówczas się rozgrywały, lecz o swoich zabawach i – jakby mimochodem – o rodzinnym mieście, takim, jakim je wtedy widział i zapamiętał na zawsze. W efekcie – jak pisał Jerzy Jarzębski – powstał jeden z „piękniejszych i bogatszych portretów międzywojennego Lwowa, jaki istnieje w naszej literaturze".

Czy jest to wizerunek idylliczny? W jakiejś mierze tak, ale jest faktem, że przyszły autor „Filozofii przypadku" dzieciństwo miał dostatnie i szczęśliwe. „Porządne mieszczańskie życie rodziny szanowanego laryngologa, właściciela dwóch lwowskich kamienic, starannie urządzony, wyrafinowany świat materialny ze wszystkimi jego meblami, skrzyniami, gabinetami, sypialniami, srebrami stołowymi i bibliotekami oraz całkowita pewność tak samo spokojnego jutra – to najbardziej wyraźne lejtmotywy »Wysokiego Zamku«" – wyliczał Jurij Andruchowycz, ukraiński pisarz z Iwano-Frankowska, czyli Stanisławowa rodem. Przypomnę tu, że autor „Wysokiego Zamku" był synem lekarza Samuela Lema i Sabiny z Wollnerów, a jego bliskim krewnym (synem siostry ojca, Berty) był Marian Hescheles, który w historii literatury zapisał się jako Marian Hemar.

Andruchowycz zwracał uwagę na to, że Stanisław Lem po opuszczeniu Lwowa nigdy już tam nie przyjechał. W wywiadzie udzielonym zaraz po wydaniu „Wysokiego Zamku" – w 1966 r. – powiedział: „Jak ktoś się kochał w jakiejś niewieście i ożenił się z nią i żył z nią długo i szczęśliwie, a potem przychodzi ktoś obcy i ona już kocha tego innego i wychodzi za niego za mąż – to jaki sens dowiadywać się, jakie ma dzieci z tym innym i jak żyje? Wolę lepiej nie mieszać się i tam się nie pokazywać".

Autor przechował za to w pamięci czas miniony. I pisał z czułością, z miłością: „Nikt nie umierał, kiedy byłem mały. Słyszałem o takich wypadkach, pewno, jak o upadku meteorytów. Każdy wie, że spadają, to się zdarza, ale jakiż to ma związek z nami? Podczas pisania tych słów, między jednym a drugim deszczowym dniem zakopiańskim, śnił mi się ojciec. Nie taki zamglony, niewyraźny, niewiadomego wieku, jakiego potrafię sobie wyobrazić na jawie, ale w konkretnej chwili, żywy. Widziałem jego szare, niezmęczone jeszcze oczy za okularami, krótki wąs, przycięty nad wargą, małą bródkę, jego ręce o krótko uciętych paznokciach, szczotkowane wciąż ręce lekarza, ze złotą obrączką, ścieńczałą od noszenia, fałdowanie się kamizelki, surdut, obciągnięty odrobinę z prawej strony ciężarem lustra laryngologicznego – a w głębi mieszkanie, tapety, stary wysoki piec z białych, popękanych drobniutką siateczką kafli, tysiące innych szczegółów, których po przebudzeniu nie umiałem nawet nazwać. To wszystko jest we mnie, niedostępny tłum wspomnień, kolejnych minut, godzin, dni, tygodni, lat – i nikt oprócz snu, nad którego ruchem nie panuję, nie może tam wejść. Jest tam gdzieś park Stryjski, cały w śniegu, i ojciec przechadzający się w alejce czarnych drzew z rękami w kieszeniach płaszcza, okrutnie zziębnięty, gdy ja, pierwszy raz na nartach, ledwo poruszam nogami, wyobrażając sobie, że jestem panem niezmierzonych przestrzeni. Stuk kopyt, nagle zmatowiały na bruku Marszałkowskiej przed Uniwersytetem Jana Kazimierza, przeciągły, zawodzący zgrzyt, którym w okna klasy bił tramwaj, skręcając wokół naszego boiska w mozolnej wspinaczce na Wysoki Zamek. Poręcze wszystkich schodów, z których zjeżdżałem, kraciaste pumpy kolegi Łozy, najdłuższe w klasie, zielone lokomobile z Targów Wschodnich i wszystkie kasztany. Miedziany kocioł na wodę z pieca kuchennego, żołędzie sypialnianego sufitu, tandeta z żelazi-

eprasa.pl de5a4573f7

Amerykańska adaptacja powieści „Solaris" nie budziła zachwytu pisarza

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wem, w którym poszukiwałem skarbów, i nawet pierwsze łóżko, białe, zamykane z boku sznurowaną siatką. Okręt-zagadka, który cudownie jakoś wpłynął do flaszki przez wąską szyjkę, i ten pierwszy legalny papieros, z czerwonym ustnikiem płóciennym marki Nil, którego zapaliłem po maturze, w czerwcu 1939 roku".

Minęły wakacje i cały tamten świat się zawalił. Bezpowrotnie.

Z coraz większą złością

Żydowskość była dla Lema tematem tabu. Znamy zaledwie pojedyncze wypadki, gdy opowiadał o okupacji Lwowa, którą przeżył na aryjskich papierach. Przeżyli też jego rodzice, z którymi w 1945 r. przyjechał do Krakowa. Zginęli jednak prawie wszyscy wujkowie i niezliczone ciotki, zginął też rodzony brat Mariana Heschelesa, Henryk. Jedni znaleźli kres swoich dni w obozie w Bełżcu, drudzy we Lwowie na Janowskiej, a Henryk Hescheles, redaktor przedwojennej „Chwili", w pogromie po tym, jak wypuszczony został z więzienia NKWD i zabity – jeszcze przed wejściem Niemców do miasta…

W wydanym w 1968 r. „Głosie Pana" we wspomnieniach fikcyjnego matematyka Rappaporta zawarł obrazy zapamiętane ze Lwowa, a wśród nich scenę wynoszenia żydowskich trupów. Przez Żydów. Być może były to przeżycia samego pisarza. Okupacyjna tragedia po dziesiątkach lat powracała w zgoła innej formie. Kiedy po stanie wojennym Lemowie zamieszkali w Berlinie Zachodnim, a następnie w Wiedniu, pisarz zaprzyjaźnił się także z przebywającym tam Władysławem Bartoszewskim. Po latach ten ostatni będzie wspominał:

„Lem nie taił przed Niemcami swoich poglądów. Czasami miało to wręcz groteskowy wymiar. Kiedyś w Berlinie Staszek miał odwieźć mnie i moją żonę do siedziby Wissenschaftskolleg. Wsiadł do swojego zielonego mercedesa […], a tu jakiś kierowca zaczyna na niego trąbić. No to Staszek otwiera okno i zaczyna krzyczeć: – A ty faszysto jeden, twoi miliony naszych wybijali, a ty na mnie teraz będziesz trąbił! Tamten oczy coraz szerzej otwiera, coś tam pokazuje, a Staszek swoje, z coraz większą złością. Ja siedziałem koło niego, a moja żona ostatecznie nie jechała. I co się w końcu okazało? Uprzejmy Niemiec chciał tylko zaalarmować, że w Staszkowym mercedesie tylne drzwi wozu nie były zatrzaśnięte (śmiech). Innym razem z żoną wyjeżdżamy z Wiednia do Bawarii, taksówkarz ma nas odwieźć na dworzec. Przyjeżdża starszy wiekiem Austriak, a Staszek wychodzi przed dom w koszuli, bo to był koniec lata, nagle podnosi rękę w faszystowskim pozdrowieniu i zaczyna śpiewać fałszywym głosem hitlerowski hymn: Die Fahne hoch! Die Reihen fest geschlossen! (Sztandary w górę, szeregi nasze są zwarte!). To początek Horst Wesselied – hymnu hitlerowskich bojówek SA! Taksówkarza zamurowało. Patrzy na Staszka, na mnie, mówi – po niemiecku – panowie, tego nie wolno śpiewać. A Staszek – po niemiecku – mówi: mnie wolno".

FOT. ARCHIWUM

Bardzo nie chciał być lekarzem i, mimo studiów medycznych, nim nie został. Przed wojną planował naukę na politechnice, ale za Sowietów okazało się to we Lwowie niemożliwe. O karierze pisarskiej myśleć zaczął stosunkowo późno. Kiedy się już jednak na nią zdecydował, zapragnął zrobić ją naprawdę. I w gruncie rzeczy sukcesy naszych pisarzy konfrontować należy z jego osiągnięciami. Nie dostał Nobla, a być może to dopiero ta nagroda przyniosłaby mu pełną satysfakcję. Dziwnie nie doceniał tego, co miał. A na przykład w pewnych latach uchodził za najjaśniej świecącą literacką gwiazdę. Tamtejsi krytycy rozpieszczali go, edytorzy masowo wydawali (szkoda, że płacili jakby mniej ochoczo), czytelnicy kochali. A kosmonauta Konstantin Fieoktistow twierdził, że nie zainteresowałby się lotami w Kosmos, gdyby nie książki Lema. To, że w Ameryce był mniej znany i czytany raczej niepowszechnie, to już niczyja wina. Pisarz buntował się, złościł, obrażał, ale gdzieś podskórnie wyczuwał chyba, że pozostając w Galicji (jedynie zamieniając Lwów na Kraków), pozostaje, mimo pisania o innych cywilizacjach i obcych galaktykach, autorem na wskroś galicyjskim. Kiedy poczynił pierwsze kroki, by wynieść się poza te opłotki, nie mógł wytrzymać wśród Niemców. Pewnie gdyby, najlepiej jeszcze przed wojną, wyemigrował do Ameryki, całe życie potoczyłoby mu się inaczej. Czy jednak lepiej?

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de5a4573f7

Hans Frank (drugi z prawej) FOT. NAC

Książka miesiąca / W Generalnym Gubernatorstwie

Piekło akcji „Reinhardt”

Z Żydami się nie cackać – mówił 25 listopada 1939 r. generalny gubernator Hans Frank. – Co za radość, nareszcie można dobrać się do skóry rasy żydowskiej. Im więcej umiera, tym lepiej. Niech Żydzi poczują, żeśmy przyszli. Żydów będziemy uciskać wszędzie, gdzie tylko będziemy mogli”.

Ta złowieszcza przepowiednia spełniła się w sposób przerażający. W kolejnych latach Niemcy wymordowali niemal wszystkich Żydów mieszkających na terenie Generalnego Gubernatorstwa.

„Od początku okupacji Żydzi umierali ze względu na warunki, w jakich przyszło im funkcjonować – pisze dr Dariusz Libionka. – Umierali w gettach z powodu wygłodzenia, chorób i pracy ponad siły. Umierali w obozach koncentracyjnych i obozach pracy rozsianych po całym GG. Większość ofiar akcji »Reinhardt« została zamordowana w komorach gazowych”.

Spójrzmy na bilans tej ostatniej operacji:

Treblinka – 780–800 tys. ofiar,
Bełżec – 434 tys. ofiar,
Sobibór – 170–180 tys. ofiar,
Majdanek – 59 tys. ofiar.

Są to liczby kolosalne. Niewyobrażalne. Cóż za straszliwa ludzka tragedia! Trudno w to uwierzyć, ale wszyscy ci ludzie zostali eksterminowani w fabrykach śmierci zaledwie w ciągu kilku miesięcy 1942 r.

Najnowsza polska literatura Holokaustu jest niezwykle bogata. Liczne dostępne na rynku monografie dotyczą jednak wąskich zagadnień bądź są specjalistycznymi pracami skierowanymi do fachowców. Brakowało popularnego, skierowanego do szerokiego grona czytelników opracowania całego procesu Zagłady na terenie GG.

Lukę tę wypełnia książka dr. Dariusza Libionki „Zagłada Żydów w Generalnym Gubernatorstwie”. Książka jest zwięzła i konkretna, autor napisał ją w przystępny, wartki sposób. Oś narracji stanowi polityka III Rzeszy wobec Żydów.

Doktor Libionka, opierając się na najnowszych badaniach historycznych, pokazuje, że polityka ta była dynamiczna i zmienna. Radykalizowała się pod wpływem kolejnych wydarzeń wojennych. Początkowo Niemcy planowali rozwiązać „kwestię żydowską” za pomocą masowego wypędzenia, dopiero później postanowili Żydów wymordować.

Wydawałoby się, że taka książka to murowany bestseller. Powinna ona w błyskawicznym tempie znikać z księgarskich półek. Niestety, nie popisało się wydawnictwo. „Zagłada Żydów…” jest właściwie nie do dostania. Drodzy państwo, poprawcie się! ©℗

Piotr Zychowicz

DARIUSZ LIBIONKA
„ZAGŁADA ŻYDÓW W GENERALNYM GUBERNATORSTWIE”
PAŃSTWOWE MUZEUM NA MAJDANKU

eprasa.pl de5a4573f7

Pamięć Wilna

Wśród rozmówców Tadeusza Tomaszewskiego są m.in. aktorka Danuta Szaflarska, prof. Barbara Skarga, filozof prof. Hanna Świda-Ziemba, socjolog, kompozytor Romuald Twardowski. Tematem wywiadów są ich dziecięce i młodzieńcze lata spędzone w Wilnie, przed II wojną światową i podczas zmieniających się okupacji.

Wilno, miasto młodości, jest wspominane z sentymentem, jako piękne, ale zarazem prowincjonalne, zaściankowe, zaniedbane. Chlubą miasta był Uniwersytet Stefana Batorego. Barbara Skarga, która została jego studentką przed wojną, mówiła, że wrażenie robiły schody wydeptane przez poprzednie pokolenia młodzieży. Chodziła do teatru na Pohulance i na Środy Literackie u bazylianów.

Szokiem było wkroczenie Armii Czerwonej do Wilna. Józefa Hennelowa zapamiętała, że Sowietów witała tylko ludność żydowska. Z łaski Moskwy Wilno otrzymali Litwini. Zamknęli uniwersytet, który zszedł do podziemia i kontynuował nauczanie. Maria Janina Michejda brała udział w strajku szkolnym, w proteście przeciw wyrzuceniu polskich nauczycieli. Przesiedziała trzy miesiące w areszcie. We wspomnieniach pojawia się scena bójek w kościołach, gdy Litwini próbowali zakłócić polskie śpiewy. Wyrzucili polski zespół z teatru na Pohulance, w którym grała Danuta Szaflarska. Aktorka wspominała z wielkim uznaniem Hankę Ordonównę, która dawała recitale. Zachwyt nad Ordonką pojawia się w kilku innych rozmowach.

Niemiecka okupacja zapisała się masowymi egzekucjami Żydów, a także Polaków w lasach ponarskich, w których brały udział litewskie formacje. Stanisław Morelowski wspomina, że jego ojciec, prof. Marian Morelowski, uniknął rozstrzelania, gdyż miał list od niemieckiego profesora.

Rozmówcy Tadeusza Tomaszewskiego mówią o walkach o Wilno w 1944 r., z udziałem AK, i represjach wobec AK-owców.

Józefa Hennelowa podkreślała, że nie ma czarnych wspomnień z wileńskich lat, gdyż tak wiele było tego, co piękne. Romuald Twardowski pamiętał złe chwile, ale mówił, że pamięta się bardziej te dobre. Niektórzy wspominający, odnosząc się do Wilna swojej młodości z sentymentem, uważają jednak, że dzisiejsze Wilno to już nie jest ich miasto, nie identyfikują się z nim. Irena Totwen-Nowakowska mówiła, że chodzi wciąż po Wilnie, ale w swoich snach. ©℗

Tomasz Stańczyk

TADEUSZ TOMASZEWSKI
„WRACAJĄC DO WILNA"
CZYTELNIK

O wojnie po reportersku

Tysiąc stron o historii II wojny światowej. To wydaje się nieco przytłaczające. Nie w tym przypadku.

Max Hastings to nie tylko świetny historyk, lecz także korespondent wojenny z wieloletnim doświadczeniem. Dzięki temu „I rozpętało się piekło" to opowieść napisana po reportersku. W wartki i barwny sposób.

Autor – mimo że sam jest Anglikiem – nie pudruje historii na korzyść Wielkiej Brytani. Omawiając kampanię wrześniową (wymowny tytuł rozdziału: „Zdradzona Polska"), Hastings pisze jasno, że w 1939 r. Anglia i Francja „nie miały dość odwagi". ©℗ ***(p.w.)***

MAX HASTINGS
„I ROZPĘTAŁO SIĘ PIEKŁO. ŚWIAT NA WOJNIE 1939–1945"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

MAŁGORZATA RUSZKOWSKA
„WARSZAWIACY"
DWIE SIOSTRY

O WARSZAWIAKACH

Bohaterami książki dla dzieci są postacie historyczne, których działalność wiązała się z Warszawą. Migawki z ich życia oraz notki biograficzne napisane są lekko i zabawnie – tak, jak lubią dzieci. Część ilustracyjna książki to barwne kolaże, nad którymi można spędzić więcej czasu niż nad samą treścią. Do wydania dołączona jest mapa Warszawy z miejscami, o których mowa w książce. ©℗ ***(p.w.)***

MAREK A. KOPROWSKI
„LEGIONY. DROGA DO LEGENDY. PRZED WYRUSZENIEM W POLE 1906–1914"
REPLIKA

DROGA DO LEGIONÓW

Znakomicie opowiedziana, z wykorzystaniem wspomnień, historia ruchu strzeleckiego, którego najlepsi członkowie zostali wybrani przez Piłsudskiego do Pierwszej Kompanii Kadrowej. Książka zawiera także opis pierwszych bojów strzelców, a potem Legionów, w 1914 r. Kończy się zaś na brawurowym przejściu oddziału Piłsudskiego przez Ulinę Małą do Krakowa. ©℗ ***(t.s.)***

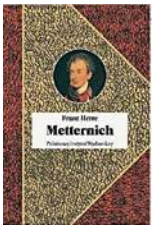

FRANZ HERRE
„METTERNICH"
PIW

UPADEK METTERNICHA

Znakomita biografia największego męża stanu w dziejach Austrii. Mało postaci odcisnęło tak znamienne piętno na swojej epoce jak kanclerz Klemens Wenzel Lothar Metternich. Znakomita biografia pióra Franza Herrego przedstawia go nie tylko jako niezwykle zręcznego polityka, lecz także konserwatystę. To opowieść o triumfie i upadku Metternicha, który w 1848 r. musiał uciekać z ojczyzny, której służył całe dorosłe życie. ©℗ ***(p.z.)***

eprasa.pl de5a4573f7

Po wybuchu bomby podłożonej przez IRA w Coventry w 1939 r. FOT. GETTY IMAGES

Hitler i Irlandczycy

Trudności Anglii są szansą dla Irlandii" – to stare powiedzenie od niepamiętnych czasów przyświecało bojownikom o niepodległość Zielonej Wyspy. W czasie I wojny światowej Irlandczycy stawiali oczywiście na zwycięstwo Niemiec i chętnie przyjmowali od kajzera każdy rodzaj pomocy. Wspólnota interesów była tu oczywista. Efektem tej współpracy był choćby rejs statku SS „Libau", który 9 kwietnia 1916 r. wyruszył do Irlandii z ładunkiem 20 tys. karabinów i ponad miliona sztuk amunicji. Broni nie udało się jednak dostarczyć w porę na wybuch powstania wielkanocnego – Brytyjczycy osaczyli Niemców i ci musieli zatopić swoją jednostkę. Irlandczycy bardzo odczuli w czasie powstania brak niemieckiego uzbrojenia.

Wielka Brytania uznała wprawdzie w 1921 r. niepodległość Irlandii, ale IRA – powstała dwa lata wcześniej – nie przestawała walczyć o przyłączenie do państwa północnych hrabstw Zielonej Wyspy. Irlandzcy bojownicy, widząc słabość Republiki Weimarskiej, postanowili szukać pomocy u… Stalina. Kurierzy tej organizacji jeździli do Moskwy, a przywództwo organizacji rozpoczęło nawet rozmowy na temat tworzenia w Sowietach obozów treningowych IRA. Co ciekawe, gdy tylko Londyn dowiedział się o tych konszachtach, Stalin momentalnie zerwał kontakty z IRA.

Książka Radosława Golca opisuje pokrótce całe to tło, ale najważniejszy jest w tej opowieści oczywiście okres po przejęciu władzy przez NSDAP. Co ciekawe, Hitler aż do 1939 r. zabraniał Abwehrze jakichkolwiek kontaktów z IRA, licząc na dogadanie się z Wielką Brytanią. Gdy jednak na początku 1939 r. jasne stało się, że konflikt z Londynem to tylko kwestia czasu, Hitler zapalił zielone światło do zawiązania sojuszu z IRA. Niemcy zbudowali na wyspie szpiegowską siatkę, Irlandzcy bojownicy we współpracy z nimi przeprowadzali akcje dywersyjne przeciw Brytyjczykom, a następnie pomagali Luftwaffe przeprowadzać naloty na strategicznie ważne miejsca w Ulsterze. Ostatecznie jednak współpraca z Hitlerem nie okazała się trwała. Nie wszystkim w IRA podobał się nazizm, natomiast niemiecki wywiad okazał się na tym odcinku skrajną niekompetencją. ©℗

Piotr Włoczyk

RADOSŁAW GOLEC
„IRA HITLERA. PAKT TRZECIA RZESZA – IRLANDZKA ARMIA REPUBLIKAŃSKA"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Dziesięciu żołnierzy niepodległości

W życiorysach 10 „żołnierzy niepodległości" dwa nazwiska mogą wzbudzić zdziwienie części czytelników: Michała Roli-Żymierskiego i Władysława Broniewskiego. A jednak sowiecki agent i komunistyczny marszałek oraz rewolucyjny poeta, autor „Słowa o Stalinie", byli w młodości dzielnymi, odważnymi uczestnikami walk o niepodległość i granice Rzeczypospolitej.

Rola-Żymierski należał do Polskich Drużyn Strzeleckich. Znalazł się w pierwszej grupie żołnierzy legionowego 1. Pułku Piechoty, awansowanych jesienią 1914 r. przez Piłsudskiego na stopień oficerski. Brawurowo dowodził batalionem w boju pod Laskami, brał udział w przedarciu się II Brygady przez front i w bitwie pod Kaniowem.

Broniewski, jako 17-latek, wstąpił do Legionów. Podczas wojny z bolszewicką Rosją należał do najdzielniejszych oficerów 1. Pułku Piechoty Legionów i został odznaczony Orderem Virtuti Militari. Należał wówczas do zwolenników Józefa Piłsudskiego. W swoim dzienniku pisał: „Trzeba tu ręki Komendanta, człowieka, któremu prawie zupełnie mogę zaufać".

Świetnie się stało, że autor zamieścił sylwetkę Stanisława Rembeka. To wciąż mało znana postać. Był zaledwie prostym kanonierem, ale jego obserwacje z frontu stały się kanwą dwóch znakomitych, wybitnych powieści o wojnie polsko-bolszewickiej – „Nagan" oraz „W polu" – ukazujących jej grozę i okrucieństwo. Nie mogły się ukazać w Polsce Ludowej. ©℗

Tomasz Stańczyk

PIOTR NEHRING
„ZAPOMNIANI ŻOŁNIERZE NIEPODLEGŁOŚCI"
EDITIO HISTORIA

eprasa.pl de5a4573f7

Bieszczady w ogniu

Dla wszystkich zainteresowanych historią konfliktu polsko-ukraińskiego, jaki rozgrywał się na terenie Bieszczad w latach 1944–1947, wydawnictwo Libra z Rzeszowa przygotowało niezwykły prezent. Książka pracownika wrocławskiego Oddziału IPN ma z pewnością charakter unikatowy, i to ze względu zarówno na zakres badawczy, jak i sposób ujęcia problematyki. Dla autora publikacji punktem odniesienia były nie tyle formacje militarne zwarte w śmiertelnych zapasach, ile zwykli ludzie, mieszkańcy powiatu leskiego, którzy znaleźli się w wirze toczącego się konfliktu i ginęli w walce albo byli mordowani przez wszystkie strony biorące w nim udział.

JAROSŁAW SYRNYK
„TRÓJKĄT BIESZCZADZKI. TYSIĄC DNI I TYSIĄC NOCY ANARCHII W POWIECIE LESKIM (1944–1947)
LIBRA

Doktor Jarosław Syrnyk detalicznie, jakby w ramach swoistego tragicznego kalendarium, opisuje zasadzki, bitwy, likwidacje, zbrodnie, do jakich dochodziło na terenie powiatu leskiego. W katalogu prezentowanych wydarzeń znaczące miejsce autor poświęcił dokonanej przez Ukraińską Powstańczą Armię masakrze w Baligrodzie. Decyzję o zajęciu miasta i dokonaniu tam egzekucji Polaków podjął referent wojskowy OUN-B na tamtym terenie Wasyl Cebeniak „Bohdan", natomiast listę osób przeznaczonych do likwidacji opracował miejscowy prowydnyk OUN-B Wołodymyr Kit „Postrił". 6 sierpnia 1944 r. do Baligrodu wkroczyły znajdujące się trakcie formowania sotnie UPA pod dowództwem Wołodymyra Szczygielskiego „Burłaki" i Lazara Czarneckiego „Łysa". Partyzanci ukraińscy po dokonaniu selekcji rozstrzelali 40 mężczyzn. Według sugestii autora książki pewna liczba spośród zamordowanych mogła mieć związek z wcześniejszą o dwa dni masakrą w Stężnicy, jakiej dopuścił się na 22 Ukraińcach sowiecki oddział partyzancki Wiaczesława Kwityńskiego.

Nie tylko Polacy, lecz także Ukraińcy padali ofiarą podobnych akcji. Do tego rodzaju działań należy zakwalifikować wydarzenia, jakie rozegrały się w miejscowości Terka. 29 maja 1946 r. żołnierze LWP zabili w niej dwóch ukraińskich mieszkańców – Michała Drozda i Dymitra Kornasa. W odwecie w nocy z 4 na 5 lipca pododdział UPA uprowadził ze wsi pięciu mężczyzn. Czterech z nich zostało zabitych. Po dwóch dniach do Terki przybyła grupa pacyfikacyjna z 34. Pułku Piechoty wchodzącego w skład 8. Dywizji Piechoty. Żołnierze dokonali aresztowań Ukraińców, których zabrano początkowo do Wołkowyi. Stamtąd pod eskortą wrócili oni z powrotem do wsi. Z grona zatrzymanych 21 osób umieszczono w jednym z domów znajdujących się na opłotkach wsi, gdzie – jak czytamy w sprawozdaniu referenta politycznego OUN-B Nadrejonu Beskyd Stefana Golasza „Mara": „Wopiści zapędzili wszystkich do chałupy, posadzili na ziemię, po czym strzelali do nich z automatu i rzucali granatami. Potem podpalili chatę i spalili wszystkich, chociaż niektórzy jeszcze żyli". Wśród 32 osób, które 8 lipca 1946 r. zginęły w Terce, znajdowało się czworo dzieci w wieku od siedmiu miesięcy do sześciu lat, resztę stanowiły kobiety oraz pięciu starszych mężczyzn (poza jednym głuchoniemym w wieku 27 lat pozostali mieli ponad 50 lat). W sumie w latach 1944–1947 na terenie powiatu leskiego życie straciło 1,4 tys. osób. Aż dwie trzecie z nich było cywilami. ©℗

Arkadiusz Karbowiak

Polacy kontra Luftwaffe

Do kin trafiły dwa filmy o Dywizjonie 303. Wywołało to oczywiście wzrost zainteresowania opinii publicznej dokonaniami tej formacji. W efekcie na naszym rynku wydawniczym odnotowaliśmy wysyp publikacji poświęconych dzielnym polskim lotnikom.

Najmocniejszego asa w rękawie miało krakowskie Wydawnictwo Literackie, które wznowiło „Orły nad Europą" Adama Zamoyskiego. To najlepsza popularnonaukowa książka o polskich lotnikach walczących u boku aliantów podczas II wojny światowej.

Zamoyski oddaje należny hołd bohaterom, ale książka – co odróżnia ją od sporej części naszej literatury historycznej – nie jest przesłodzona ani przeładowana patosem. To napisana z biglem opowieść o niepokornych chłopakach, którzy w powietrzu toczyli zacięte pojedynki z Luftwaffe. A na ziemi nie zawsze stanowili przykład do naśladowania.

Oprócz walk stoczonych przez polskich pilotów myśliwskich w książce znalazło się również miejsce na mniej znane sprawy. Między innymi misje wykonane przez dywizjony naszych bombowców.

Adam Zamoyski opisuje nie tylko triumfy polskich lotników, lecz także gorzkie zakończenie ich walki. Tytuł ostatniego rozdziału mówi sam za siebie – „Zbędni ludzie". Jeżeli chcą państwo przeczytać jedną książkę o „rycerzach biało-czerwonej szachownicy", to przeczytajcie państwo „Orły nad Europą". ©℗

Piotr Zychowicz

ADAM ZAMOYSKI
„ORŁY NAD EUROPĄ"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

eprasa.pl de5a4573f7

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Chłostanie wieszczem

Legenda o żydowskim pochodzeniu Adama Mickiewicza należy do „niedementowalnych", tak jak „cztery tysiące Żydów nie przyszło feralnego dnia do WTC" albo „ksiądz Rydzyk jeździ maybachem". W istocie nie ma żadnego powodu, by tak uważać, poza tym, że jest bardzo wielu ludzi, którym to bardzo pasuje.

Wszystko tak naprawdę opiera się na jednym zdaniu: „Z matki obcej". Tak ks. Piotr mówi w scenie widzenia o przyszłym zbawcy narodu, o imieniu czy raczej kryptonimie Czterdzieści i Cztery. Ponieważ interpretatorzy przypisali Mickiewiczowi, że pisząc o „Czterdzieści i Cztery", miał na myśli samego siebie (sam poeta nigdy tego nie potwierdził; pytany o tę postać odpowiadał, że pisał w wieszczym natchnieniu i teraz już nie może sobie przypomnieć, o kogo chodziło), trzeba było a posteriori uznać jego matkę za „obcą". Tak pojawiło się domniemanie, że pani Barbara z Majewskich Mickiewiczowa „mogła" pochodzić z rodziny żydowskiej. Co prawda nie wskazywał na to żaden dokument i mimo że jej ojca znaleziono w księgach parafialnych, inni przodkowie zginęli w pomroce dziejów. Poza tym filosemici zastosowali ten sam chwyt, który w takich sytuacjach (to znaczy, gdy ktoś z ich punktu widzenia powinien być Żydem, bo tak im pasuje, a nie mają żadnych „twardych" przesłanek) stosują antysemici, i uznali, że papiery papierami, a przecież pan Majewski czy jego żona mogli zmienić nazwisko.

Zupełnie już karkołomne jest skojarzenie matki Mickiewicza z sektą frankistów i pisanie, że „mogła" z niej pochodzić. Mogła też być prawnuczką indiańskiej księżniczki i hiszpańskiego konkwistadora, zagubioną przypadkiem na kresach Rzeczypospolitej – i to drugie wydaje się bardziej prawdopodobne. Historia Jakuba Franka i jego wyznawców została bardzo zmitologizowana na potrzeby inteligenckiego filosemityzmu, bardzo pięknie skodyfikowała te mity Olga Tokarczuk, ale prawda jest inna.

Frankiści bynajmniej nie chcieli porzucać swej żydowskiej tożsamości ani stawać się chrześcijanami, jak im się to przypisuje – a to byłby warunek, by taka wychrzczona postżydówka osiadła jako żona ekonoma na zapadłej wsi pod Nowogródkiem (nawiasem mówiąc, ruch frankistów rozwinął się w diecezji kamienieckiej, ładny kawałek od rodzinnych stron wieszcza). Jakub Frank uważał się za oczekiwanego przez Żydów Mesjasza. Ponieważ w systemie prawnym dawnej Rzeczypospolitej jako Żyd podlegał prawu żydowskiemu, i mógł on sam oraz każdy z jego uczniów za takie bluźnierstwo ponieść surową karę, zarejestrował swą sektę jako katolików dla bezpieczeństwa – co w końcu, skoro Mesjasz (on, znaczy się) już przybył i miał się wkrótce światu objawić, było tylko formalnością. Na fałszywości tej konwersji szybko poznali się polscy duchowni, ale bajka o staropolskim multi-kulti okazała się tak przydatna, że dokumenty ani fakty nikogo w tej sprawie nie obchodzą.

Mickiewicz był zafascynowany kulturą żydowską, jako przekonany demokrata i reformator walczył o równouprawnienie Żydów i włączenie ich w polską „sprawę narodową", ale do tego żydowskie pochodzenie było mu zupełnie niepotrzebne. Potrzebne było późniejszym pokoleniom postępowców, by nim chłostać znienawidzonego Polaka-katolika. Analogicznie jak od pewnego czasu równie zmyślone, zupełnie już absurdalnie rzekome lesbijstwo matki ośmiorga dzieci Marii Konopnickiej – o tej to „modnej bzdurze" pisałem pewien czas temu. ©℗

/ Historia Jakuba Franka i jego wyznawców **została bardzo zmitologizowana na potrzeby inteligenckiego filosemityzmu,** bardzo pięknie skodyfikowała te mity Olga Tokarczuk, ale prawda jest inna

eprasa.pl de5a4573f7

Piotr Semka

/ Felieton

Nuda tropików

Na polskie ekrany wszedł niepospolitej urody argentyński film „Zama". Radzę szybko iść do kina, bez zwlekania, bo takie studyjne, niekomercyjne dzieła znikają z ekranów szybko.

Nazwa filmu pochodzi od nazwiska hiszpańskiego szlachcica, urzędnika Korony – Diego de Zamy. Utknął on w końcu XVII w. w jakimś zapadłym ośrodku władzy kolonialnej Wicekrólestwa La Plata na terenie ziem dzisiejszej Argentyny.

Zama po wielu latach przykładnej służby urzędnika sądu zaczyna składać zwierzchnikom pisma z prośbą o zgodę na powrót do rodzinnej Hiszpanii. Kolejni gubernatorzy zwodzą go zapewnieniami, że odpowiedni list do Madrytu wyślą lada moment – musi jeszcze tylko zrobić to i tamto. W końcu w nadziei, że jest to przepustka do kraju, Zama godzi się napisać raport o republikańskich poglądach swego podwładnego, który snuje rozważania, że mieszkańcy Ameryki Południowej winni rządzić się sami bez poddaństwa w stosunku do odległej Hiszpanii.

Gdy już Zama ubabrał się donosem, kolejny gubernator informuje, że mimo wszystko trzeba jeszcze poczekać parę lat, chyba że szlachcic weźmie udział w wyprawie do dżungli w celu schwytania miejscowego rabusia. Nie zdradzę państwu gorzkiego finału filmu. To, co najbardziej ujęło mnie w filmie, to perfekcyjne oddanie nudy wieloletniej służby kolonialnej. Nad rzeką Paraną, gdzie mieści się siedziba gubernatora, nic się nie dzieje. Dni są do siebie podobne. Jedyną rozrywką jest parę miejscowych dam, które w rokokowych perukach odtwarzają madryckie obyczaje towarzyskie. Gubernator jest brutalem i prostakiem. Pozostaje seks z miejscową Indianką.

Reżyserka filmu, Lucrecia Martel, doskonale oddała fatalizm losu setek tysięcy ludzi, którzy reprezentowali w koloniach władze w Madrycie, Lizbonie, Londynie czy Paryżu. Gorzkniejąc i starzejąc się w zapomnianych zakątkach globu. Iluż ich było? W Kalkucie oglądałem kolekcję setek akwarel, które pomagały zabijać nudę brytyjskim oficerom w różnych zakątkach Indii. Ich dziełka uwieczniły starożytne świątynie, niekiedy dawno już zniszczone trzęsieniami ziemi i powodziami.

> **Nuda dręczyła francuskich oficerów w fortach na Saharze. Pchała do szaleństwa włoskich wojskowych w odległych posterunkach Libii i Abisynii**

Nuda dręczyła francuskich oficerów w fortach na Saharze. Pchała do szaleństwa włoskich wojskowych w odległych posterunkach Libii i Abisynii, co doskonale opisał Dino Buzzati w „Pustyni Tatarów". Kolonialny spleen wyziera z wielu powieści Josepha Conrada. Potwornie nudził się niegdysiejszy poeta Artur Rimbaud, gdy prowadził żywot handlarza bronią w XIX-wiecznej Abisynii. Tak samo wspominał lata ostatniej wojny w roli gubernatora Bahamów – zmuszony w 1937 r. do abdykacji – król Edward VIII Windsor.

A co mieli powiedzieć o swoim losie jurni francuscy porucznicy zsyłani do najdalszych fortów Gujany w zemście zwierzchników za romanse z żonami generałów? Marli jak muchy w malarycznym klimacie wybrzeży rzeki Maroni.

Dzisiaj nuda dręczy polskich pracowników cywilnych w naszych wojskowych bazach w Afganistanie, a wcześniej w Iraku. Nigdzie nie można się ruszyć bez uzbrojonego konwoju, a w „campie" upał zagania do kontenerów mieszkalnych, gdzie pozostają wideo i telewizja satelitarna. Dopada naszych dyplomatów na placówkach w Afryce i Azji. Nudzą się polscy marynarze na całkowicie skomputeryzowanych statkach, gdzie załoga składa się z różnych nacji i każdy spędza czas poza wachtą w swojej kabinie. Nudzą się samotni przedstawiciele polskich firm w Kazachstanie, Hanoi i w Chinach.

Pomnik tej nudzie wystawiła reżyserka z Argentyny. I chwała jej za to. ©℗

eprasa.pl de5a4573f7

Tomasz Stańczyk

Galicja / 1879–1900

Wzlot i upadek króla nafty

Stanisław Szczepanowski przyczynił się wybitnie do rozwoju przemysłu naftowego, ale ostatecznie stał się bankrutem

Stanisław Szczepanowski
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Urodził się w Kościanie w 1846 r. w Wielkopolsce, do gimnazjum chodził w Chełmnie na Pomorzu, natomiast swoje dorosłe życie związał z Galicją. Stamtąd musiał uciekać w 1837 r. jego ojciec, działacz Stowarzyszenia Ludu Polskiego i Konfederacji Powszechnej Narodu Polskiego, zagrożony aresztowaniem.

Stanisław Szczepanowski studiował w Wiedniu chemię i wówczas zawarł znajomość, ważną dla jego przyszłości, z Robertem Biedermannem z bankierskiej rodziny. W 1867 r. wyjechał na Zachód i przebywał tam ponad 10 lat. Studiował w Paryżu i Londynie chemię, technologię chemiczną i ekonomię. Miał 24 lata, gdy został sekretarzem kierownika handlu i przemysłu w brytyjskim ministerstwie do spraw Indii. Tworzył plany rozwoju ekonomicznego tej angielskiej kolonii, proponując m.in. nawadnianie pól i budowę linii kolejowych oraz kreśląc prognozy rozwoju gospodarczego. Otwierała się przed nim obiecująca kariera. W 1877 r. otrzymał brytyjskie obywatelstwo. Gdy jednak został zaproszony przez księcia Walii, przyszłego króla Edwarda VII, do towarzyszenia mu w podróży do Indii, odmówił.

Postanowił bowiem wrócić do kraju. Widząc gospodarcze zacofanie Indii, zapewne nie mógł nie myśleć o tym, że w podobnej sytuacji znajduje się też Galicja. I to zadecydowało o jego decyzji, podjętej w 1879 r.

Stefan Kieniewicz w książce „Dramat trzeźwych entuzjastów" pisał o Szczepanowskim: „Wysoki, szczupły, lecz dobrze zbudowany, zahartowany fizycznie, przystojny blondyn o niebie-

eprasa.pl de5a4573f7

skich oczach, z pięknym wąsem i bujną fryzurą, zwracał uwagę każdego grona, w którym się znalazł".

Garnce, baryłki, wagony

Szansę dla Galicji upatrywał Szczepanowski w przemyśle naftowym. Jego pionierem był Ignacy Łukasiewicz, wynalazca lampy naftowej, twórca pierwszej kopalni ropy naftowej w Bóbrce. Szczepanowski, przygotowując się do swojej pracy w przemyśle naftowym, postanowił uzupełnić swoje wykształcenie, zapisując się na studia geologiczne w Wiedniu.

Stanisław Brzozowski w „Historii polskiego przemysłu naftowego" pisał o Szczepanowskim: „Mitem jest jednakże przekaz, jakoby [...] z młotkiem w ręku badał przez cały rok – pieszo – wychodne odpowiednich pokładów ropnych od Gorlic po Słobodę, bo ani to nie było możliwe, ani celowe".

Brzozowski sądził, że być może to Mikołaj Fedorowicz, jeden z najstarszych pionierów naftowych w rejonie gorlickim, zwrócił Szczepanowskiemu uwagę na Słobodę Rungurską, w której już w XVIII w. istniała studnia, z jakiej wydobywano ropę, a także rekomendował mu do pracy swoich kierowników.

Szczepanowski wydzierżawił w 1880 r. pole i las w Słobodzie oraz zaczął wiercenia. Po dwóch latach trysnęła wielka ropa, a Słoboda stała się największą kopalnią w Galicji. Ten błyskotliwy sukces był możliwy także dzięki temu, że Szczepanowski uzyskał pożyczkę na inwestycje od znajomego z wiedeńskich czasów – Biedermanna. Do przerobu wydobytej ropy wybudował w 1883 r. połączoną ze Słobodą kilkunastokilometrowym rurociągiem rafinerię w Peczeniżynie, największą w Galicji, jedną z trzech w Austro-Węgrzech, obok rafinerii w Budapeszcie i Rijece.

Władysław Długosz, przedsiębiorca naftowy, pisał: „Zanim Szczepanowski odkrył Słobodę Rungurską, mierzyło się ropę na garnce, od czasu Słobody liczyliśmy produkcję na baryłki, od czasu zaś, gdy Szczepanowski odkrył Schodnicę, liczy się już tylko na wagony".

Od 1888 r. Szczepanowski robił odwierty w Schodnicy i natrafił na bardzo obfite złoża. Na części terenów działała też spółka kuzynów jego żony – Władysława Wolskiego i Kazimierza Odrzywolskiego, którzy zaczynali swą karierę przy Szczepanowskim. Jak pisał Brzozowski: „Schodnica stała się na krótki czas czysto polskim zagłębiem naftowym, w przeciwieństwie do już międzynarodowego Borysławia". Szczepanowski zaś nie ukrywał, że zamierzał konkurować z niemiecko-żydowskim kapitałem.

Leszek Kuberski, biograf Szczepanowskiego, stwierdzał: „Pionierska działalność Szczepanowskiego, na skalę wielkoprzemysłową, torowała drogę przedsiębiorczości, pracowitości i fachowości tworzącej się grupie ludzi interesu. Przełamywała wreszcie barierę wszelkiej niemożności i wskazywała drogę do wyjścia z marazmu".

Szczepanowski był zaprzeczeniem drapieżnego kapitalisty. Dbał o pracowników, stawiał dla nich domy, powołał bractwo wzajemnej pomocy, założył czytelnię ludową, sklep spółdzielczy, wybudował szkołę w Peczeniżynie. Jednocześnie był krytykiem idei socjalistycznych, zwolennikiem solidaryzmu.

Niektórzy uważali go za dziwaka. Jerzy Chromik w książce „Stanisław Szczepanowski. Życie i działalność" pisał: „Dziwakiem w ich pojęciu jest człowiek, który mogąc pić same szampany i drogie likiery, pija herbatę i mleko, który mogąc jeździć powozem zaprzężonym w czwórkę koni, chodzi pieszo, który zamiast dymu najdroższych cygar woli zaczerpnąć świeżego, górskiego powietrza".

Przemyt i szwindle

Szczepanowski walczył o warunki dla rozwoju przemysłu naftowego w Galicji, krępowanego niekorzystnymi taryfami przewozowymi i preferencyjnymi stawkami dla importowanej ropy naftowej. W galicyjski przemysł naftowy godził przemyt nafty. Sprowadzana z zagranicy rzekoma ropa naftowa była w istocie mieszaniną, w której było 85 proc. nafty, zabarwioną smołą.

Szyby naftowe w Schodnicy

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Stosunkowo łatwo i tanio można było ją oddzielić. Taryfa celna dla importowanej nafty była 10-krotnie wyższa niż dla ropy naftowej. A i ta na ropę sprowadzaną z Kaukazu była niska, bo – jak pisał Stefan Kieniewicz – zadbali o to Rotszyldowie, którzy mieli rafinerię w Rijece. „Ten właśnie szwindel wydobył na światło dzienne Szczepanowski dzięki życzliwemu poparciu znanych sobie powag naukowych z Instytutu Geologicznego w Wiedniu".

Szczepanowski uznał, że obrona interesów galicyjskiego przemysłu naftowego, a także szersze plany pobudzenia gospodarki galicyjskiej wymagają jego obecności w Wiedniu. Dlatego kandydował na posła do Rady Państwa i uzyskał mandat.

W 1888 r. wydał głośną publicystyczną książkę pt. „Nędza Galicji w cyfrach

eprasa.pl de5a4573f7

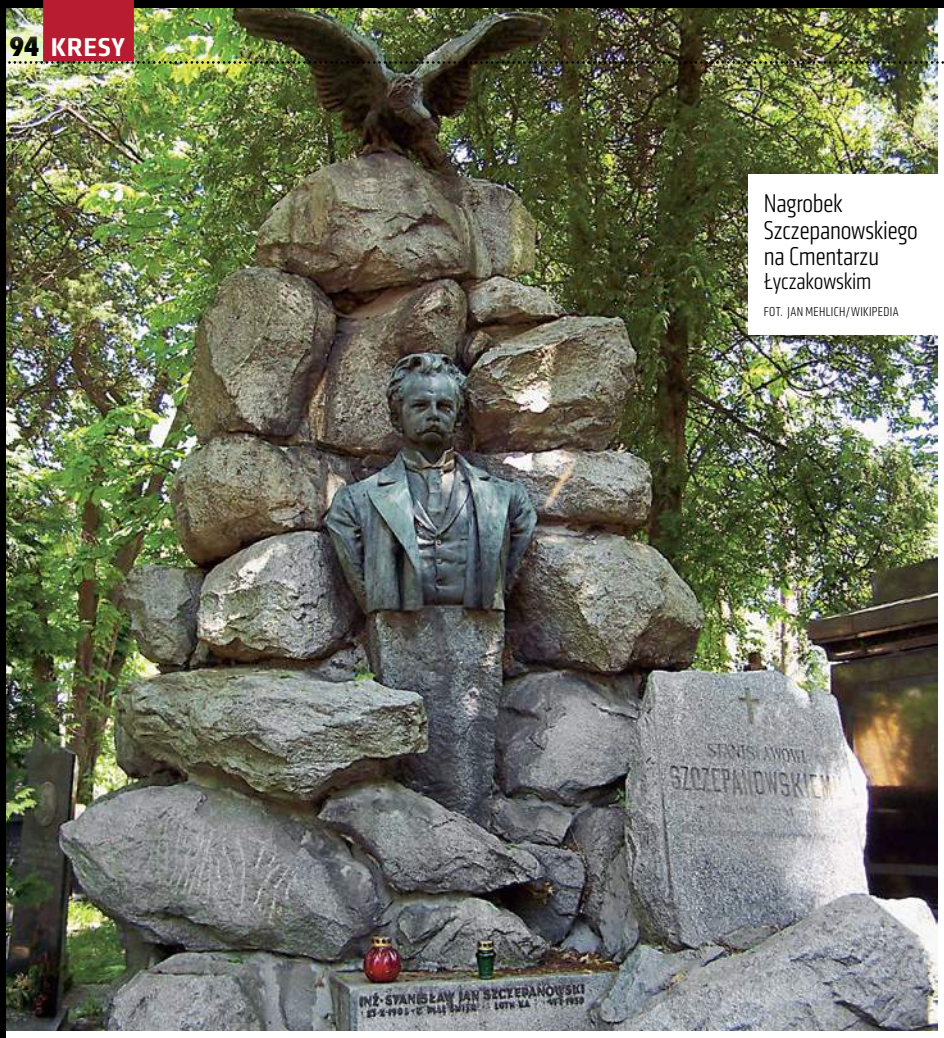

Nagrobek Szczepanowskiego na Cmentarzu Łyczakowskim

FOT. JAN MEHLICH/WIKIPEDIA

i program energicznego rozwoju gospodarstwa krajowego". Szokował informacją, że z niedożywienia, a nawet głodu umiera w Galicji rocznie 50 tys. ludzi. Pisał, że mieszkaniec Galicji pracuje za ćwierć, a je za pół człowieka. Wyjście z zapaści widział w inwestycjach w rolnictwo, przemysł, handel i w odrodzeniu moralnym Polaków, którzy powinni wziąć się do pracy, a ich wzorem powinni być Staszic, Czacki i Lubecki.

Jednak jego zaangażowanie się w działalność parlamentarną i publicystyczną (pisał m.in. o podatku gorzelnianym i kolejnictwie) sprawiło, że znacznie mniej czasu poświęcał swoim przedsiębiorstwom. Na skutek nieprecyzyjnych umów i machinacji wspólników stracił udziały w kopalniach w Słobodzie i rafinerii w Peczeniżynie, którą przejął bank Biedermannów. To był jednak dopiero początek jego kłopotów.

Pętla zadłużenia

Szczepanowski finansował swoje inwestycje w dużej mierze z kredytów udzielanych przez Galicyjską Kasę Oszczędności. Jej dyrektor Franciszek Zima, którego poznał w Londynie, był entuzjastą Szczepanowskiego i jego programu gospodarczego rozwoju Galicji, toteż chętnie pożyczał pieniądze. Szczepanowski przeliczył się jednak, za dużo inwestował i za bardzo uwierzył w swoje szczęście. Leszek Kuberski oceniał: „Zmniejszyła się przez to jego skłonność do kalkulowania kosztów przyszłych inwestycji, nie zrażał się też kłopotami wynikającymi ze słabej kondycji niektórych firm. Uważał, że trudności mają charakter przejściowy. Ponadto, jak stwierdzał, w każdej dziedzinie aktywności zawodowej za pionierską działalność trzeba zapłacić błędami, które nieraz mogą prowadzić do strat".

Pragnąc zdobyć pieniądze na spłatę kredytów, Szczepanowski zainwestował w wydobycie węgla brunatnego w powiecie kołomyjskim. To przedsięwzięcie, finansowane także za pomocą kredytów z Galicyjskiej Kasy Oszczędności, było nietrafione i tylko powiększyło długi. Dyrektor Zima nalegał na ich spłatę. Przyciśnięty do muru Szczepanowski sprzedał w 1894 r. swoje szyby naftowe w Schodnicy za 1 mln złotych reńskich, ale z powodu źle skonstruowanej umowy dostał niewiele więcej niż połowę tej sumy, co nie wystarczało na spłatę długów. Ogromny pech Szczepanowskiego polegał na tym, że już w następnym roku dokonano nowych odwiertów w Schodnicy, z których obficie wypływała ropa. Wartość kopalni, sprzedanej za 1 mln złotych reńskich, wzrosła do 15 mln! Ta kwota przekraczała kilkakrotnie ówczesny dług Szczepanowskiego. Zima oskarżał się potem, że wymuszając sprzedaż Schodnicy, przyczynił się do przedwczesnej śmierci Szczepanowskiego, który zaczął chorować na serce.

Kredyty Szczepanowskiego wobec Galicyjskiej Kasy Oszczędności pozostawały niespłacone. Zima, nie chcąc doprowadzić do bankructwa Szczepanowskiego, tworzył fikcyjne konta, które obciążał częścią jego zadłużenia, by ukryć w ten sposób narastające i bardzo wysokie należności przedsiębiorcy.

Sytuację zadłużonego Szczepanowskiego, któremu groziło bankructwo, ratowali Wacław Wolski i Kazimierz Odrzywolski, początkowo dając poręczenie na sumę 500 tys. złotych reńskich, potem, gdy prawda wyjdzie na jaw, na 5 mln (taka była wysokość długu Szczepanowskiego), zastawiając swój majątek.

Leszek Kuberski pisał: „Udzielając po latach swych gwarancji, nie kierowali się sentymentami rodzinnymi ani osobistymi; nie chodziło im również o spłacenie długu wdzięczności wobec pierwszego pracodawcy. Czynili tak ze względu na dobro publiczne. Uznali bowiem, że ogłoszenie wniosku o upadłość zakładów wydobywczych Szczepanowskiego, zadłużonych w Kasie, mogło narazić tę instytucję na utratę płynności finansowej z powodu sprzedaży ich za bezcen oraz doprowadzić do przejęcia nielicznych już przedsiębiorstw naftowych z rąk polskich przez zagraniczny kapitał, czego obawiano się najbardziej".

Kontrola w Galicyjskiej Kasie Oszczędności w końcu 1898 r. ujawniła wielkość długu Szczepanowskiego i to, że wystawione przez niego weksle nie mają żadnego pokrycia. Niewiele brakowało, by GKO przestała istnieć. W styczniu 1899 r. właściciele oszczędności zażądali ich zwrotu. „Machinacje Zimy nadwyrężyły kapitał obrotowy Kasy i podcięły jej kredyt w kołach finansowych" – pisał Kieniewicz. Interweniować musiały władze Galicji, zapewniając bezpieczeństwo wkładów.

eprasa.pl de5a4573f7

Dyrektor Zima został aresztowany. Zmarł po kilku miesiącach w celi. Plotkowano wówczas, że nie była to śmierć naturalna.

Na ławie oskarżonych w procesie o oszustwa i sprzeniewierzenia zasiedli m.in. księgowy Galicyjskiej Kasy Oszczędności i kochanka Zimy, wiejska dziewczyna, która stała się właścicielką kamienicy we Lwowie. Szczepanowski chory na serce odpowiadał z wolnej stopy. Był oskarżony o to, że skłonił Zimę do fałszowania rachunków bankowych. Szczepanowski obwiniał się o brak nadzoru nad swoimi przedsiębiorstwami, nawet o nieudolność, przyznawał, że był świadomy stanu swego zadłużenia, ale gorąco zaprzeczał, by brał udział w machinacjach dyrektora Zimy. Został uniewinniony, a dług jego spłacili Wolski i Odrzywolski.

Szczepanowski zmarł niedługo po procesie, w 1900 r., podczas kuracji w Austrii. Dwa lata później, staraniem Krajowego Towarzystwa Naftowego, sprowadzono jego prochy do Lwowa i pochowano na Cmentarzu Łyczakowskim.

Stanisław Brzozowski pisał, że Ignacy Łukasiewicz zainicjował polski przemysł naftowy i cieszył się jego stopniowym, choć skromnym rozwojem, natomiast Stanisław Szczepanowski „zabłysnął na galicyjskim firmamencie jak meteor, nadał polskiemu przemysłowi naftowemu europejski rozmach”. ©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

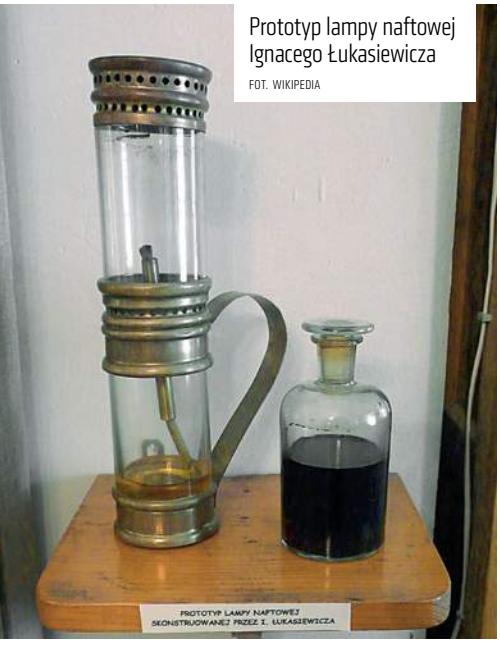

Prototyp lampy naftowej Ignacego Łukasiewicza

FOT. WIKIPEDIA

Galicja w roku 1848

Tomasz Stańczyk

Wydarzenia 1848 r. na ziemiach polskich mają pecha. Znalazły się bowiem w cieniu powstań narodowych: kościuszkowskiego, listopadowego i styczniowego, a 170 lat temu krew też się lała, choć nie tak obficie.

A przecież na fali europejskiej Wiosny Ludów w zaborze pruskim i austriackim głośno wybrzmiały dążenia Polaków do niepodległości, a przynajmniej do swobody rozwoju narodowego. W Wielkopolsce powstał Komitet Narodowy żądający wyodrębnienia tej dzielnicy z Prus. Doszło też do walk powstańczych z wojskami pruskimi.

W Galicji działacze demokratyczni, z Franciszkiem Smolką i Florianem Ziemiałkowskim na czele, ułożyli we Lwowie adres do cesarza, podpisany przez 12 tys. lwowian. Domagali się zwołania sejmu, wolności słowa, spolszczenia szkół i urzędów. We Lwowie powstała w kwietniu 1848 r. Rada Narodowa, która wzywała do zniesienia pańszczyzny. Gubernator kraju, Franz Stadion, nie czekając na decyzję Wiednia, ogłosił koniec tej zależności chłopów. Liczył, że zjedna ich tym i przeciwstawi polskiemu ruchowi narodowemu. Zaledwie dwa lata wcześniej chłopi dali się przecież wykorzystać do stłumienia powstania, atakując dwory i mordując ich mieszkańców. Zwalczając polski ruch narodowy, Stadion zainspirował Rusinów (tak wówczas powszechnie nazywano Ukraińców), skupionych wokół duchownych greckokatolickich, do wysłania adresu do cesarza. Skarżyli się w nim na ucisk ze strony Polaków i żądali podziału Galicji na część ukraińską i polską. Pogłębiający się od tego roku konflikt między Ukraińcami a Polakami znalazł finał 70 lat później w polsko-ukraińskiej wojnie o Lwów i Galicję Wschodnią.

1 listopada 1848 r. doszło we Lwowie do starć między polską Gwardią Narodową a wojskiem austriackim. Komendant miejscowego garnizonu rozkazał użyć dział przeciw zrewoltowanemu miastu. Zginęło około stu ludzi, spłonęły ratusz i biblioteka uniwersytecka.

Wybitny historyk Stefan Kieniewicz pisał, że rok 1848 był niezwykle ważny dla Galicji. Zniesiona została pańszczyzna, a po latach martwoty i zastoju przez kilka miesięcy Polacy mieli wreszcie możność zrzeszania się – we Lwowie, a także w Krakowie powstało kilkanaście polskich stowarzyszeń – swobodnej wymiany myśli i krótkiej co prawda praktyki parlamentarnej (Smolka został przewodniczącym parlamentu, rozwiązanego w 1849 r.).

Pierwszy raz też Polak – Wacław Zaleski – został gubernatorem Galicji. Na autonomię Polacy musieli czekać jednak jeszcze 20 lat. ©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de5a4573f7

Tymoteusz Pawłowski

W 1969 r. pojawił się zegarek, który całkowicie zmienił sytuację na rynku. Dla Japończyków zaczął się czas wielkiej prosperity, a Szwajcarzy wpadli w potężne kłopoty

1969 r. / Szwajcarzy się spóźnili...

Kwarcowa rewolucja

Pierwsze zegarki mechaniczne pojawiły się na przełomie średniowiecza i renesansu. W XIV w. zegary wieżowe były już niemal w każdym liczącym się europejskim mieście, a w XVI stuleciu dostępne stały się zegarki kieszonkowe. Była to jedna z tych trudno zauważalnych zmian o olbrzymim wpływie na ludzkość. Bez dokładnego pomiaru czasu niemożliwe byłyby podróże morskie, badania astronomiczne i rozwój nauk fizycznych.

Sercem każdego zegara jest oscylator, czyli urządzenie generujące regularne drgania. Są one następnie zbierane, zliczane i poprzez skomplikowany systemem kółek zębatych przekazywane wskazówkom. Najprostszym oscylatorem są kolebniki i wahadła, zależne od grawitacji i znane ze ściennych „zegarów z kukułką". W zegarkach kieszonkowych zastosowano natomiast wynalazek zwany kołem balansowym. Przez kolejne kilkaset lat rozwoju zegarmistrzostwo polegało przede wszystkim na miniaturyzacji: pierwsze zegarki „kieszonkowe" miały wielkość dużych jabłek, a u progu XIX w. – już tylko małych śliwek.

Przez cały ten czas zegarki były wytwarzane przez rzemieślników, więc każdy czasomierz był jedyny w swoim rodzaju i bardzo drogi. W początkach wieku XIX w Szwajcarii rozpoczęto maszynową produkcję zegarków. Kraj ten stał się wówczas stolicą światowego zegarmistrzostwa.

Tymczasem za oceanem, w Stanach Zjednoczonych, tworzył się nowy demokratyczny, wolny i egalitarny naród. Amerykańscy producenci mieli ambicje zaopatrzyć każdego obywatela we własny zegarek. Rzucili zatem hasło „zegarka za dolara", ale przez ćwierć wieku nie udało się zrealizować tej idei. Najtańsze zegarki kosztowały kilkakrotnie więcej. „Dolar watch" udało się wyprodukować dopiero w 1899 r. firmie Ingersoll. Przy okazji warto pamiętać, że ówczesny dolar miał wartość kilkuset złotych.

eprasa.pl de5a4573f7

Mniej więcej w tym samym czasie w Anglii pojawiły się zegarki naręczne. Były one szczególnie przydatne oficerom, którzy, czołgając się wśród okopów, nie mogli pozwolić sobie na luksus sięgnięcia do kieszeni. Podczas I wojny światowej mundury założyło kilkadziesiąt milionów mężczyzn i niemal każdy z nich potrzebował zegarka. W przeciągu kilku lat wyprodukowano ich miliony: tanich i noszonych na nadgarstku lewej ręki. Tak narodził się zegarek, który znamy współcześnie.

W pogoni za precyzją

Miniaturyzacja była jedną z dróg rozwoju zegarmistrzostwa. Drugą, być może ważniejszą, było poszukiwanie precyzji. Bez precyzyjnych czasomierzy nauka nie mogła się rozwijać. W jaki sposób zmierzyć prędkość światła, wyznaczyć stałe fizyczne, nadzorować procesy produkcyjne? Starano się więc produkować coraz dokładniejsze zegary i coraz precyzyjniejsze mechanizmy. Szczególną uwagę poświęcano oscylatorom balansowym. Na ich pracę miały wpływ: jakość napędzającej mechanizm sprężyny, grawitacja, a nawet temperatura otoczenia – a to tylko kilka z licznych czynników.

Istotna była również częstotliwość drgań oscylatora. Koło balansowe przeciętnego zegarka naręcznego „cykało" pięć razy na sekundę. Dokładność takich zegarków nie mogła być większa niż jedna piąta sekundy. Po kilkudziesięciu latach udało się wprowadzić do masowej produkcji zegarki o częstotliwości jednej dziesiątej sekundy, a nawet większej. Wciąż było to jednak za mało, co bardzo dobrze widać w sporcie: z dokładnością jednej dziesiątej sekundy można zmierzyć rekord w biegu na 800 metrów, ale sprint wymaga czegoś bardziej dokładnego, nie wspominając już o bobslejach...

Jeszcze większe znaczenie dokładność pomiaru czasu ma podczas produkcji bomb atomowych. Nic więc dziwnego, że to Amerykanom zależało na wyprodukowaniu bardzo dokładnych zegarków. Firma Elgin postanowiła użyć prądu do wprawiania w ruch mechanicznego oscylatora. Zegarki okazały się dokładne, ale bardzo nietrwałe. Po kilku latach Elgin został zmuszony do odkupienia wszystkich zegarków elektrycznych i... zbankrutował.

Nieco więcej szczęścia miała, również amerykańska, Bulova. Skorzystała ona ze szwajcarskich doświadczeń i jako oscylatora użyła malutkiego kamertonu. Zasilany równie malutką baterią drgał 720 razy na sekundę, co zapewniało fenomenalne rezultaty. Przeciętne zegarki mechaniczne miały dokładność jednej minuty na dobę. Zegarek kamertonowy – jednej minuty na... miesiąc. W 1960 r. nie można było dostać dokładniejszego zegarka naręcznego.

W laboratoriach trwały już jednak prace nad czasomierzem, którego oscylatorem był kryształ kwarcu. Pobudzony prądem drgał kilkanaście tysięcy razy na sekundę. Początkowo zdawało się, że zegarek taki skonstruują Szwajcarzy, ale wyścig wygrała japońska firma Seiko. W 1964 r. prototyp zegarka kwarcowego mierzył czas maratonu zamykającego igrzyska olimpijskie w Tokio, a 25 grudnia 1969 r. do sklepów trafił naręczny kwarcowy zegarek Seiko Astron. Kosztował tyle co średniej klasy samochód, ale jego dokładność wynosiła plus minus 5 sekund na miesiąc.

Na kłopoty „Swatch"

Szwajcarzy początkowo zlekceważyli zegarki kwarcowe. Prowadzili nad nimi własne badania, ale nie uważali, że staną się popularne. W 1970 r. produkowali przecież połowę zegarków świata. To ze szwajcarskim zegarkiem Edwin Aldrin zszedł na powierzchnię Księżyca (Neil Armstrong zostawił swój w kabinie lądownika). Czy temu monopolowi mógł zagrozić bardzo drogi zegarek kwarcowy z Japonii?

A jednak tak się stało. Japończycy rozpoczęli wielką kampanię marketingową, której ślady zauważalne są po dziś dzień, np. w filmach o Jamesie Bondzie z lat 70. Udostępnili swoją technologię wszystkim chętnym, co spowodowało, że producenci z całego świata chcieli kupować kwarce. Dzięki temu ich cena systematycznie spadała. W 1978 r. produkowano tyle samo zegarków kwarcowych co mechanicznych, a największym światowym eksporterem zegarków stał się Hongkong. Świat uniezależnił się od Szwajcarów, a ich przemysł zegarmistrzowski niemal przestał istnieć. Liczba manufaktur zmniejszyła się z 1,6 tys. do 600, a liczba pracowników spadła z 90 do 28 tys.

Gdy wydawało się, że nastąpi całkowity upadek, Szwajcarzy podnieśli się z kolan. W 1983 r. niemal wszyscy producenci zegarków z Alp połączyli siły – oprócz oczywiście luksusowych marek – dostali dofinansowanie od krajowych banków i stworzyli wspólne projekty badawcze. Najlepsze rezultaty przyniosło zwrócenie się w stronę młodzieży. Do tego momentu zegarki były atrybutem dorosłych, symbolem powagi, opakowanej w stalową kopertę i utrzymywaną na nadgarstku przez pasek ze skóry cielęcej. 1 marca 1983 r. do sklepów trafiła kolekcja „Swatch" – 12 różnokolorowych zegarków, z plastikowymi kopertami i plastikowymi paskami. Były tanie – kosztowały ok. 50 franków za sztukę – ale dobrej jakości. I były świetnie reklamowane. Młodzi ludzie mogli kupić sobie zegarki, jakie chcieli, i dobierać je do swojego nastroju czy ubioru.

W ten sposób uratowano szwajcarski przemysł zegarmistrzowski, a nawet chyba światowy. Dzisiaj bowiem większość z nas może sprawdzić czas w telefonie komórkowym i zegarki straciły na znaczeniu. Jako czasomierze. Mają jednak olbrzymią wartość jako biżuteria i ozdoba.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de5a4573f7

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

eprasa.pl de5a4573f7

Sławomir Cenckiewicz

/ Felieton

„Wiosna Kościoła" trwa

Codziennie słyszymy, jak jest źle! Ostatnie „newsy" o sytuacji w amerykańskim Kościele autoryzowane przez abp. Carlo Viganò i 1300-stronicowy raport Wielkiej Ławy Przysięgłych Pensylwanii o nadużyciach seksualnych duchownych wobec dzieci potwierdziły stan rozkładu. Historia posoborowego Kościoła katolickiego przyznała rację abp. Marcelowi Lefebvre'a, który – jak się wydaje – tak wielkiej skali samodestrukcji Kościoła jednak nie przewidział.

Arcybiskup był przerażony, oglądając kardynałów i biskupów zgromadzonych w bazylice św. Pawła za murami, których pobłogosławił anglikański „prymas". Był wstrząśnięty, kiedy Paweł VI zaczął propagować potępioną przez swoich poprzedników ideę „Kościołów siostrzanych", uznając, że Kościół jest rzekomo „wewnętrznie podzielony". „Ekumenizm nie jest misją Kościoła – odpowiadał wówczas Lefebvre – Kościół nie jest ekumeniczny, Kościół jest misyjny. Kościół misyjny ma na celu nawracanie, Kościół ekumeniczny ma zaś na celu szukanie prawdy pośród błędów i tym się zadowala. Oznacza to zaprzeczenie prawdzie głoszonej przez Kościół. Z uwagi na ów ekumenizm nie mówi się już o wrogach Kościoła. Ci, którzy tkwią w błędach, są teraz naszymi braćmi. W konsekwencji nie ma już potrzeby walki z błędami. Mówi się nam: »zaprzestańmy walk!«".

Niepokornemu arcybiskupowi wydawało się, że gorzej już być nie może. Dlatego też z nadzieją powitał wybór kard. Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową. Papież pochodził z Polski, a więc uchodził za konserwatystę. Już w listopadzie 1978 r. Jan Paweł II przyjął Lefebvre'a, który zapewnił, że jest gotów „zaakceptować Sobór odczytywany w świetle Tradycji". Papież wydawał się dość otwarty na „eksperyment Tradycji". Jednak, ku zdumieniu wielu tradycjonalistów, „polski papież" nie tylko kontynuował dialog ekumeniczny, lecz także wprowadził go na zupełnie nowe tory. Spotkanie religii w Asyżu w 1986 r. było dla wielu prawdziwym wstrząsem. Wikariusz Chrystusa zrównany z wyznawcami innych religii. Animiści przynieśli swoje węże, Indianie oddawali się czarom i wzywali duchy, a w jednym z kościołów przeznaczonych na ów „dialog" uczniowie Dalajlamy postawili na tabernakulum posąg Buddy! „Poważne zgorszenie, we właściwym rozumieniu tego słowa, oznacza nakłanianie do grzechu – grzmiał Lefebvre. – Poprzez ekumenizm, poprzez uczestnictwo w kulcie fałszywych religii chrześcijanie tracą wiarę. I to jest zgorszenie. Katolicy nie wierzą już, że jest tylko jedna prawdziwa religia, jeden prawdziwy Bóg, Trójca Święta i Nasz Pan Jezus Chrystus".

Doświadczenie Asyżu na tyle poruszyło sumienie abp. Marcelego Lefebvre'a i jego przyjaciela z Brazylii – bp. Antônio de Castro Mayera – że zdecydowali się oni wyświęcić biskupów bez papieskiego mandatu. O swoim zamiarze poinformowali Stolicę Apostolską. Rozpoczęły się długie rozmowy z kard. Josephem Ratzingerem, które w istocie zakończyły się fiaskiem. Podirytowany kolejną rundą rozmów z Ratzingerem, który zabiegał o akceptację przez tradycjonalistów nowej mszy, Lefebvre odpowiedział: „Wasza działalność zmierza do dechrystianizacji społeczeństwa i Kościoła, my zaś pracujemy nad jego chrystianizacją. Dla nas Nasz Pan Jezus Chrystus jest wszystkim, jest naszym życiem. Kościół to Nasz Pan Jezus Chrystus. Kapłan to drugi Chrystus, Msza jest tryumfem Jezusa Chrystusa poprzez Krzyż. Nasze seminarium jest całkowicie ukierunkowane na panowanie Naszego Pana Jezusa Chrystusa. A wy czynicie coś zupełnie przeciwnego: Eminencja właśnie chciał mi dowieść, że Nasz Pan nie może i nie musi panować w społeczeństwie".

Decyzja została podjęta. 30 czerwca 1988 r. abp Lefebvre i bp de Castro Mayer bez mandatu papieskiego konsekrowali czterech biskupów, za co spotkała ich ekskomunika. Arcybiskup Marcel Lefebvre zmarł w marcu 1991 r. Dwadzieścia pięć lat po jego śmierci historia coraz częściej przyznaje mu rację. „Panie, tak często Twój Kościół przypomina tonącą łódź, łódź, która nabiera wody ze wszystkich stron. Także na Twoim polu widzimy więcej kąkolu niż zboża. Przeraża nas brud na szacie i obliczu Twego Kościoła. Ale to my sami je zbrukaliśmy! To my zdradzamy Cię za każdym razem, po wszystkich wielkich słowach i szumnych gestach. Zmiłuj się nad Twoim Kościołem" – napisał kard. Ratzinger 25 marca 2005 r. w rozważaniach na wielkopiątkową drogę krzyżową w rzymskim Koloseum. Dzisiaj wydaje się, że łódź nabrała już wody ze wszystkich stron i tonie… Rzeczywistość wykroczyła zatem poza najbardziej radykalne diagnozy abp. Lefebvre'a i Benedykta XVI. Niestety… Jak więc wierzyć? Skąd czerpać nadzieję?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de5a4573f7

ORLEN

MECENAS KULTURY

Chcesz być w centrum ważnych wydarzeń kulturalnych?

Kierunek jest jeden...

Kierunek ORLEN

eprasa.pl de5a4573f7